



**JACEK CIEŚLAK**  
**LADY GAGA**  
 W „JOKERZE 2” s. 24

**BARTOSZ RYDLIŃSKI**  
**OSTATNI TANIEC**  
**LEWICY W SEJMIE** s. 32



**JĘDRZEJ BIELECKI**  
**CHASYDZI – Z GÓRY KALWARII**  
**DO NOWEGO JORKU** s. 14

 **RZECZPOSPOLITA**



# Plus **Minus**

RP.PL/PLUSMINUS 35063X WYDANIE W1 NR 233 (12994) PLUS MINUS 40 (1644)

SOBOTA-NIEDZIELA 5-6 PAŹDZIERNIKA 2024



**TEMAT NUMERU**

## ZAKŁADNICY WOJNY O SĄDY

917702081913068 40  
**CENA 13,50 ZŁ** (w tym 8% VAT)

K.SIUDA



BOGUSŁAW CHRABOTA

## ROK PO 7 PAŹDZIERNIKA BLISKI WSCHÓD PŁONIE

Balon nienawiści napompowany jest do granic wytrzymałości.

**B**ruksela. Drugi dzień października. Szósta rano. Siwy, zapewne dobrze po siedemdziesiątce kierowca Ubera Khodor przyznaje, że nie spał całą noc. Oglądali z żoną telewizję. I płakali. Jest z Libanu. W Europie już dobre dwie dekady. – Zabijają nasz kraj – mówi. Znow mordowanie starców, kobiet i dzieci.

Liban płonie, a z nim marzenia o pokoju. Pytam o Hezbollah i szejka Hasana Nasrallaha. Co o nich myśli? Bohater czy szef organizacji terrorystycznej? Odpowiedź, zapewne już sam ton słów Khodora, podpowie, z jakiej społeczności się wywodzi. Sunnita, szyita, chrześcijanin, druz? Ale nie; tym razem jestem w błędzie. – Nasrallah to lider podziemia – mówi Khodor. Wymierzonego w Izrael ruchu oporu. – W sensie religijnym – tłumaczy – nie jestem po jego stronie, ale wspieranie Hezbollahu to nie jest kwestia wyznania. Nieważne, czy jesteś muzułmaninem, czy chrześcijaninem; nikt w Libanie nie ma wątpliwości, że szejek Nasrallah walczył z izraelską okupacją.

– Okupacją? – pytam. Przecież Izrael nie okupuje Libanu, jeśli już ktoś, to okupantem byli Syryjczycy, ale to się skończyło w 2005 roku. – Nie – odpowiada Khodor. – Cały czas nas okupują, razem z Amerykanami. To jedna szajka, jeden diabeł!

Znow dostałem lekcję, od kierowcy Ubera, jeszcze przed świtem, w porannej, budzącej się do życia Brukseli. Dla Khodora nie liczą się fakty ani polityczne realia. Nie rozumie, czy nie chce rozumieć, że Liban od lat jest zakładnikiem nie Izraela, ale Hezbollahu, i w tym sensie na czele sił okupacyjnych stał właśnie zabity kilka dni temu przez Izraelczyków Nasrallah. Nic go też nie interesuje, że dla świata zachodniego Hezbollah to groźni terroryści. Dla niego i większości libańskiej ulicy Hezbollah to samoobrona. Religijny ruch, który ma powstrzymać izraelską okupację, przeciwstawić się Żydom, zapewnić spokój i bezpieczeństwo.

– Czy to aby nie paradoks, że ten ruch, który uznajecie za samoobronę, atakując od wielu miesięcy państwo Izrael, ściągają na was wojnę? – To obrona. Tylko obrona – nie daje się przekonać Libańczyk. Dalej nie dyskutuję, dojeżdżamy na miejsce. W radiu, telewizji, portalach obrazy rakiet padających na miasta po jednej i drugiej stronie granicy. Iran wysłał rakiety! Izrael zagrożony! – krzyczą na czerwono paski programów newsowych. Nie ma innego stopy niż atak Izraela na Liban i „odwetowa” akcja Irańczyków. W CNN komentator przekonuje, że ataki Hezbollahu na żydowskie państwo to nic innego jak irańskie prowokacje.

Czy ajatollahowie posuną się dalej niż ataki rakietowe? Są wątpliwości, Iran nie graniczy z Izraelem. Musiałby dokonać inwazji Syrii, by dotrzeć w rejony uzbrojonych przez Izrael po zęby Wzgórz Golan. To niemożliwe. Poza tym Iran kończy prace nad bombą atomową. To teraz priorytet. Cóż, zgoda. Tyle że nie można mieć pewności, że Tel Awiw też spuści powietrze. „wylu-

zuje”, jakby chciał kandydat na prezydenta Donald Trump. Poza tym w Tel Awiwie świetnie wiedzą, że prawdziwym zagrożeniem są nie tyle irańskie rakiety, ile bomba. Wtedy Teheran mógłby zaszachować Izrael i cały Bliski Wschód naprawdę skutecznie. Czy nie nadarza się więc okazja, by zombardować irańskie instalacje nuklearne? To byłby kolejny krok w eskalacji konfliktu. Podnoszący stawkę o kilka poziomów.

Ten konflikt szybko się nie skończy. Nie da się go wygasić. Co więcej, balon nienawiści napompowany jest do granic wytrzymałości. Arabska ulica nienawidzi Izraela i chętnie widziałaby Żydom w najgłębszych otchłaniach piekieł. Byłem w Libanie raptem rok temu. Nie spotkałem nikogo, kto miałby do sprawy dystans. Niemający nic wspólnego z Hezbollahem młodzi ludzie związani z szyicką milicją Amal, wykształceni w Anglii, Stanach czy Francji, marzą o tym, by pójść do walki i ginąć za swój kraj. Uprzedzono mnie, by w restauracjach nie używać słowa Izrael, bo można mieć problemy. – Mów Disneyland. My tak tu nazywamy Izrael. Trochę to śmieszne, ale przynajmniej nie dostaniesz po gębę.

– Po co ten ostrzał Izraela? – pytałem rano Khodora. – Wsparcie dla Hamasu – mówił. Moralne, polityczne. – Rozumiem, że Izrael miał porachunki z Hamasem, ale nie można zaakceptować ludobójstwa – przekonywał Libańczyk z Ubera. Kilkadziesiąt tysięcy cywilnych ofiar. Dzieci, kobiety. Nie można się zgodzić. A druga strona? Kalendarz, analiza, zdrowy rozsądek? Właśnie mijają rok od bestialskiego ataku bojówek Hamasu na kibuce południowego Izraela. Wtedy świat aż zawył z przerażenia. Większość opinii publicznej Zachodu była po stronie ofiar, świetnie rozumiejąc, że 7 października 2023 roku Bliski Wschód dotknął cień Holocaustu: ludzie ginęli tylko dlatego, że byli Żydami. Po roku wiemy, że tragedia przyniosła owoce, których terroryści nie mogli się spodziewać. Należy wątpić, że wyobrażali sobie, jak straszną skalę przyjmie odwet państwa żydowskiego.

Ale także po drugiej stronie dynamika konfliktu przeszła wszelkie oczekiwania i nabrała nowych znaczeń. O ile bowiem szybka wojskowa operacja mająca na celu odbicie zakładników i zniszczenie kierownictwa Hamasu mieściła się w kalkulacjach zarówno Izraelczyków, jak i światowych obserwatorów, naprawdę trudno było założyć, że inwazja na Gazę tak się przeciągnie. I żaden z taktycznych czy strategicznych celów nie zostanie przez Izrael w ciągu 12 miesięcy osiągnięty. Co więcej, sytuacja obróci się tak dramatycznie, że w październiku 2024 roku, po ataku sił izraelskich na Hezbollah, cały region stanie wobec groźby pełnoskalowej wojny. Na szczęście wciąż do niej daleko. To zdanie ekspertów. Niemniej nikt z nich nie odważy się powiedzieć, że z pewnością jej nie będzie. Bo świat arabski dyszy nienawiścią do Tel Awiwu. Motywy działań Beniamina Netanjahu nie są do końca czyste. A i światowa opinia publiczna wydaje się nie pamiętać o 7 października i bierze stronę Arabów. Na dodatek, za sprawą Putina wojna jej spowszedniała. Robi się naprawdę niebezpiecznie. /©©

### DANIE GŁÓWNE

#### 4 Zemści się to na nas wszystkich

**KATARZYNA SADŁO** Myślę, że Adam Bodnar nie kwestionowałby statusu sędziów Sądu Najwyższego, gdyby tylko ich opinia w sprawie obsady stanowiska prokuratora krajowego była po jego myśli. No ale, jak mawiała babka Pawlakowa z filmu „Sami swoi”: „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”

#### 6 Jednomysłność wśród sędziów została wymuszona

**BARTOSZ PILITOWSKI, SOCJOLOG PRAWA** Bardzo kontrowersyjny jest pomysł pozbawiania stanowisk sędziów powołanych w czasach PiS. Podważanie legitymacji sędziów to ryzykowna gra i może mieć przełożenie nie tylko na zaufanie społeczne

#### 8 Brakujące intuicje

**MATEUSZ TONDERA** Czy wirtualny charakter napastowania seksualnego z definicji wyłącza jakąkolwiek realną odpowiedzialność?

### CYWILIZACJA

#### 12 Za późno na nowy PiS?

**PIOTR ZAREMBA** To Donald Tusk z Adamem Bodnarem są autorami przyłączenia Suwerennej Polski do PiS, które raczej się na kongresie 12 października dokona

#### 14 Warsze nie zginęła, jest w Ameryce

**JĘDRZEJ BIELECKI Z NOWEGO JORKU** Dwóch Żydów stoi na rogu ulicy Brooklynu. Wdali się w pełną pasji rozmowę, energicznie gestykują. Jakby żywcem byli wzięci z Katuszyna, Węgrowsa czy Sokotowa Podlaskiego

#### 18 Albo jesteś z talibami, albo trzeba cię zabić

**FAWZIA KOOFI, AFGAŃSKA DZIAŁACZKA EMIGRACYJNA** Jak ma się czuć Afganka, gdy kilkunastu brodatych mężczyzn z wypiękami na twarzy przegląda jej szuflady z bielizną?

#### 20 Ważne jest to, że żyje

**MARCIN KRÓL** Krytycy wolności patrzą na życie społeczne i na życie jednostek, obserwują i notują. Najbardziej inteligentni doprowadzili do ukształtowania liberalnej wizji świata i liberalnego porządku politycznego

### KULTURA

#### 22 Taki pejzaż

**ZOFIA JABŁONOWSKA-RATAJSKA** Ciekawe, czy Józef Chłemoński myślał kiedyś, że jego obrazy trafią „pod strzechy”. Stało się to współcześnie dzięki ich wykorzystaniu w animowanej ekranizacji „Chłopów”

#### 24 Gdy cyrk zamienia się w rzeźnię

**JACEK CIEŚLAK** W teledysku „Joker” Lady Gaga podchodzi do portretu Mona Lisy i sprawia wrażenie, że zaraz jej domaluje czerwonym szminką uśmiech Jokera. Ostatecznie robi to, ale tylko na szybko chroniącej dzieło

#### 26 Dwa samotne syte wilki

**ŁUKASZ ADAMSKI** „Samotne wilki” Jona Watts’a to pierwszy film, gdzie George Clooney i Brad Pitt dostali 100 procent czasu ekranowego dla siebie. I swojego ego

#### 28 „Plus Minus” poleca

**REKOMENDUJE** Robert M. Wegner, twórca literatury fantazy; **TEATR** „Rodzina w sieci, czyli polowanie na followersów”, reż. Wawrzyniec Ko-

strzewski, Teatr Kamienica w Warszawie; **KSIĄŻKA** ■ „Lagrange. Listy z Ziemi”, Istvan Vizvary, Wydawnictwo IX; ■ „Pić czy nie pić? Co nauka mówi o wpływie alkoholu na zdrowie”, David Nutt, przeł. Maciej Lorenc, wyd. Krytyki Politycznej; **FILM** „Niedopasowanie”, reż. Molly McGlynn, film dostępny na VOD w serwisie Max; **GRA** „Astro Bot”, prod. Team Asobi/Sony, platforma PS5

### SPORT

#### 30 Wszystkie kolory białych ortów

**ŁUKASZ MAJCHRZYK** Gdy Emmanuel Olisadebe zdobył pierwszą bramkę dla reprezentacji Polski, to „Przegląd Sportowy” przygotował okładkę pod tytułem: „Murzyn potrafi!”. Od tego czasu wiele się w Polsce i w piłce zmieniło

### ZAKULISAMI IIRP

#### 32 Ostatni taniec Lewicy w Sejmie i w rządzie?

**DR BARTOSZ RYDLIŃSKI** Lewica została partią drugoligową, miotającą się w morderczym klinczu między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską. Przeszła podkreślać, że nie jest ani jednym, ani drugim, i zaczęła się po prostu upodabniać do PO

### TEKA HERODOTA

#### 34 Oswoić i zrozumieć Polskę

**ANDRZEJ BRZEJECI** Gdy w 1983 roku Marek Karp trafił do pokoju Stanisława Swianiewicza w domu spokojnej starości w Londynie, nic nie zapowiadało, że w Polsce powoła instytucję zbliżoną do Instytutu Europy Wschodniej, jaki w Wilnie współtworzył Swianiewicz

#### 36 Tyle znaczy co Ignacy

**MACIEJ J. NOWAK** Pokusa działania w polityce opętała Ignacego Mościckiego, odstawiając najgorsze cechy charakteru

#### 38 Temida zafrasowana

**PRZEMYSŁAW MRÓWKA** Mecenase Henryk Krajewski w znakomitej mowie w 1880 roku rozniósł na strzępy argumenty prokuratora oskarżającego znanego szewca Stanisława Hiszpańskiego o zabójstwo domniemanego kochanka jego żony Zofii Kwiatkowskiej

### KRÓTKIE FORMY

#### 11 Pochwała przypadku

**JAN MACIEJEWSKI** W kontrapunkcie

#### 11 Wyznanie win Kościoła

**TOMASZ P. TERLIKOWSKI** Kronika przepowiedzianej katastrofy

#### 17 Który skrzywdziłeś

**IRENA LASOTA** Ad absurdum

#### 17 Alkotubki

**JOANNA SZCZEPKOWSKA** Wysokie napięcie

#### 27 Sztuczna inteligencja – rewolucja inna niż wszystkie

**PAWEŁ KONZAL** Po pierwsze człowiek

#### 40 Pić na zdrowie

**MARIUSZ CIEŚLIK** Plusy ujemne

#### 40 Test Mejzy

**KATARZYNA SADŁO** Kataryna

RYSUJE MIROSŁAW OWCZAREK



MICHAŁ SZULDRZYŃSKI

SZALEŃSTWA  
TEGO ŚWIATA

## CZYM SIĘ RÓŻNI BODNAR OD ZIOBRY

Działania Adama Bodnara wyglądają na próbę wyjścia z patowej sytuacji po ośmiu latach zmian, które wprowadzał PiS, kiedy to politycy decydowali, jakie śledztwa prowadzić, a jakie porzucić.

**G**dy kilka dni temu prezydent Andrzej Duda zaprosił do siebie Dariusza Barskiego, Kancelaria Prezydenta poinformowała, że doszło do spotkania z prokuratorem krajowym. Sęk w tym, że prokurator generalny Adam Bodnar, uznając, że powrót Barskiego z emerytury był bezprawny, rozpiął konkurs i na pełniące obowiązki prokuratora krajowego powołał Dariusza Korneluka. Ten nie może być pełnoprawnym (czyli bez p.o.) prokuratorem krajowym, bo PiS wpisał do ustawy przepis, że taką zmianę zatwierdza prezydent.

Jednak twierdzenie, że Bodnar łamie prawo, a raczej mają Duda i PiS, którzy uznają Barskiego za prokuratora krajowego, byłoby grubą przesadą. Bo warto sobie przypomnieć, jaki był cel działania każdej ze stron, i zadać pytanie, czy Zbigniew Ziobro, obsadzając stanowisko prokuratora krajowego, chciał mieć większy czy mniejszy polityczny wpływ na prokuraturę. Fakt, że Barski w 2011 r. dostał się do Sejmu z list PiS, raczej nie świadczy o jego apolityczności. Każdy ma prawo kandydować w wyborach, ale albo jesteś politykiem, albo niezależnym prokuratorem. Jeśli dodamy do tego, że Barski był świadkiem na ślubie Ziobry, można stwierdzić, że stanowisko prokuratora krajowego powierzono człowiekowi, który był w najbliższym kręgu zaufania Ziobry i miał realizować cele polityczne. Kiedy dziś dowiadujemy się, ile ważnych śledztw zostało umorzonych, jeśli tylko mogły zagrozić PiS, to nie widzimy nic na obronę dorobku pana Barskiego, ani stawiania go na równi z Kornelukiem.

Dlaczego nie da się powołać Korneluka na pełnoprawnego prokuratora krajowego? Bo, o czym wyżej, podczas jednej z nowelizacji PiS tak zmienił prawo, by zabetonować zmiany w prokuraturze, na wypadek utraty władzy. Dziś ustawy nie da się zmienić, bo zawetowałaby ją prezydent. A w jej ramach można było dokonać wyłącznie tego, co zostało zrobione. W tym sensie, choć niektórzy nazywają mnie symetrystą, nie ma tu żadnej symetrii. Przecież to samo dotyczy Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego czy Krajowej Rady Sądownictwa. Czy PiS obsadził trzy legalnie wcześniej obsadzone miejsca w TK, a potem kolejnie, bo chciał, by to ciało było niezależne? Czy wysłał do kierowania pracami Trybunału tak miernego prawnika, jakim jest Julia Przyłębska, by podnieść prestiż tej instytucji, czy po to, by ją spacyfikować? To oczywiście. Dlatego trudno porównywać sytuację, gdy PiS nie uznawał wyroków TK, z tą, w której obecna koalicja nie uznaje decyzji TK w sprawie niekonstytucyjności powołania komisji śledczej.

Czy to oznacza, że we wszystkim rację ma Adam Bodnar, albo czy Dariusz Korneluk jest aniołem? To zupełnie inna para kaloszy. Jeśli minister zdecydował się na zmianę szefa Prokuratury Krajowej i naruszył przepisy, bierze na siebie odpowiedzialność i być może zostanie kiedyś z tego rozliczony. Tylko że działanie Ziobry – choć było zgodne z uchwalonym przez PiS prawem – prowadziło do większego upolitycznienia i ręcznego sterowania prokuraturą. Działania Bodnara na razie wyglądają na próbę wyjścia z patowej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy po ośmiu latach zmian, które wprowadzał PiS, kiedy to politycy decydowali, jakie śledztwa prowadzić, a jakie porzucić. Jeśli działania Bodnara i Korneluka będą nosiły znamiona sterowania prokuraturą, trzeba będzie bić na alarm. Ale dziś, rok po wygranej koalicji w wyborach, jest na to za wcześnie. Za różne rzeczy można tę koalicję krytykować. W sprawie przywrócenia elementarnego ładu w wymiarze sprawiedliwości trzeba jej patrzeć na rękę, ale też rozumieć istotę zachodzących zmian.

### Plus Minus

Magazyn „Rzeczpospolitej” redagują:

Michał Szuldrzyński.....22 463 04 09

z zespołem:

Jakub Ceglela (szef działu), Daria Chibner,  
Krzysztof Cieślak, Marcin Kube, Jan Maciejewski,  
Michał Płociński, Kazimierz Groblewski

stałe współpracują: Artur Bartkiewicz, Jędrzej Bielecki,  
Jan Bończa-Szabłowski, Jacek Borkowicz, Jacek Cieślak,  
Mariusz Cieślak, Michał Dobrowolowicz, Jakub Ekier,  
Robert Górski, Barbara Hollender, Janusz Kapusta,  
Magdalena Kawalec-Segond, Łukasz Kochanowski,  
Kamil Kolsut, Tomasz Krzyżak, Irena Lasota,  
Marcin Łuniewski, Jacek Marczyński, Natalia Miller,  
Eliza Olczyk, Mirosław Owczarek, Katarzyna Płachta-Kube,  
Katarzyna Sadlo, Joanna Szczepkowska, Ruslan Szoszyn,  
Tomasz P. Terlikowski, Aneta Wawrzyniak, Piotr Zaremba

■ redaktor prowadzący: Marcin Kube  
■ projekt okładki: Konrad Siuda  
■ redaktor graficzny: Jarosław Malecki  
■ fotoreporter: Tomasz Nowak  
■ obróbka zdjęć: Tomasz Rojek  
■ e-mail: plusminus@rp.pl

### RZECZPOSPOLITA

■ REDAKTOR NACZELNY: MICHAŁ SZULDRZYŃSKI

■ ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:  
Tomasz Pietryga, Cezary Szymanek

■ I SEKRETARZ REDAKCJI:  
Tomasz Sobiecki.....22 628 81 44

■ SZEFOWIE DZIAŁÓW:  
krajowy Tomasz Krzyżak.....22 653 01 10

zagraniczny Jerzy Haszczyński.....22 628 71 70  
opinii Michał Płociński.....22 463 03 51  
ekonomiczny Krzysztof A. Kowalczyk.....22 463 01 28  
prawo Ewa Szadkowska.....22 463 03 19  
kultura Jacek Cieślak.....22 463 03 92  
sportowy Kamil Kolsut.....22 629 65 26  
studio graficzne Robert Witte.....22 463 01 39

■ WWW.RP.PL:  
Michał Szuldrzyński - redaktor naczelny

■ ŻYCIE REGIONÓW:  
Hanna Wąrowska - pełnomocnik zarządu  
ds. rozwoju regionów odpowiedzialna za projekt  
h.wawrowska@rp.pl  
Andrzej Krakowiak - redaktor prowadzący  
a.krakowiak@rp.pl

■ ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,  
fax: 22 628 05 88  
automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer  
wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01;  
internet: www.rp.pl

ISSN 0208-9130; Redakcja zastrzega sobie prawo  
do redagowania i skracania tekstów.  
Copyright © Gremi Media S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone (łącznie z tłumaczeniem  
na języki obce).

■ WYDAWCA:  
Gremi Media S.A.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa



■ DZIAŁY:  
■ sprzedaży.....22 463 01 12  
■ marketingu.....22 463 03 47  
■ Agencja Fotorepaz.....22 463 03 07

■ PRENUMERATA „Rz”: www.rp.pl/prenumerata  
Bezpłatna infolinia 800 120 195  
Zamówienia na prenumeratę przyjmują jednostki  
Kolporter Sp. z o.o. S.K.A., Garmond Press, GLM,  
As Press oraz urzędy pocztowe.

■ PRENUMERATA ELEKTRONICZNA  
(e-wydanie, wydanie na tablecie):  
tel.: 801 15 15 15, e-mail: serwisypłatne@rp.pl  
www.rzeczpospolita.pl, www.e-kiosk.pl, www.e-gazety.pl

■ BIURO SPRZEDAŻY GREMI MEDIA S.A.  
tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69  
fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57  
reklamainfo@rp.pl

Dyrektor Biura Reklamy i Ogłoszeń  
tel. (+48) 22 46 30 187, reklamainfo@rp.pl

Dyrektor Biura Konferencji i Projektów Specjalnych  
tel. (+48) 22 46 30 147, projekty@rp.pl

Dyrektor Działu Szkoleń  
tel. (+48) 22 46 30 188, wydarzenia@rp.pl

Projekt Nieruchomości  
tel. (+48) 792 904 888, www.nieruchomosci.rp.pl  
ZAMÓW OGŁOSZENIE, KOMUNIKAT, NEKROLOG  
tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69  
fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57  
reklamainfo@rp.pl

■ NR KONTA: ING Bank Śląski S.A.  
14 1050 1025 1000 0090 3096 4259

■ DRUK: Agora SA, Polska Press sp. z o.o.  
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.  
Niezamówionych materiałów i utworów Redakcja i Wydawca  
nie zwracają.



## KATARZYNA SADŁO

Zbigniew Ziobro przez osiem lat zrobił wiele, żeby wizerunek zawodu sędziego i sądownictwa jako władzy zrujnować. Ale jeśli tamta kampania uderzała w wizerunek polskiego sądownictwa i polskich sędziów, to przecież dokładnie taki sam efekt będzie mieć kampania prowadzona przeciwko „neosędziom”.



Protest przed krakowskim Sądem Okręgowym, 30 maja 2022 r. Demonstranci manifestowali wówczas w obronie sędziego Waldemara Żurka i przeciwko represjonowaniu sędziów przez rząd Zjednoczonej Prawicy

# ZEMŚCI SIĘ TO NA NAS WSZYSTKICH

Zacznijmy od słów ministra Adama Bodnara: „Neosędziowie Sądu Najwyższego bronią własnych stanowisk i upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości. Chcą zablokować proces rozliczeń. Dzisiejsze stanowisko trzech neosędziów nie jest uchwałą Sądu Najwyższego i nie jest wiążące. Nie zejść z obranej drogi przywracania obywatelom niezależnego sądownictwa i prokuratury”.

Minister sprawiedliwości, któremu nie spodobało się stanowisko Sądu Najwyższego, jednoosobowo je unieważnił oświadczeniem na platformie X (dawniej Twitterze). Czyli dokładnie tak jak trzy tygodnie temu w tym samym miejscu premier Donald Tusk unieważnił swoją kontrasygnatę. Co prawda unieważniona wirtualnie kontrasygnata wciąż całkiem realnie widnieje w „Monitorze Polskim”, bo nasz system prawny nie przewidział procedury unieważniania, ale przecież nawet jak władzy czegoś nie wolno, ale ona tego bardzo chce – to może. Więc władza wykonawcza w osobie ministra sprawiedliwości uchyliła w trybie ekstra-

ordynaryjnym stanowisko Sądu Najwyższego, przy okazji oskarżając i obrażając samych sędziów. A to wszystko po tym, jak wcześniej mówił sam żywotnie zainteresowany rozstrzygnięciem prokurator krajowy Dariusz Korneluk, że to właśnie ten sąd ostatecznie rozstrzygnie jego sprawę, nie kwestionując ani statusu, ani przymiotów etycznych jego składu.

Myślę, że Adam Bodnar też nie kwestionowałby statusu sędziów Sądu Najwyższego, gdyby tylko ich stanowisko w sprawie obsady stanowiska prokuratora krajowego było po jego myśli. Tylko czy wtedy byłyby to dowód na ich polityczną niezależność, czy wręcz przeciwnie? No ale, jak mawiała babka Pawlakowa z filmu „Sami swoi”: „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”.

## Ja pragnę zemsty

Gdy minister sprawiedliwości powiedział „a”, jego koledzy z rządu musieli brnąć w kolejne litery. I tak wiceminister spraw zagra-

nicznych Andrzej Szejna zapewniał w RMF FM Roberta Mazurka, że nawet zwykły obywatel może nie uznać wyroku we własnej sprawie, jeśli tylko wydadzą go „neosędziowie”. Aktualna logika władzy prowadzi nas do oczywistej konkluzji, że więzienia pełne są dzisiaj ludzi formalnie niewinnych, bo wyroki w ich sprawach są jakimś prawem kaduka nieważne, gdy wydane zostały przez „neosędziów”.

To nakręcanie się trwa, bo zbliża się pierwsza rocznica wygranych przez koalicję wyborów i trzeba jakieś prezenty dla elektoratu sprawić, a spora jego część oczekiwania ma niewygodowane i w kwestii „przywracania praworządności” można je podsumować, przytaczając pamiętne słowa sędzi Ireny Kamińskiej – tej, która swego czasu środowisko sędziowskie nazwała „nadzwyczajną kastą” i już nikt po niej nie podsumował go trafniej – „Będę szczerą, pragnę zemsty. Dlatego, że mnie arogancja tej władzy, ta beczelność, to lekceważenie po prostu tak irytuje, że ja pragnę zemsty”.

Po roku od wygranych wyborów osoby, z którymi w tym rządzie wiązałam naj-

większe nadzieje z uwagi na ich ogromny i nieoceniony wkład w walkę o prawa obywatelskie i elementarną sprawiedliwość, zdają się nie robić wiele więcej poza karmieniem „elektoratu zemsty”, wprowadzając jeszcze większy chaos prawny niż ten, jaki zostawiła po sobie niesławna ekipa Zbigniewa Ziobry. I chyba wolałabym nawet, żeby na miejscu Adama Bodnara był Roman Giertych, bo pewnie kierunek i styl byłyby podobny, ale przynajmniej by mnie to nie bolało.

## Co ludzi obchodzi status sędziów?

Tylko po co udawać, że chodzi o „przywracanie obywatelom niezależnego sądownictwa i prokuratury”, gdy o nasze problemy z wymiarem sprawiedliwości chodzi tutaj najmniej? O ile w ogóle się jeszcze liczymy w walce politycznych klanów, z których każdy ma swoich prokuratorów,

W jednym z raportów Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka poświęconym tymczasowemu aresztowaniu wspomniana jest sprawa człowieka, który bez wyroku siedział sześć lat, bo „sądy przedłużały stosowanie środka w oparciu o obawę matactwa uzasadnioną ogólnikowo wysokością grożącej kary oraz zarzutem udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Wielokrotnie powoływały się także na okoliczności dotyczące pozostałych oskarżonych w sprawie, które nie miały jednak żadnego związku z jego sprawą”. Jakie znaczenie ma formalny status sędziego dla tego człowieka, który bez wyroku przesiedział trzykrotność wyroku, jaki dostał pedofil gwałcący latami swoją córkę (dostał dwa i pół roku, a sąd apelacyjny tłumaczył nawet, że to wyrok surowy, bo mogły być „zawiasy”)?

### 30 na 35 sędziów w jednym wydziale to „neosędziowie”

**D**orota Brejza, adwokatka i żona inwigilowanego Pegasusem Krzysztofa Brejzy (obecnie europosła), a więc niewątpliwie osoba mająca osobiste powody domagania się surowych rozliczeń poprzedniej ekipy, napisała w mediach społecznościowych trochę na marginesie tego, co od miesiący zajmuje „reformatorów”: „Wymiar sprawiedliwości potrzebuje przebudowy przede wszystkim w obszarze odpowiedzialności sędziów i prokuratorów za decyzje, jakie podejmują. W interesie żadnego ze środowisk sędziowskich to nie jest i nie będzie, ale w interesie obywatela – tak. Dziś tego nie ma, są procesy, które toczą się po dwadzieścia kilka lat. Tak po prostu. Są jawnie krzywdzące wyroki. Ile jest niesprawiedliwości w obszarze orzecznictwa sądów rodzinnych... rozdzielanie rodzeństw, alienacja rodzicielska, opinie biegłych... głowa mała, z biegiem lat obserwuję to z coraz większym trudem”.

Bardzo bym chciała, aby w medialnych dyskusjach o reformie wymiaru sprawiedliwości, obok rozdzielających włos na czworo prawników-teoretyków i polityków w togach znalazło się choć trochę miejsca także na głosy takich osób – praktyków bez politycznej agendy. Tylko czy grzeszę naiwnością, zakładając, że w ogóle chodzi o debatę, reformę i sprawiedliwość, a nie po prostu pogrzebanie przeciwnika?

W jaki sposób to, co do tej pory zrobił Adam Bodnar, poprawiło sytuację zwykłego Kowalskiego? I jak może ją poprawić omawiana wyłączenie ze „swoją” częścią prawniczego środowiska „sanacja” wymiaru sprawiedliwości, jeśli dyskusja o niej ogranicza się do rozważań, jak skutecznie przeprowadzić czystki wśród „neosędziów”? To licytowanie się na radykalizm prawdopodobnie skończy się – jeśli nie przyjdzie opamiętanie – tym, że sprawy już teraz ciągnące się latami będą się ciągnąć jeszcze dłużej. W warszawskim sądzie okręgowym w wydziale „frankowym”, gdzie na 35 sędziów aż 30 to „neosędziowie”, na jednego sędziego przypada... 1500 spraw. Można łatwo policzyć, ile spraw dostałaby piątka „paleosędziów”, gdyby zgodnie z żądaniami radykałów usunąć tę 30 „neosędziów” lub postawić im tak upokarzające warunki, że sami zdecydowaliby się odejść. Jak duży jest „zapas” kadrowy polskiego sądownictwa, że możemy sobie pozwolić na przesunięcia, usunięcia czy odejścia sędziów, którzy być może są

solidnymi sędziami, ale ich tryb powołania był nieprawidłowy?

### Praworządnościowe jastrzębie

**W** wywiadzie dla Onetu szefowa Departamentu Kadr i Organizacji Sądów Powszechnych i Wojskowych w Ministerstwie Sprawiedliwości, sędzia Marta Kożuchowska-Warywoda podkreślała, że wymiar sprawiedliwości zwyczajnie potrzebuje „neosędziów”. „Chcemy dać jasny sygnał do sędziów: wróćcie na swoje poprzednie stanowiska, wystartujcie w legalnych konkursach, bo potrzebujemy was jako orzeczników w systemie wymiaru sprawiedliwości. Wszyscy mamy świadomość, że bycie stroną postępowania sądowego to sytuacja często mało komfortowa, bardzo stresująca, często też kosztowna dla obywatela. Staraliśmy się znaleźć rozwiązanie, które pogodzi sprzeczne interesy. I dlatego tak bardzo zależy mi, żeby ta grupa sędziów, która znalazła się w tej tak zwanej żółtej grupie, prawidłowo odczytała intencje Ministerstwa Sprawiedliwości. Dajemy szansę, aby zostali w systemie wymiaru sprawiedliwości, bo są tam bardzo potrzebni”.

Ta sama sędzia zapewniała też, że nie będzie ani zapowiedzianych wcześniej przez ministra upokarzających procedur wymuszania samokrytyki czynnego żalu, ani hurtowych czystek, a każdy „neosędzia” zostanie potraktowany indywidualnie. I raczej nie dlatego, że ktoś w ministerstwie oprytomnił i zarządził odwrót od kompromitującej dla ekipy o prawocławowiczach korzeniach koncepcji odpowiedzialności zbiorowej i pokazowych rozliczeń. Raczej po prostu policzono etaty i przeliczono na lata, o które wydłużą się procesy zwykłego Kowalskiego, dla którego każda wizyta w sądzie to „sytuacja często mało komfortowa, bardzo stresująca, często też kosztowna dla obywatela”, a w większości przypadków chodzi o najważniejsze dla niego sprawy życiowe. Niemające nic wspólnego z teoretycznymi rozważaniami sędziów i profesorów obstawiających poszczególne polityczne opcje.

Praworządnościowe „jastrzębie” tłumaczyły, że w walce z „neosędziami” chodzi im tylko o interes zwykłego obywatela, robią to tak przekonująco, że spora część obywateli nawet w to uwierzyła. A może po prostu lubi posłuchać, jakie upokorzenia nowa władza przygotowuje sędziom podejrzewanym – najczęściej bez najmniejszych dowodów – o sprzyjanie poprzedniej. Bo rozliczenia to jedna z niewielu wyborczych obietnic, których władza przynajmniej próbuje dotrzymać.

Jaki jest bowiem odsetek spraw o charakterze choćby ocierającym się o politykę, gdzie polityczne „podwieszenie” sędziego pod tę czy tamtą „kastę” może mieć znaczenie dla sprawiedliwego rozstrzygnięcia? Chyba niewielkie, jeśli nawet bardzo wojowniczej posłance Kamili Gasiuk-Pihowicz nie przeszkadzało, że jej sprawę rozwodową prowadził „neosędzia”, czyli ktoś, kogo co do zasady nie uznaje. Ciekawe, jak ocenią „przywracanie praworządności” ci, którym takie właśnie procesy przeciągną się o miesiące lub lata, bo grupa polityków w togach i garniturach uparła się forswać swoją wizję „reformy” bez oglądania się na realia. A już na pewno niezważających na te realia, które dotyczą wyłączenia nas, stających po drugiej stronie sędziowskiej stołu.

Nawet najtwardszy elektorat tylko do pewnego czasu będzie uznawał tłumaczenia „bo PiS”. Jednak kiedyś i on zacznie się domagać efektów innych niż zastąpienie czy pousuwanie z urzędów neosędziów, żeby mogli się na nich rozsiaść najbardziej zasłużeni w walce o praworządność. A sądząc po jałowości dyskusji i zawężaniu jej do stołków, jest duże prawdopodobieństwo, że do tego właśnie się „przywracanie sprawiedliwości” sprowadzi.

### Falszywe banknoty i piloci bez licencji

**G**dy PiS swoją „reformę” sądownictwa poprzedziło uderzającą w sędziów kampanią medialną, portal OKO.press napisał: „Sprawiedliwe sądy» uderzały w wizerunek polskiego sądownictwa i polskich sędziów, pokazując ich pojedyncze przypadki wykroczeń i przewinień dyscyplinarnych jako normę. Czernienie sędziów służyło promowaniu reform Zbigniewa Ziobry uzależniających od rządzącej partii skład Sądu Najwyższego i Krajowej Rady Sądownictwa”.

Po to była ta kampania. Zbigniew Ziobro uznał, że aby przeformować swoje pomysły, musi w oczach opinii publicznej całkowicie zniszczyć wizerunek sędziów, by móc potem uzasadniać, że nie popierają jego reformy i bronią własnych stołków, przywilejów i życiorysów. „Przez osiem ostatnich lat” zrobił naprawdę wiele, żeby wizerunek zawodu sędziego i sądownictwa jako władzy zrujnować jeszcze bardziej, niż działały się naturalnie, jako konsekwencja ich własnych działań. Jeśli jednak tamta kampania „uderzała w wizerunek polskiego sądownictwa i polskich sędziów”, to przecież dokładnie taki sam efekt będzie mieć kampania prowadzona przeciwko „neosędziom”. Może więc warto zastanowić się, jaki będzie wizerunek sędziów i sądownictwa, gdy już „paleosędziowie” pogonią „neosędziów”, zajmując ich miejsca. Jeśli minister sprawiedliwości mówi o sędziach Sądu Najwyższego, że „bronią tylko swoich stanowisk i upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości”, a celebryci w togach licytują się na to, kto dosadniej zwyzywa „neosędziów” stowięcych już teraz spory procent wszystkich sędziów, to jaki właściwie jest plan na budowanie w społeczeństwie tego słuchającym pozytywnego wizerunku sądownictwa, tak bardzo kluczowego dla każdego państwa aspirującego do demokracji? „Falszywe banknoty”, „piloci bez licencji” – a to przecież pieśczołtliwe określenia w porównaniu z dużo grubszymi obelgami pod adresem sędziów splamionych udziałem w złym konkursie.

Powodzenia w przekonywaniu za kilka lat, że to tylko takie słowa były, a sędziów trzeba szanować, gdy okaże się, że jednak nie dało się wszystkich „neosędziów” usunąć z zawodu i pozostaną jego istotną liczebną częścią. Bardzo się kiedyś zemści odzieranie dziś dużej grupy sędziów z godności i wiarygodności. A zemści się na wszystkich.

Jeśli o mnie chodzi, wiem już, że bardzo trudno mi będzie kiedyś, gdy już obecni pogromcy „neosędziów” wreszcie zajmą opróżnione z nich stanowiska, uwierzyć, że chodziło im o coś więcej niż własne ambicje. /©©

**Katarzyna Sadlo** jest blogerką i publicystką znaną lepiej jako Katarzyna, od 2019 r. stała felietonistką „Plusa Minusa”. Zawodowo od lat jest związana z trzecim sektorem i NGO-sami. Wieloletnia prezes Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, obecnie zasiada w zarządzie Fundacji dla Polski

sędziów, profesorów, a od niedawna nawet po jednym prokuratorze krajowym? Jako osobę będącą aktualnie „klientką” wymiaru sprawiedliwości interesuje mnie szybki termin uzyskania rozstrzygnięcia, uczciwy sposób prowadzenia sprawy, podejście sędzi do często zagubionej osoby stojącej po drugiej stronie. I nawet nie sprawdzałam na kolportowanych przez stowarzyszenie sędziowskie listach „neosędziów”, z którego naboru jest sędzia prowadząca moją sprawę.

Do póki nie mam zastrzeżeń do sposobu, w jaki to robi, jej formalny status nie ma żadnego przełożenia na sprawiedliwe rozstrzygnięcie. Tak jak niekwestionowany status „paleosędziów” nie miał nigdy przełożenia na jakość ich orzekania. Życie Tomasza Komendy zmarnowali prawidłowo powołani „paleosędziowie”. To „paleosędziowie” w procesach reprivatyzacyjnych wydawali kamienice 120-letnim właścicielom, przyklepywali prokuratorom trzyletnie areszty tymczasowe, „karali” bandytów drogowych piątym z rzędu zakazem kierowania pojazdem. Albo dawali służbom blankietowe zgody na masową inwigilację, także Pegasusem, a potem czasami – jak sędzia Igor Tuleya – usprawiedliwiali się w mediach, że czują się przez służby wykorzystani. Tak, to na pewno pocieszy pokrzywdzonych.

To są ci, od których moje poczucie sprawiedliwości chciałoby usłyszeć czynny żal, nie od sędziego sądu rodzinnego, którego jedynym grzechem wobec wymiaru sprawiedliwości jest wystartowanie w nieprawidłowym konkursie.

## TOMASZ PIETRYGA

## Czy ufa pan sędziom?

Tak.

## Wyczułem jednak zawahanie w pańskim głosie.

**B**o to jest trudne pytanie, gdyż mówimy o zróżnicowanej grupie. Do ludzi mam ograniczone zaufanie, ale jako osobom powołanym do sprawowania wymiaru sprawiedliwości daję im kredyt zaufania.

## A da się w ogóle oddzielić człowieka od jego funkcji?

Tego nie da się oddzielić w pełni, ale żyjąc w jednym państwie, musimy sobie ufać. To jest tak, jak w ruchu drogowym, gdzie obowiązuje zasada ograniczonego, ale jednak zaufania. Gdybyśmy nie mieli takiego przekonania, że wszyscy będziemy przestrzegać reguł, to nie dałoby się żyć. Więc ufamy sobie, inaczej trudno byłoby wyjechać samochodem na miasto. I tak samo jest z sędziami. Dajemy im ogromną władzę nad naszym życiem, ufając, że z tej władzy będą korzystać zgodnie z przeznaczeniem i poszanowaniem pewnych reguł.

## I korzystają z tego specjalnego statusu?

**G**eneralnie tak. I nie jest to tylko moje osobiste zdanie, bo mówię to również na podstawie badań, które moja fundacja i nie tylko moja robi. Ale oczywiście takie organizacje jak nasza istnieją, ponieważ bywa, że dzieje się inaczej. Reguły nie są przestrzegane, a sędziom zdarza się łamać nie tylko standardy, ale i prawo. I mogę sypać z rękawa takimi przykładami.

## Jasne, mamy sędziów kradnących pendrive'y, jeżdżących pod wpływem alkoholu, lista jest długa...

Problemem jest, gdy ktoś robi coś tak niewłaściwego poza godzinami pracy, ale jeszcze większym, kiedy sędzia robi to w sali rozpraw. A to się zdarza.

## Pytanie, czy sędzia jest kiedykolwiek poza godzinami pracy. Czy jego status pozwala mu na to, aby w czasie wolnym było inaczej. Pamięta pan taki przypadek, gdzie szczególnie pan się wstydził za środowisko sędziowskie?

Znam takie przypadki, które nie są publicznie omawiane, dotyczą indywidualnych spraw w sądzie, gdzie sędzia źle się zachował i nie było na to żadnych słów usprawiedliwienia.

## A poda pan przykład, żeby to jakoś zilustrować?

To są oceny często subiektywne, występujące w pewnym kontekście. Ogólnie można to nazwać znieczulicą, zupełną niewrażliwością na kontekst, w jakim znalazł się człowiek stający przed sądem. Szczególnie drastycznie widać to w sprawach rodzinnych, kiedy ktoś przychodzi z bolesną życiową sprawą, a sędzia nie chce go wysłuchać.

## Chodzi panu o zasłanianie się „sprawiedliwością formalną”?

**S**ędziemu się spieszy, bo ma takich spraw nawet kilkaset i z jego perspektywy ustalenie kwoty alimentów lub grzywny to rutyna. Ale dla człowieka z drugiej strony sędziowskiego stołu to jest życiowa sprawa, na szali są nie tylko pieniądze, ale i rodzinne relacje, dobre imię, poczucie godności. Dlatego ludzie mają potrzebę wyjaśnić sędziemu motywy swojego zachowania, nawet jeśli nie będzie to miało wpływu na wyrok. Liczy się dla nich również potrzeba wyjaśnienia kontekstu, okoliczności, skomplikowanych, często intymnych motywacji. Chcą się upewnić, że sędzia, nie wiedząc o tym, co nimi kierowało, nie będzie im przypisywał niewłaściwych pobudek i zachowa wobec nich bezstronność. Tymczasem zdarza się, że sędziowie po prostu dają do zrozumienia, że to ich w ogóle nie interesuje. Najgorzej gdy doświadczają tego słabsza strona konfliktu. Widząc brak zainteresowania sędziego, jest przerażona, bezsilna, bo widzi, że sędzia nie weźmie pod uwagę ważnych informacji, które mogą mieć wpływ na rozstrzygnięcie. A sędzia może nie zdawać sobie sprawy, że ma przed sobą ofiarę nękania i nie dając jej szansy na przedstawienie szerszego kontekstu sprawy, mimowolnie staje się narzędziem przemocy. Musimy pamiętać, że ofiary przemocy są w pierwszej kolejności pozbawiane głosu, manipulowane, zastraszane, aby nie mówiły. Wysłuchanie jest więc w realiach wielu spraw sądowych nie tylko niezbędnym elementem dochodzenia do sprawiedliwości, ale także urealniania godności i podmiotowości strony procesu.



MROGAŃSKI/STELMACH

# JEDNOMYŚLNOŚĆ WŚRÓD SĘDZIÓW ZOSTAŁA WYMUSZONA

## ROZMOWA Z BARTOSZEM PILITOWSKIM, SOCJOLOGIEM PRAWA

Ludzie startujący w konkursach sędziowskich za czasów Zbigniewa Ziobry mieli różne motywacje, lecz próbuje się je prezentować jako tylko złe, wynikające z niższych pobudek.

## A wstydził się pan kiedyś za postawę nie pojedynczego sędziego, a całego środowiska sędziowskiego?

Ogromnym rozczarowaniem był dla mnie apel o wprowadzenie zakazu wstępu do sali rozpraw publiczności w czasie pandemii. Domagało się tego jedno ze stowarzyszeń sędziowskich, nie proponując w zamian innego rozwiązania, które chroniłoby konstytucyjne prawo obywateli do sądu. Chciano po prostu tego zakazać i kropka. Podobną rekomendację wydała sędzia - wiceminister sprawiedliwości i wielu prezesów takie zakazy wprowadziło. Prawem kaduka wyłączono obowiązywanie ważnej gwarancji konstytucyjnej.

## Sędziowie nigdy nie lubili orzekać przed publicznością.

Łatwość pójścia w tym kierunku w pandemii może być potwierdzeniem hipotezy, że zasada jawności nie jest ceniona przez polskich sędziów. Na prawo do sądu składa się kilka elementów, takich jak: prawo do sprawiedliwego procesu, do rozpatrzenia sprawy w rozsądnym czasie przez sąd bezstronny, niezawisły i niezależny itd. Niektóre z tych elementów są dla sędziów niezwykle ważne, bronią ich jak niepodległości. Innych, takich jak np. jawność procesu, już niekoniecznie.

## Dlaczego tak jest?

**N**a wielu przykładach widać, że sędziowie częściej są gotowi występować w obronie tych elementów prawa do sądu, z którymi wiążą się ich osobiste przywileje, jak nieusuwalność z urzędu, zakaz przenoszenia czy wysoka pensja. Nienaruszalność tych gwarancji leży w interesie każdego sędziego. Jawność procesu sądowego to coś, co sędziom służy wyłącznie pośrednio i to raczej jako grupie, bo indywidualnych sędziów tylko dyscyplinuje. To, że w jej obronie staje niewielu sędziów, łatwo więc wyjaśnić tym, że tylko część środowiska ma wewnętrzne przekonanie, iż procesy powinny być jawne, nawet jeśli to oni są sędziami w tych procesach i to na nich skierowany jest wzrok publiczności.

## A był pan kiedyś szczególnie dumny z sędziów?

Była taka sytuacja, kiedy byłem dumny z Krajowej Rady Sądownictwa. Chodziło o nagrania sędziego Ryszarda Milewskiego, zrobione przez dziennikarza, który podał się za urzędnika Kancelarii Premiera. Pamiętam, że przewodniczący KRS zareagował bardzo szybko, jednoznacznie potępiając to, co się stało, i to było bardzo budujące. Taki głos środowiska był wtedy potrzebny.

**Pamiętam famfą sytuację i też byłem wtedy z tego dumny. Szczególnie z wypowiedzi śp. Stanisława Dąbrowskiego, ówczesnego I prezesa Sądu Najwyższego, który w czasie, gdy organizacje sędziowskie lawirowały, bo nie wiedziały, co oświadczyć opinii publicznej, powiedział jasno, że fakcie postawy to zło, które trzeba wyeliminować z sądownictwa. Zapytałem pana, czy ufa pan sędziom, a teraz spytam jako socjologa: czy Polacy ufają sędziom? Badania, które regularnie są publikowane, nie wskazują na to.**

Teza, że zaufanie do sądów nie jest zbyt wysokie, jest prawdziwa i to zarówno w porównaniu z innymi instytucjami publicznymi w Polsce, jak i z systemami sądowniczymi w innych krajach Europy. W Polsce te wskaźniki zaufania są niskie. Jednak warto pewnie rzeczy rozdzielić. Jedna rzecz to ocena działania sądów, a inna zaufanie do samych sędziów. Jest jeszcze zaufanie do systemu prawnego. Najbardziej niepokojącym wskaźnikiem jest ocena niezawisłości sędziowskiej. CBOS zadaje respondentom regularnie to samo pytanie, czy sędziowie są niezawisli i czy nie podlegają żadnym naciskom z zewnątrz? Alarmujący jest fakt, że zarówno w 2012, jak i 2017 r. zaledwie 4 proc. respondentów odpowiedziało, że wierzy, iż sędziowie zawsze orzekają, nie poddając się wpływowi.

**Jaka jest różnica między postrzeganiem sądów jako instytucji i samych sędziów?**

**P**olacy niechętnie wybierają drogę sądową. Jest to dla nich ostateczność. Z badań prof. Jacka Kurczewskiego, który od kilkunastu lat sprawdza w tych samych miejscowościach skłonność ludzi do rozwiązywania sporów na różne sposoby i śledzi zachodzące zmiany, wynika, że największy kryzys zaufania do sądownictwa mieliśmy na przełomie wieków. To był zupełny dramat. Oceny sądownictwa dołowały, ludzie byli najmniej skłonni, żeby sprawy oddawać do sądów, było gorzej nawet niż w latach 70., czyli w czasach głębokiego PRL.

**Dlaczego tak było?**

To był okres, w którym pod względem przestępczości Polska przeżywała apogeum. W końcówce lat 90. nastąpił rozkwit przestępczości zorganizowanej, zarówno tej z użyciem przemocy, jak i korupcji. Do ludzi zaczęły docierać informacje o skali tej przestępczości, a wobec wybuchających afer państwo wydawało się bezradne. Liczba spraw znacznie wzrosła i sądy okazały się zupełnie niewydolne. W zakładach karnych było wtedy ok. 85 tys. ludzi, czyli dwa razy więcej niż w 1990 r., z czego 30 proc. w aresztach śledczych, czekających na wyrok. W 2001 r. wyszły na jaw skandaliczne nieprawidłowości w warszawskim sądzie upadłościowym po uchyleniu przez Sąd Najwyższy upadłości Centrum Leasingu i Finansów. W niesławie odszedł z zawodu przewodniczący wydziału sędzia Dariusz Czajka, chwilę po nim Adam Tomczyński - który 20 lat później został sędzią w Izbie Dyscyplinarnej SN. Okres rządów SLD tylko pogłębił kryzys. To był ten najczarniejszy okres sądownictwa, w którym miało ono najniższe zaufanie społeczne. I właśnie dzięki temu nastąpiła w Polsce rewolucja polityczna, która doprowadziła do powstania dwóch partii PiS i PO, które odwoływały się do walki z korupcją i które są z nami do dziś.

**A czy brak rozliczeń sędziów był pańskim zdaniem czynnikiem osłabiającym zaufanie społeczne do nich? W wolnej Polsce całkiem dobrze się mieli, a nawet nadal mają sędziowie stanu wojennego.**

**D**oświadczyliśmy konsekwencji tego, że sądy pozostały niezreformowane oraz nie zostały zlustrowane kadrowo. Nie zerwano nici łączących sądownictwo III RP z PRL. I nie chodziło nawet o pozbycie się ludzi za „zasługi” dla minionego ustroju, ale przynajmniej o higienę, tak aby pracownicy sądów nie byli korumpowani przez grzechy z przeszłości. A zagrożenie było duże, bo wszyscy sędziowie orzekający w PRL mogli kontynuować swoją pracę, bez żadnej weryfikacji w III RP.

Prof. Adam Strzembosz zaczyna swoją książkę „Sędziowie warszawscy w czasie próby 1981-1988” od stwierdzenia, że pozostawienie w wymiarze sprawiedliwości sędziów, którzy dopuścili się zbrodni w okresie powojennym, było demoralizujące dla tych, którzy wchodzili do zawodu później. Mimo odwilży stalinowskiej sędziowie nadal pełnili ważne funkcje w sądach, nadzorując często pracę tych, którzy trafili do zawodu po 1956 r. Było to demoralizujące dla całego systemu, gdyż mieli oni wpływ na rzeczywistość jeszcze przez wiele lat. Nie wyciągnięto z tego wniosków po 1989 r., kiedy również zdemoralizowani sędziowie zostali w systemie.

**A jak na to patrzyli ludzie?**

Mam wrażenie, że większość nie była tego do końca świadoma. Był to temat tabu. Ale dla części społeczeństwa, która przez system komunistyczny została skrzywdzona, miało to ogromne znaczenie. Sądownictwo w takim kształcie było dla nich nadal elementem, który strzegł systemu totalitarnego, ale też dbał o to, aby osoby, które ich skrzywdziły, nie zostały ukarane. W wolnej Polsce nadal orzekali sędziowie, którzy skazywali uczestników protestów na bazie tzw. prawa powielaczowego i to było trudne do zaakceptowania. I nawet nie chodziło o zemstę czy karę, ale o fakt, że nadal mają wymierzać sprawiedliwość w demokratycznej Polsce. Na dodatek sędziowie z niechlubnymi życiorysami w PRL docierali na wysokie stanowiska w sądownictwie, mając wpływ na kolejne pokolenia sędziów. A przemiany okrągłostołowe dały im gwarancje nietykalności, mimo że nie spełnili standardów, aby być sędziami w III RP. W pierwszej Krajowej Radzie Sądownictwa przewodniczącym, który był jednocześnie I Prezesem Sądu Najwyższego, był człowiek, który przez całe lata głosił, że sądownictwo powinno realizować politykę partii. Bronił nawet prawa osób bez wykształcenia prawniczego do zasiadania w Sądzie Najwyższym, jak to miało miejsce do 1989 r.

**To był Adam Łopafka, który był też prezesem Urzędu ds. Wyznań w PRL.**

Tak, to był członek gabinetu gen. Jaruzelskiego w czasach stanu wojennego i on w KRS miał zadbać o to, kto otrzyma nominację sędziowskie do odnowionego Sądu Najwyższego. Nominowani przez niego sędziowie orzekają do dziś.

**KRS składała się wtedy z 25 osób, z czego aż 18 było członkami PZPR bądź partii satelickich. W składzie było nawet trzech sędziów stanu wojennego. W efekcie problem z dostaniem się do odnowionego w wolnej Polsce Sądu Najwyższego miał prof. Strzembosz, gdyż był fraktowany przez ówczesny KRS jako „element podejrzany”. Żadnych problemów nie miał za to np. sędzia stanu wojennego Józef Iwulski.**

Problem w tym, że ta nowa KRS obsadzała sądownictwo już dożywotnio z wszystkimi gwarancjami nietykalności, dlatego konkludując, ludzie, których stary system zwalczał, prześladował i wyśmiewał, mieli prawo nie ufać, że tacy sędziowie będą bezstronni.

**A co z organizacją sądownictwa, przewlekłościami, złym zarządzaniem? To była i jest cecha charakterystyczna tej instytucji nadal. Ma to wpływ na zaufanie Polaków do sądów?**

**S**ądownictwo tylko częściowo uległo reformom. Każdy uczciwy polityk z Ministerstwa Sprawiedliwości przyznaje, że to jest ta część państwa, która wszelkie zmiany przyjmuje z dużymi oporami. Nie chce poddać się zmianom wynikającym z postępu i widać to np. po sposobie komunikacji czy zarządzania. Zapóźnienia są bardzo duże, mimo ogromnych nakładów m.in. na informatyzację czy zwiększenie kompetencji. Dzieje się tak, mimo że ta instytucja jest przepełniona ludźmi bardzo dobrze wykształconymi. I tak odstaje od innych elementów państwa.

**A czy dziś Polacy chętnie chodzą do sądów, aby rozwiązać swoje problemy?**

Polacy generalnie preferują rozwiązanie swoich prywatnych sporów koncyliacyjnie. I to nie wynika nawet ze złej oceny sądów, ale jest to element naszej kultury, dziedzictwa, które sięga co najmniej średniowiecza. Przez wieki w Polsce obok sądownictwa państwowego rozwijało się sądownictwo nieformalne, nazywane kompromisarskim. W sądach kompromisarskich ludzie, nawet gdy mieli poważny spór, potrafili wybrać człowieka, który pomógł im go rozstrzygnąć polubownie. Rodziny wybierały mediatorów, którzy pomagali im dojść do ugody, lub akceptowali wydane przez nich rozstrzygnięcia. To się działo aż do XIX wieku, bo nie wypadało rozstrzygać swoich prywatnych sporów np. przed rosyjskimi sądami.

**I to w nas zostało?**

Tę skłonność potwierdzają badania prof. Kurczewskiego. Na pytanie, jaki preferujemy sposób rozwiązania sporu - nawet poważnego, gdzie doszło np. do przemocy fizycznej - większość badanych odpowiada, że właściwą drogą byłoby rozwiązanie takiej sprawy w sposób polubowny. Inaczej jest, gdy dochodzi do sporu z instytucją publiczną, z urzędem, policją, z kimś

odpersonalizowanym, kto wydaje się silniejszy, wtedy Polacy preferują drogę sądową. Generalnie jednak większość sporów rozwiązujemy sami między sobą, tylko tego nie widać, nie prowadzi się badań na ten temat. Instytut Wymiaru Sprawiedliwości podległy ministrowi sprawiedliwości, który powinien to robić, zajęty jest prawie wyłącznie tym, co trafia do instytucji podległych resortowi. Tymczasem to wierzchołek góry lodowej. I spraw w sądach mogłoby być dużo mniej, gdybyśmy lepiej wiedzieli, jak pomóc ludziom rozwiązywać je polubownie.

**Wymienił pan już przyczyny historyczne i organizacyjne, które miały wpływ na zaufanie do sądów. Ale cegielkę dolożyli też chyba politycy. Wojna o sądy rozpoczęła się w 2005 r. w czasach pierwszego rządu PiS i trwa do dzisiaj.**

Z perspektywy Warszawy tak się wydaje, jakby nastąpiło wtedy jakieś uderzenie w zaufanie do sędziów, a później kolejne w 2016 r., ale tak nie do końca jest.

**Po drodze były jeszcze ośmioletnie rządy PO i wtedy też była wojna. Pamiętam czerwone kartki dla Donalda Tuska, dni bez wokandy. A ówczesny minister sprawiedliwości Jarosław Gowin chciał jednym podpisem zlikwidować nawet ponad 70 sądów rejonowych, o co wybuchła straszna awantura.**

**D**ni bez wokandy zostały przez społeczeństwo praktycznie niezauważone, ale przez rządzących już tak, bo podwyżki do sędziów w końcu trafiły. Faktycznie w badaniach dotyczących sądów zarówno początek rządów PiS w 2005 r., jak i później po 2015 r., jest zauważalny. Jak się ogląda wyniki badań CBOS, które są robione regularnie za pomocą tych samych pytań, to wyniki są bardzo kontrintuicyjne. Wydaje się, że wraz z działaniami i sposobem komunikacji Zbigniewa Ziobry, który był ministrem sprawiedliwości we wszystkich rządach PiS, powinien iść natychmiastowy spadek zaufania do sądownictwa. Tymczasem wyniki są inne. Paradoksalnie w czasie, gdy był on ministrem, ocena sądownictwa się poprawiała.

**Czyli mimo że zarzucano mu, że niszczy sądy, Polacy oceniali je lepiej. Dlaczego?**

**O**dpowiedź jest banalna. Wynika to ze struktury oceny sądów. Nie jest tak, że na zaufanie całego społeczeństwa mają wpływ te same czynniki. Wszystko zależy od grupy społecznej. Różne grupy mają różne spojrzenia, różnie oceniają i różne mają powody, żeby ufać bądź nie. Pewna część społeczeństwa, nazwijmy ją liberalną, ma generalnie do sądów zaufanie, bo nie przeszkadza jej np. sposób transformacji ustrojowej w sądach. Te osoby trwale mają zaufanie do wymiaru sprawiedliwości. Inaczej jest w przypadku osób, które miały różnego rodzaju zarzuty wobec sądownictwa m.in. za to, że nie zostało rozliczone lub jest nieefektywne. Tym ludziom się wydaje, że gdy przyjdzie taki minister Ziobro, to zrobi porządek i sądy będą działać lepiej. Oczywiście, to jest bardzo naiwne, ale od takich ludzi kierował przekaz Zbigniew Ziobro. Tworzona była iluzja, że minister ma jakąś supermoc sprawczą.

Inna sprawa, że Ziobro naprawdę bardzo się starał coś w sądach zrobić. Natychmiast np. zmieniał regulaminy ich urzędowania i to miało swoje pozytywne skutki, np. na równomierne rozłożenie pracy między sędziów czy efektywność w niektórych typach spraw. Ale przede wszystkim zadziałało to psychologicznie na jego wyborców i wystarczyło 10 proc. niezadowolonych, którzy nagle zmienili zdanie i gdy zostawał on ministrem, to mieliśmy pierwszy raz od dłuższego czasu skokowy wzrost pozytywnych ocen sądów.

**Ale były też w tym czasie prowadzone różne kampanie przeciwko sędziom, które mogły podmyć to zaufanie.**

**C**o ciekawe, zdarzyło się coś odwrotnego - nawet po tych kiełbasianych akcjach billboardowych (nagłaściano m.in. sprawę sędziego, który ukradł kiełbasę - red.) zaufanie było takie same jak w czasach Platformy, gdzie nie zawsze było z nim dobrze, choćby w związku z aferą Milewskiego czy reformami Gowina, który rzekomo chciał likwidować sądy.

**A jak jest teraz?**

Po rządach PiS zaufanie w grupie elektoratu konserwatywnego wciąż jest relatywnie wysokie i ciągle utrzymuje się na poziomie wyższym niż przed 2015 r. Oczywiście, nie wiem, co się stanie za jakiś czas po rewolucjach związanych z usuwaniem sędziów powoła-

nych w czasach PiS. To może mieć poważne konsekwencje dla zaufania do sądów ze strony prawicowej części społeczeństwa. Te zagrożenia zupełnie nie są dziś brane pod uwagę.

#### **A pojawienie się Adama Bodnara na stanowisku ministra sprawiedliwości?**

Tak jak objęcie funkcji ministra przez Ziobrę podniosło oceny wśród jego elektoratu, tak objęcie funkcji przez Adama Bodnara wpłynęło pozytywnie, ale na liberalną część społeczeństwa. I znowu zaufanie do naszego systemu prawnego jest podkreślone, mimo tych wszystkich plag egipskich, jakie spadły na sądy. Generalnie te wszystkie zawirowania doraźnie służą podnoszeniu ocen sądownictwa.

#### **Pokuśmy się o jakąś konkluzję. Mamy kryzys instytucjonalny w sądownictwie, związany z tym kryzys polityczny, spór ustrojowy – jak to się przełoży na strukturalne zaufanie w przyszłości?**

**T**a sytuacja może mieć niezamierzone, negatywne skutki dla sądownictwa. Bardzo kontrowersyjny jest pomysł pozbawiania stanowisk sędziów powołanych w czasach PiS. Podważanie legitymacji sędziów to bardzo ryzykowna gra i może mieć przełożenie nie tylko na zaufanie społeczne. Według pomysłów rządu to ustawodawca ma decydować, które nominacje sędziowskie są nieważne. Nigdy w historii Polski taka sytuacja nie miała jeszcze miejsca.

W tej chwili część społeczeństwa jest uszupiona. Ono tego konfliktu nie śledzi, co wynika np. z badań organizacji sędziowskiej Iustitia, która sprawdziła za pomocą ankiety internetowej, czy Polacy znają pojęcie „neo-KRS”. I okazuje się, że tylko 40 proc. społeczeństwa zetknęło się z takim określeniem. A to oznacza, że był to elektorat koalicji rządzącej, natomiast wyborcy PiS-u i część niegłoszących w ogóle nie słyszało o tym konflikcie. Jak się dowiedzą, że coś takiego się dzieje, że sędziowie są odwoływani ze stanowisk, zmuszani de facto do składania jakichś oświadczeń o prawomysłności, może to wywołać bardzo ostry protest społeczny, bo społeczeństwo oczekuje, że sądy będą neutralne. Sam fakt powołania w czasach rządów PiS nie przesądza bowiem o czyjejś lojalności partyjnej. Gdyby tak było, musielibyśmy zaprzeczyć fundamentalnemu założeniu, na którym oparty był nasz system po 1989 roku – że dożywotnie powołanie i nieusuwalność daje niezawisłość i dlatego akceptujemy na stanowiskach sędziów powołanych za czasów słusznie minionych, którzy ślubowali lojalność wobec PRL.

#### **Weryfikacji sędziów próbowano już po 1989 r., ale nikomu jeszcze się to nie udało. Można w ogóle użyć takiej analogii?**

Nie można, choć jest to analogia używana, co stanowi nadużycie. Uważam też, że posługiwanie się takimi określeniami jak „neosędzia” jest pewną technologią z marketingu politycznego.

#### **Sformułowanie, z którym mają identyfikować się bądź nie uczestnicy sporu politycznego. Jeżeli mówisz „neosędzia”, jesteś za Platformą. Jeżeli ignorujesz to sformułowanie, jesteś za PiS.**

To ułatwia identyfikowanie się w grupie, ale też jest to sposób na przekonywanie społeczeństwa, że grupa tych złych sędziów jest jednolita, że wszyscy tzw. neosędziowie do niej należą. To manipulacja. Kiedy np. pod wpływem Komisji Weneckiej Adam Bodnar zaproponował poprawkę, żeby nie odbierać biernego prawa wyborczego do KRS neosędziom, podniosły się głosy oburzenia. Jak można dopuścić, aby tacy ludzie jak sędzia Maciej Nawacki czy Piotr Schab mogli zasiadać w zreformowanej Radzie? Tak jakby naprawdę mieli rzeczywistą szansę, by zostać wybranymi. Tymczasem nie mieli żadnej. Ale to dobrze ilustrowało ten mechanizm.

**Ten podział idzie też w poprzek środowiska sędziowskiego. Spora część z grupy tzw. starych sędziów, którzy nie otrzymali nominacji w czasach PiS, akceptuje go czy wręcz uwiarygadnia. Dlaczego w tym środowisku nie ma solidarności**

#### **lub choćby refleksji, niuansowania sytuacji?**

**Przecież pewne sprawy można sobie w swoim gronie wyjaśnić, inne wybaczyć, a tych, którzy faktycznie sprzeniewierzyli się zasadom sędziowskim, ukarać dyscyplinarnie. Są na to procedury, nie potrzeba żadnej nadzwyczajnej ustawy. I życie potoczyłoby się dalej bez rewolucji.**

**U**dało się uruchomić mechanizmy technologii marketingu politycznego również wśród sędziów. To też są ludzie, grupa społeczna, która podlega różnym wpływom, metodom zarządzania zbiorową wyobraźnią i tego, jak definiujemy rzeczywistość. Oni też reagują emocjonalnie na różne wydarzenia. A najłatwiej jest ludzi zmanipulować, zarządzać ich reakcjami właśnie przez emocje. Emocje są moralne. Podejmujemy takie decyzje, które trudno później zmienić na bazie moralnych przekonań. Więc zaczęto podkreślać, że decyzje ludzi, którzy stali się neosędziami, były niemoralne, że z tego punktu widzenia nie mieli prawa ubiegać się o stanowiska w czasach, gdy rządziło PiS. Ale to twierdzenie oparte jest na przekonaniu, że jest tylko jedna moralnie słuszna reakcja na zastaną sytuację i jest nią bojkot konkursów. Zupełnie nie bierze się pod uwagę, że i wnioski, które różni prawnicy mogą wyciągać w tej skomplikowanej sytuacji prawnej, w jakiej się znaleźliśmy, i okoliczności tych konkursów – np. potrzeby sądów – mogą być różne.

#### **Proces nominacyjny przed neo-KRS nie był niemoralny?**

Ci startujący przecież mieli różne motywacje, a próbuje się je prezentować, że były one tylko złe, wynikające z niższych pobudek. Tak, niestety, zrobił Adam Bodnar na jednej z konferencji prasowych, mówiąc o tych sędziach, że „mieli nieodpartą potrzebę awansu”. To jest sprowadzanie decyzji setek różnych ludzi w różnych sytuacjach do jednego mianownika. I to bez wysłuchania ich racji. Uważam, że jest to po prostu nie fair.

#### **Ale jakoś sędziowie się przed tym nie bronią.**

Bo zablokowano kanały komunikacji ludziom posądzanym o niskie motywacje, a nawet tym sędziom, którzy nie należeli do kategorii „neosędziów”, ale próbowali to niuansować. Osoby, które nie były neosędziami, ale właśnie w ramach stowarzyszenia Iustitia reprezentowały jakies zniuansowanie poglądy, jak np. sędzia Mariusz Królikowski, prezes jednego z oddziałów, choć nie był neosędzią, nie pracował u Ziobry, to został wyrzucony za to, że pisał do „Rzeczpospolitej” relacje z wydarzeń w sądownictwie, nie identyfikując się z nimi.

#### **W taki oto sposób zapanowała jedynomyślność.**

**W**ymuszono ją. Podobnie jak próbowano ją także wymusić na nas w środowisku organizacji praworządnościowych, posuwając się nawet do pomówień o to, że finansuje nas Ziobro, choć od żadnego ministra sprawiedliwości nigdy nie wzięliśmy nawet złotówki. Jak ktoś w środowisku sędziowskim miał wątpliwości i później zobaczył, co spotyka innych zadających trudne pytania, to raczej wolał siedzieć cicho. Tym bardziej że u większości sędziów te wątpliwości mogły się nie pojawić, bo wcześniej to miejsce zostało zajęte przez przekonanie, odruch, że te nominacje były niemoralne. Powtórzę, sędziowie są tylko ludźmi, poczuli się zaatakowani i zareagowali emocjonalnie. Kiedy takie przekonanie już jest od początku, to idziemy za nim. Wszystkie fakty, które do nas docierają, filtrujemy i zapamiętujemy tylko te okoliczności, które służą potwierdzeniu naszego przekonania. Zatem teraz bardzo trudno jest zwrócić sędziom uwagę, że ten sposób myślenia prowadzi do tego, że pozbawiają się ważnej gwarancji zarówno dla siebie, jak i dla całego społeczeństwa. Bo jak politycy będą mogli sobie ustawić sędziów odwoływać, to będzie to ze szkodą dla nas wszystkich. /©©

—rozmawiał Tomasz Pietryga

#### **MATEUSZ TONDERA**

Oszustwo w internecie jest po prostu zwykłym oszustwem. Zabójstwo w grze wideo o płatnym mordercy jest po prostu grą. Czym w takim razie jest napastowanie w facebookowym Metaverse i dlaczego tak trudno nam to uchwycić?

# BRAKUJĄCE INTUICJE

**Bartosz Pilitowski** (ur. 1982 r.) jest założycielem i prezesem Fundacji Court Watch Polska prowadzącej Obywatelski Monitoring Sądów. Absolwent studiów magisterskich i doktoranckich w Instytucie Socjologii UMK. Socjolog prawa





MIROSLAW OWCZAREK

**W** 2021 r. Nina Jane Patel padła ofiarą napaści seksualnej ze strony czterech mężczyzn. Trzech atakowało ją bezpośrednio, podczas gdy czwarty robił zdjęcia. Do zdarzenia doszło na platformie Metaverse, a zarówno sama ofiara, jak i napastnicy brali w nim udział jako wirtualne awatary. Co czujemy, myśląc o tym zdarzeniu?

Nasze intuicje i odczucia są tu kluczowe, bo dotyczą sfery, o której nie wiemy jeszcze nic pewnego. Znamy oczywiście mnóstwo informacji i faktów dotyczących wirtualnej rzeczywistości, ale nadal nie posiadamy mentalnej mapy integrującej je ze światem naszych instynktów i przekonań. Moralnych, ale nie tylko. To właśnie sprawia, że reakcje na zdarzenia takie jak to, które przytrafiło się Ninie Jane Patel, są tak skrajnie odmienne. Nie posiadając choćby zrębów wspólnego rozumienia przestrzeni wirtualnych jako potencjalnej „areny życia”, nie możemy mieć wspólnych reakcji, nie mówiąc już o wspólnych przekonaniach. Rzeczywistość jednak nie czeka.

Sama Patel, będąca psychoterapeutką i badaczką, po upublicznieniu informacji o tym, co jej się przytrafiło (już w 60 sekund po zalogowaniu do serwisu!), była zaskoczona skalą nie tylko lekceważenia, ale i niechęci skierowanej pod swoim adresem. Dla wielu ludzi po prostu nic się nie stało.

Łatwo ulec pokusie postawienia się ponad takim rodzajem obojętności czy znieczulenia, ale warto zachować czujność wobec tej drogi. Codziennie bowiem w grach wideo kierowane przez graczy wirtualne awatary mordują setki tysięcy innych wirtualnych awatarów (często również kierowanych przez innych ludzi) – karabinowe kule rozwalają czaszki, krew bryzga z odciętych kończyn. Czym właściwie te wirtualne zabójstwa różnią się od wirtualnej napaści seksualnej? Sam jestem głęboko przekonany, że różnica istnieje, ale dotarcie do jej sedna nie jest trywialne. Może być za to bardzo pomocne w naszkicowaniu własnej mentalnej mapy zjawisk, które w coraz większym stopniu będą nas wszystkich dotyczyć.

### Pomyłone tropy

**P**odobnie jak w przypadku sztucznej inteligencji zarysy naszych przedzałożeń dotyczących wirtualnej rzeczywistości zbudowała w nas literatura i kino science fiction. Wpływ ten jest z jednej strony nieoceniony – fantastyka pozwoliła nam (i pozwala dalej) zmierzyć się z wieloma zagadnieniami na długo przed tym, nim faktycznie objawia się w codzienności – ale niezbędna jest ostrożność. Zjawiska opisywane przez pisarzy science fiction ziszczają się jako prawda w formie na tyle podobnej, by nazywać je wcześniej już wymyślonymi nazwami i aplikować do nich uprzednio już wyspekulowane przemyślenia, ale też na tyle innej, że nazwy często okazują się mylące, a przemyślenia nie do końca adekwatne. Nie jest to oczywiście wina twórców, którzy w naturalny sposób ciążą w stronę wielkich koncepcji i całościowych wizji. Tak jak sztuczna inteligencja miała być przede wszystkim sztuczną świadomością, a nie ogromnym agregatorem danych, tak wirtualna rzeczywistość ukazywana była jako równoległy świat imitujący rzeczywistość fizyczną z całą jej złożonością i symulującą doznawanie jej przez ludzi z pełnym bogactwem doznań zmysłowych.

W „Matrixie” Wachowskich wirtualna rzeczywistość po prostu była „prawdziwą rzeczywistością”. Ale nawet ukazana jako gra i rozrywka – jak u Jacka Dukaja – miała konceptualny rozmach i spójność, które trudno byłoby przypisać wirtualnym rzeczywistościom, z jakimi możemy dziś obcować. Jednocześnie te, z którymi mamy do czynienia, są trudniejsze do uchwycenia jako „osobny fenomen” i przenikają się z naszą codziennością w skomplikowanej mozaice.

Warto zrobić krok wstecz: co w ogóle mamy na myśli, mówiąc „wirtualna rzeczywistość”? Często używa się tego zwrotu po prostu jako synonimu obecności w internecie. Zarazem dla wielu niesie on jednoznaczne skojarzenia ze wspomnianym wyżej imaginariem zbudowanym przez fantastykę naukową – „drugi świat”, do którego będziemy wpinać się specjalną wtyczką przez rdzeń kręgowy, by doznawać tam absolutnej immersji, zanurzeni w nim wszystkimi zmysłami.

Przyjęcie którejkolwiek z tych skrajnych interpretacji niczego nam nie da i do niczego nas nie przybliży. Wyda-

je się, że kluczowym elementem budzącym zaciekawienie, konfuzję i dezorientację etyczną jest przede wszystkim fakt korzystania z „awatarów” – cyfrowego wizerunku, który posiada wirtualnej rzeczywistości pewne podobieństwa do fizycznego ciała i porusza się w jej ramach na „wzór i podobieństwo” naszego cielesnego przebywania w rzeczywistości fizycznej. Bez tego elementu nasza codzienna bytność w internecie przestała być dla nas moralnie rozpoznawalna jako „coś innego”. Oczywiście, nadal wiele osób korzysta z (po-zornej) anonimowości dostępnej w sieci, ale popełniane w jej cieniu przestępstwa nie wydają się już nikomu „osobne” i nie mamy żadnych kłopotów, by traktować je tak samo jak te same przestępstwa popełnione offline. Internet to po prostu narzędzie, które w niczym nie zmienia dla nas samej istoty oszustwa, pomówienia czy nękania. Wydaje się, że w samej swojej istocie przestępstwa te są „bezcieleśne”, więc relacja naszego ciała do ich popełnienia jawi się jako zupełnie przypadkowa. To właśnie wirtualny awatar mający znamiona „cielesności” wydaje się robić różnicę. Dlaczego?

### Fantomowa cielesność

**J**uż próba jednoznacznego stwierdzenia, kiedy mamy z takim „awatarem” do czynienia, przynosi masę pytań. Co z gramami wideo, w których gracz siedzi przed ekranem i za pomocą kontrolera lub klawiatury kieruje ruchami postaci w grze? Czy ma znaczenie, na ile wirtualna postać jest podobna do gracza? Może dopiero w momencie mocniejszego zespolenia zmysłów i motoryki wirtualnego awataru z żywą osobą możemy rozważać jakiś specyficzny „transfer cielesności” jako własności normatywnej?

Nie będę nawet próbował wyznaczyć jasnej granicy, ale dość jasne wydaje się, że miejsce na tym spektrum nie jest bez znaczenia. Bez względu na to, jakie mamy stanowisko w zakresie psychologicznego wpływu brutalnych gier wideo, wyraźnie odróżniamy sytuację, w której kierujący za pomocą pada i siedzący wygodnie w fotelu gracz, sterując ruchami wirtualnego komandosa (albo nawet bandyty!), kładzie trupem setki wirtualnych wrogów, od sytuacji, w której, kierując wirtualnym awatarem zamodelowanym na wzór własnego wyglądu (możliwe, że przy pomocy zestawu VR), czai się w ciemnym zaułku, żeby zaatakować awatara innego gracza w przestrzeni wirtualnej służącej do interakcji między użytkownikami. Co więcej, rozróżnienie takie musi być rozpatrywane na kilku przenikających się, ale możliwych do wyodrębnienia płaszczyznach. Przykładowo, nie jest bez znaczenia, że gracz często za pośrednictwem awataru w grze pokonuje przeciwników będących jedynie częścią programu gry, ale czy nasza ocena moralna dokonywanych przez niego „zabójstw” zasadniczo się zmienia, jeśli okaże się, że są to awatary innych graczy, którzy razem z nim biorą udział w rozgrywce?

Zastanówmy się jednak, czy cokolwiek zmieni się w naszych intuicjach, jeśli okaże się, że gracze zabijają wzajemnie swoje awatary w ramach aktywności ustalonej pomiędzy nimi, ale niebędącej zasadniczą czy nawet akceptowalną formą korzystania z danej przestrzeni wirtualnej? Myślę, że tak. Każda gra, jak wykazywał już w latach 30. XX wieku Johan Huizinga, wytwarza „magiczny krąg”, który oddziela to, co dzieje się w jej ramach, od tego, co dzieje się w „normalnym życiu”. I chociaż to oddzielenie nigdy nie stanowi pełnej separacji, to większość z nas instynktownie rozumie znaczenie i doniosłość tej idei. Gdy dzieci na podwórku bawiły się w policjantów i złodziei, raczej nikt z dorosłych nie zastanawiał się, czy „złodzieje” aby faktycznie czegoś nie ukradli. Można też ująć to inaczej – wirtualne światy gier komputerowych są zaprojektowane przez twórców jako arena działań danej gry, więc gdy na tej arenie dzieją się rzeczy zgodne z tym projektem, to „nic się nie dzieje”.

„Magiczny krąg” ma jednak też inną funkcję – wyznaczając granice między tym, co jest częścią zabawy, a tym, co jest normalnym życiem, uwrażliwia na zacieranie się tej granicy. Denerwuje nas ignorancja przenoszący do środka kręgu oceny z zewnątrz, ale powinniśmy nas niepokoić każdy mechanizm, który z wewnątrz kręgu utrudnia lub nawet uniemożliwia wyjście z niego. Strach przed zjawiskiem zatracenia się w grze jest w kulturze obecny od dawna – nie jest moim celem ocena jego zasadności z perspektywy psychologicznej czy socjologicznej, ale samo jego istnienie ujawnia wyraźnie, że nasze intuicje moralne w relacji do siły „magicznego kręgu” są dwójakie: chroni sanktuarium gry przed rzeczywistością, ale powinien też chronić rzeczywistość

przed „wylaniem się” gry poza wyznaczoną przez niego linię. Możliwość coraz pełniejszej integracji gracza z jego growym awatarem – integracji przynajmniej w pewnym stopniu cielesnej – stawia bezpieczeństwo granicy wyznaczonej przez „magiczny krąg” pod znakiem zapytania.

Wkrada się tu specyficzny paradoks, który może mieć dla tych rozważań kluczowe znaczenie. Przebywanie w wirtualnej rzeczywistości – czy to w ramach konkretnej gry, czy raczej szerszej i ogólniejszej platformy w rodzaju Metaverse – niesie w sobie zarówno potrzebę zanurzenia, jak i ucieczki, oderwania. Przeglądając się temu z perspektywy funkcji samego oprogramowania i potrzeb użytkownika, paradoks się nie ujawnia. Oczywiście, że im bardziej immersyjny interfejs, tym skuteczniej pomoże nam się zatopić w wirtualnej rzeczywistości i oderwać tym samym od naszej. Ujawnia się dopiero na poziomie odpowiedzialności. Przecież im głębiej jesteśmy zanurzeni w inny świat, tym bardziej przenosimy do niego siebie, a więc – stawiam hipotezę – wiążemy się sami z etycznym wymiarem działań, które realizuje w niej nasz awatar. Tylko jak ten „rosnący ciężar” ma się do pragnienia ucieczki i wytnięcia od „normalnego życia”?

### Kup pan planetę

**Z**atrzymajmy się na moment, by spojrzeć na zjawisko, którego nie powinno się pomijać, a które ma jednak swoją specyfikę domagającą się osobnego potraktowania. Problemu obiektów wirtualnych posiadających realną wartość rynkową w „prawdziwym życiu”. Dla kontekstu, w 2011 r. będąca częścią gry MMO z 2003 r. „Entropia Universe” Planeta Calipso została sprzedana za 6 mln dol. To rzecz jasna pewien eksces, ale handel wirtualnymi przedmiotami, szczególnie w grach wieloosobowych, jest czymś powszechnym i dla wielu osób bardzo dochodowym.

Jak nasze kompas etyczne reagują na ten fakt? Najczęściej pewnie umiarkowaną konfuzją. Pierwsza reakcja – „jak ktoś może chcieć zapłacić tyle pieniędzy za coś, co nie istnieje?!” – relatywnie szybko ustępuje miejsca refleksji, że może nie różni się to aż tak bardzo od faktu, że ktoś płaci komuś ogromną sumę pieniędzy za kopanie piłki na trawie.

Gry od zawsze przenikają do innych sfer życia, gdy stają się angażujące emocjonalnie dla ich uczestników bądź widzów. Nawet jeśli granice „magicznego kręgu” pozostają względnie bezpieczne, to jednak wejścia do niego nadal znajdują się w naszej codzienności. Ogromne kwoty wydawane, by uzyskać przewagę w grze wideo, mogą dziwić czy bulwersować, ale nie powinny prowadzić do szczególnie daleko idących wniosków antropologicznych czy etycznych.

Tym samym wnioski w zakresie regulacji prawnych będą tu raczej oczywiste. Oszustwa czy kradzieże takich wirtualnych przedmiotów będą i są – o ile takowy ma realną wartość w naszej korporalnej ekonomii – traktowane jak wszystkie inne oszustwa czy kradzieże, a problemów może nastęrczać jedynie strona dowodowa takich postępowań.

### Ucieczka w immersję i immersja w ucieczce

**P**owróćmy do głównych rozważań i uszeregujmy zarysowane wyżej hipotezy. Po pierwsze, poczucie moralnej dezorientacji wobec działań w świecie wirtualnym rośnie, gdy są one wykonywane przez awatar przypominający ludzkie ciało, zachowujący się w sposób podobny do ludzkiego organizmu i sterowany za pomocą ruchów prawdziwego ciała odpowiadającym ruchom awataru (wszystkie te własności znajdują się oczywiście na pewnym spektrum intensywności). Po drugie, poczucie to rośnie również, gdy działania w świecie wirtualnym są wykonywane poza kontekstem jasno zdefiniowanym przez ramy gry. Po trzecie, doświadczenie przebywania w wirtualnej rzeczywistości łączy ze sobą narzędzia immersyjne z potrzebą eskapistyczną.

Wydaje się, że mamy narzędzia pozwalające zrozumieć, dlaczego napastowanie seksualne awataru Niny Jane Patel budzi uczucie głębokiego dyskomfortu i rodzi pytania. Oto użytkownicy Metaverse za pomocą swoich awatarów, które stanowiły ich reprezentację w wirtualnej rzeczywistości i narzędzie do immersyjnej eksploracji innej rzeczywistości, powiązanej z naszą, lecz

w zamyśle stanowiącej równoległą przestrzeń interakcji i działania, postanawiają dokonać tam czynu, który w normalnej rzeczywistości jest ze swojej natury czynem fizycznym, ściśle związanym z ciałem-jako-narzędziem. Jednocześnie samo Metaverse nie posiada jasno wyrysowanego „magicznego kręgu” (choćby i aktywności w jego wnętrzu mogły budzić kontrowersje, jakie nieraz były udziałem np. słynnej serii gier „GTA”). Zapożyczona cielesność tego czynu przy jednoczesnym braku „konwencji” uzasadniającej jego popełnienie podwójnie zaciera granice. Oszustwo w internecie jest po prostu zwykłym oszustwem, zabójstwo w grze wideo o płatnym mordercy jest po prostu grą, ale napastowanie w Metaverse – czymś, co trudno nam uchwycić. Co szczególnie interesujące – a może i niepokojące – reakcje na taką „anomalię” potrafią być zaskakująco odmienne.

### Trzy reakcje

**P**ierwsza reakcja, emocjonalna i etyczna, będzie zmierzała do likwidacji samego poczucia odrębności takiego zdarzenia, a tym samym do uznania takich incydentów za formę niestosownego i nieodpowiedniego zachowania w internecie, tożsamego ze słownym napastowaniem. Niepełna „cielesność” awatarów w takim ujęciu może zostać jedynie zignorowana. Druga – możliwe, że najczęstsza – rozpoznaje w zdumieniu i oburzeniu swoistą „transmisję fizyczności” i traktuje taki akt, jakby odbył się w fizycznej rzeczywistości.

Trzecia, z którą ku swojemu zdumieniu zetknęła się sama Nina Jana Petel po ujawnieniu zdarzenia, to całkowita odmowa uznania zdarzenia za realne i doniosłe etycznie. Ludzie reagujący w ten sposób (często gwałtownie) twierdzili, że wirtualny charakter zdarzenia z definicji wyłącza jakąkolwiek realną odpowiedzialność. Można wprost wywnioskować, że w takim ujęciu nie tyle przesuwają ją do kategorii zachowań, które należy oceniać „jak każde inne”, ale właśnie ze względu na eskapistyczny, wirtualny, osobny charakter wszystkiego, co dzieje się w wirtualnej rzeczywistości.

Oto – przyjmując ten punkt widzenia – tymczasowy „transfer” do innego ciała i innej rzeczywistości nie tyle wzmacnia etyczną i prawną tożsamość osoby oraz jej awataru, ile wręcz przeciwnie: stanowi inny rodzaj „magicznego kręgu”, ustanawiając przestrzeń, w której nie obowiązują zewnętrzne reguły. Ostatecznie „ciało” awataru nie dzieje się i nie może się stać żadna trwała krzywda. Zatem dlaczego wyrządzone mu krzywda miałyby być traktowane jak krzywda cielesna?

Łatwo jest w uniesieniu odrzucić trzecią reakcję jako absolutnie niestosowną i niedopuszczalną moralnie, ale jeśli pomyślimy tak o eskapistycznych pragnieniach i potrzebach, jak i growych źródłach wirtualnej rzeczywistości, to nie jest ona wcale pozbawiona racjonalności czy spójności. Musimy po prostu przyjąć, że nasze intuicje wciąż z trudem radzą sobie z ideą „drugiego ciała”. Próbując opierać je na pozostających w dynamicznym napięciu przekonaniach na temat internetu, wirtualnej rzeczywistości, gier i relacji z własnym ciałem, dochodzimy do różnych, często dramatycznie „nieskalibrowanych” wniosków. Jedyne więc, na czym możemy obecnie polegać, to spokojna i możliwie racjonalna „kalibracja”.

Rozwój wirtualnej rzeczywistości raczej nie zwolni, chociaż od wizji całkowicie immersyjnej i nieodróżnialnej od świata fizycznego iluzji jesteśmy ciągle daleko. Siłą rzeczy coraz częściej będziemy zadawać sobie pytanie o status czynów popełnionych w jej odmetach. Na to kolejną warstwą nakłada się przecież etyka cnót – czy nawet jeśli popełniając „zbrodnie” swoim awatarem na innych awatach, nie robię nikomu realnej krzywdy, to czy nie buduję w sobie postawy pewnej gotowości na potencjalne popełnienie prawdziwych zbrodni w rzeczywistości? Czy nie jest to tym bardziej niebezpieczne, im realniejsza dla naszych zmysłów jest wirtualna przestrzeń?

Prawo często musi wyprzedzać konsensusy etyczne, bo potrzeba jakiejś regulacji staje się czasem wymagana i pilna. Pewnie podobnie będzie w tym przypadku. Jednak nie oczekujemy za wiele od prawa, dopóki sami nie uporamy się z podstawowymi choćby intuicjami antropologicznymi i moralnymi. Im szybciej będziemy nad nimi świadomie pracować, tym mniej zaskoczy nas świat jutra.

/©©



JAN MACIEJEWSKI

W KONTRAPUNKCIE

## POCHWAŁA PRZYPADKU

Gdzieś tam, na jednym z tysięcy serwerów, jest już dokładnie rozrysowany schemat, lista zadań, które będziesz musiał wykonać – dzisiaj, jutro, za 20 lat. I każde z nich – a wiadomo już, kiedy przyjdą, znają dobrze swój czas – wyda się odkryciem, pragnieniem, fragmentem twojego własnego pomysłu na samego siebie.

Z tamtej nocy został mi w pamięci prawie sam nastrój, niewiele treści. Ciepłe światło nocnej lampki, szum deszczu za oknem, poza tym kompletna cisza. Jedną z tych dobrych, treściwych i intensywnych. Cisza jak pusta scena, na której za moment coś się wydarzy. Nie mam pojęcia, dlaczego leżała w tym miejscu, tuż obok łóżka, jakby na mnie czekała. Raczej zsunęła się z półki, niż została z niej przez kogoś zdjęta. Skusiła mnie tytułem i trochę też, przynajmniej, niewielką objętością. „Nocny lot” Saint-Exupéry’ego – nawet nie wiedziałem, jak wymawiać jego nazwisko, nie natknąłem się nigdy wcześniej na „Małego Księcia”.

Miałem dziesięć lat, przeczytałem ją w jedną noc. I jak już mówiłem, niewiele z niej pamiętam. Niewiele treści, bo tamtej nocy chłonałem sam nastrój. Chwilami przysypiałem i do mojej świadomości docierały już tylko pojedyncze słowa, jak głosy wśród nocy, „przypadek”, „los”, „przeszkoda”, „zadanie do

wypełnienia”. Pamiętam dokładnie zapach nawilgłych kartek papieru i uczucie unoszenia się z lecącym w ciemność pilotem – i wreszcie sen. Tamtego ranka obudziłem się z rumieńcem wstydu. Jakbym tej nocy zrobił coś zakazanego, przekroczył po raz pierwszy granicę, której istnienia nigdy wcześniej nie byłem świadomy.

Nie wróciłem już nigdy do „Nocnego lotu”, może jeszcze kiedyś przyjdzie na to pora. Ale jak na razie od tych dwudziestu kilku lat trwam w przekonaniu, że powieść Saint-Exupéry’ego odegrała już w moim życiu swoją rolę. Skrojona na swoją miarę, trwająca jedną noc i jak wiele podobnych przygód – pozostająca w pamięci do końca życia. Ale żeby osiągnąć ten status, musiała się zdarzyć przypadkiem. Najważniejsze spotkania to te, gdy przypadkiem wpadłeś na kogoś na ulicy. Decydujące zmiany kierunku zaczynają się od potknięcia. Jakiegoś zaburzenia w twoim planie, który ma ten podstawowy feler, że jest właśnie twój. Jest więc planem i nim tylko pozostanie. A los – którego wypełnienie ma się do realizacji planu jak lot do czołgania – składa się głównie z przypadków losowych. „Plan” zaś rymuje się z takimi wulgarnymi wyrazami, jak „optymalizacja ryzyka”, „kwantyfikacja poniesionych kosztów” czy „wskaźniki realizacji zadania”. Samo ich czytanie jest jak oberwanie jaskrawym światłem prosto w oczy. Jakby jakiś wielki oficer śledczy przepływał cię, na

którym etapie realizacji życiowego celu właśnie się znajdujesz.

Przypadek to kamień, na którym szczerbią się kosy każdego zamordyzmu. Z tym aktualnie miłościwie nam panującym, cyfrowym totalizmem na czele. Bo system ma na ciebie plan, na każdego z nas inny, doskonale zoptymalizowany. Algorytmy wiedzą, czego masz się w tej chwili bać, jaką książką powinienes się zainteresować, czym oburzyć, jakiej muzyki posłuchać na odstresowanie. Gdzieś tam, na jednym z tysięcy serwerów, jest już dokładnie rozrysowany schemat, lista zadań, które będziesz musiał wykonać – dzisiaj, jutro, za 20 lat. I każde z nich – a wiadomo już, kiedy przyjdą, znają dobrze swój czas – wyda się odkryciem, pragnieniem, fragmentem twojego własnego pomysłu na samego siebie. Bo to coś, co zna cię lepiej niż ty sam, doskonale wie, jak wzbudzić poczucie autentyczności. Dla każdego z nas przyszykowany jest już cyfrowy sznurek, po którym będziemy szli, aż nas śmierć z naszym, choć nie przez nas wymyślonym, planem nie rozłączy.

Przypadek bez cudzysłowu, zdarzenie godne tego miana będące jedną z nici, z których snuje się ludzkie losy, może się zdarzyć tylko tam, gdzie pada deszcz i kartki pachną wilgocią. Gdzie na ludzi, książki, zdania, obrazy można się natknąć, wpaść. Potknąć się i wyrzucić. A potem wstać i ruszyć w inną stronę. Poza planem, w stronę losu. /©©



TOMASZ P. TERLIKOWSKI

KRONIKA PRZEPOWIEDZIANEJ KATASTROFY

## WYZNANIE WIN KOŚCIOŁA

To było niezmiernie ważne wydarzenie. Kolejna sesja synodu o synodalności rozpoczęła się od nabożeństwa pokutnego, w czasie którego Kościół ustami hierarchów przeproszał za swoje grzechy.

Obraz tego nabożeństwa, słowa, które w jego trakcie padły, pozostaną w Kościele na długo. Nie sposób ich zignorować. Nazwanie grzechów Kościoła, jego hierarchii „po imieniu” – jak to ujął papież Franciszek – to otwarcie na nowe myślenie w czasie synodu.

Za co przeproszali kardynałowie? Oswald Gracias z Bombaju prosił o przebaczenie za „grzech braku odwagi, odwagi niezbędnej do szukania pokoju i uznania godności każdej osoby”, a także za brak szacunku dla życia „we wszystkich jego fazach”. Michael Czerny, prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, prosił o przebaczenie za grzechy przeciwko stworzeniu, rdzennej ludności i migrantom, potępiając eksploatację ziemi i kolonialne instynkty oraz prosząc o przebaczenie za udział w „globalizacji obojętności”.

Istotną była modlitwa kard. Seána O'Malleya, emerytowanego arcybiskupa Bostonu i przewodniczącego Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich, który poprosił o przebaczenie grzechu nadużycia sumienia, władzy, a także wykorzystania seksualnego.

O'Malley modlił się szczególnie za wszystkie te momenty, gdy „wykorzystaliśmy stan kapłaństwa i życia konsekrowanego do popełnienia tego strasznego grzechu, czując się bezpieczni i chronieni, podczas gdy diabolicznie czerpaliśmy zyski z małych i biednych”.

Kościół ustami swoich przedstawicieli prosił także o przebaczenie grzechów przeciwko kobietom, rodzinie i młodzieży. Kard. Kevin Farrell, prefekt Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia, prosił o przebaczenie w imieniu przedstawicieli władzy w Kościele, a „zwłaszcza nas, mężczyzn, odczuwających wstyd za wszystkie chwile, kiedy nie uznawaliśmy i nie broniliśmy godności kobiet, (...) a nierzadko wykorzystywanych, zwłaszcza w stanie życia konsekrowanego”.

Istotne były także słowa prefekta Dykasterii Nauki Wiary kard. Victora Manuela Fernández, który prosił o wybaczenie „za wszystkie te chwile, kiedy w Kościele szczególnie my, pasterze, którym powierzono zadanie utwierdzenia naszych braci i sióstr w wierze, nie potrafiliśmy strzec i proponować Ewangelii jako żywego źródła wiecznej nowości, indoktrynując ją i ryzykując, że sprowadzimy ją do stosu martwych kamieni, którymi będziemy rzucać w innych”. Tak mówił strażnik doktryny. Nie zabrakło także przeprosin za brak synodalności i debaty w Kościele. O przebaczenie za niepowodze-

nie w budowaniu „prawdziwie synodalnego, symfonicznego Kościoła, świadomego bycia świętym ludem Bożym, który kroczy razem, uznając wspólną godność chrztu” prosił kard. Christoph Schönborn, arcybiskup Wiednia.

Ale od istotnych i ważnych słów kardynałów ważniejsze były świadectwa. Jedno z nich złożył Laurence, wokalista z RPA, który opowiadał o tym, jak został wykorzystany seksualnie przez księdza. Miał wtedy 11 lat, a mówił o tym, jaki wpływ wykorzystanie miało na niego i jego bliskich. Jego wypowiedź była jednak także ważnym aktem oskarżenia wobec Kościoła. „Przez dziesięciolecia informacje były ignorowane, tuszowane lub rozpatrywane wewnętrznie, nie zgłaszano ich władzom. Ten brak odpowiedzialności nie tylko pozwolił sprawcom na kontynuowanie swojego zachowania, ale także nadwątlił zaufanie, którym tak wielu kiedyś obdarzało instytucję” – mówił mężczyzna i dodał, że przeciw Kościoła wobec załatwiania tych spraw był „zdradą etycznej i duchowej odpowiedzialności Kościoła”. „Kiedy tak prominentna instytucja jak Kościół katolicki nie chroni swoich najbardziej bezbronnych członków, pokazuje, że sprawiedliwość i odpowiedzialność są negocjowalne, podczas gdy w rzeczywistości powinny być fundamentalne” – zaznaczył mężczyzna. I te słowa powinny zostać usłyszane przez wszystkich hierarchów. /©©

**P**rzełożenie kongresu Prawa i Sprawiedliwości z 28 września na 12 października szybko obrosło teoriami spiskowymi. Jarosław Kaczyński miałby nie zdążyć z negocjacjami, w następstwie których ma zostać przyłączona do jego partii Suwerenna Polska. Niektóre media donosiły też o szykowanych przez prezesa PiS decyzjach personalnych lub o wycofywaniu się z przygotowanych wcześniej zmian. Uporanie się z problemami miało wymagać dodatkowego czasu.

### Co wolno robić w czasie powodzi

**W**szystko wskazuje na to, że te wieści są nieprawdziwe. Jedyną realną przyczyną zmiany jest ta podana do wiadomości: powódź. Politycy PiS tłumaczyli, że są zajęci pomocą powodzianom, więc na partyjne obradowanie czas przyjdzie później.

Na pewno w permanentnym pojedynku polityków na wrażenia zajmowanie się sobą, gdy fala powodziowa na Odrze nawet nie przebyła całej drogi, mogło zostać przez Polaków źle odebrane. Zwłaszcza że propaganda obozu rządzącego obraca przeciw formacji Kaczyńskiej demonstrację przed Ministerstwem Sprawiedliwości z soboty 14 września, kiedy sytuacja powodziowa wyglądała źle. Tematem wiecu były przypadki łamania prawa i standardów praworządności, ale na pewno nie klęski żywiołowe.

Natychmiast skorzystał z tego wtedy poseł Tomasz Treła z Nowej Lewicy, jeden z najagresywniejszych polityków rządzącej koalicji. „Południe Polski walczy z żywiołem, a banda nieudaczników protestuje w Warszawie broniąc kumpli kryminalistów i przyszłych kryminalistów. PiS to jednak stan umysłu” – obwieścił na platformie X. Inni politycy rządowej większości to podchwycili.

„Tomku, a ty walczysz z żywiołem czy może z klawiaturą w swoim telefonie?” – spytała wprawdzie posłanka Paulina Matysiak z partii Razem, jedna z niewielu wolnych od partyjnego amoku parlamentarzystek. Treła odpowiedział na to, że pomagał córce w przygotowaniu się do kartkówki. Więc pomagać córce podczas powodzi było można, domagać się sprawiedliwości już nie. Absurd goni absurd.

Narrację Treli szybko powielił sam Donald Tusk, odmawiając partii Kaczyńskiego moralnego prawa do krytykowania jego nieskuteczności w walce z żywiołem, skoro jej działacze demonstrowali w sobotę. Tu kolejna wątpliwość: przecież w piątek 13 września premier mówił, że „prognozy nie są przesadnie alarmujące”. W sobotę zmienił ton, ale na odwoływanie opozycyjnej demonstracji było już chyba za późno.

Inna sprawa, że kiedy wybiera się zaraz potem temat katastrofizmu jako okazji do najostrzejszego rozliczania rządu, trzeba być gotowym nie tylko na prztyczki, ale na prawe sierpowe. W Polsce wszelkie tego typu rozrachunki prowadzą od razu do najcięższych oskarżeń. Pisze się je wielkimi literami. Poprzednia opozycja stosowała się do tej zasady wobec rządów PiS, więc dziś prawica używa podobnych metod. To z kolei musi oznaczać, że i do niej strzela się słowami.

Kaczyński nie szukał pretekstów, aby przełożyć obrady. Najlepszy dowód, że na posiedzeniu Komitetu Politycznego swojej partii upierał się początkowo przy dotrzymaniu terminu kongresu. Dopiero inni politycy PiS wytłumaczyli mu, jakie stąd wyniknie wizerunkowe niebezpieczeństwo. – Prezes jest nieobecny w social mediach, więc nie zawsze wyczuwa nastroje – tłumaczy ważny polityk Zjednoczonej Prawicy.

Składną wagę tego kongresu jest przeceniana. On nie jest wyborczy. Spekulacje o usunięciu z funkcji wiceprezesów Antoniego Macierewicza czy Beaty Szydło się nie potwierdzają. Jeśli Kaczyński miał nawet taki pomysł, to z niego zrezygnował.

Zostanie zmieniony statut partii, aby powołać nowe ciało: Komitet Wykonawczy. Jego skład zostanie wyłoniony nawet nie na samym kongresie, a przez Radę Polityczną, która sama pozostanie niezmienną, podobnie jak Komitet Polityczny będący prawdziwym kierownictwem partii.

Po co ten kolejny organ? Ma się zajmować bieżącą partyjną robotą. Znajdą się w nim przeważnie młodszy politycy typu Radosława Fogła czy Pawła Jabłońskiego, choć i tacy zawodnicy wagi ciężkiej jak Przemysław Czarnek, wciąż niedopuszczany do Komitetu Politycz-

# ZA PÓŹNO NA NOWY PIS?

## PIOTR ZAREMBA

Karol Nawrocki najbardziej prawdopodobnym kandydatem na prezydenta. Przyłączenie Suwerennej Polski prawie przesądzone. Ale szans na reformę partii niewiele, gdy Prawo i Sprawiedliwość staje się obłąconą twierdzą.

nego. – Prezes chce ich czymś zająć, żeby nie spiskowali przy piwie, to ma być dźwignia awansu, ale i miejsce ciężkiej pracy – objaśnia mój rozmówca z kierownictwa partii.

## Szukanie prezydenta, szukanie jedności

**C**o ciekawe, na czele nowego Komitetu Wykonawczego ma stanąć Mariusz Błaszczak. Wiele wskazuje na to, że to próba osłodzenia mu faktu, że nie będzie namaszczonej jako kandydat na prezydenta. Chociaż on sam ma na to wciąż nadzieję, pojawia się w sondażach i dysponuje w partii grupą zwolenników. Kaczyński nadal jednak hołduje koncepcji sięgnięcia po kogoś nieuwikłanego w osiem lat pisowskich rządów, nawet jeśli ryzykiem będzie początkowo kiepska rozpoznawalność takiego nominata.

Na placu boju pozostali więc europoseł Tobiasz Bocheński i prezes Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki. Z rywalizacji odpadł podobno poseł Zbigniew Bogucki. Czasem pada za to nowe nazwisko: niegdyś prezydenckiego ministra, a dziś posła Marcina Przydacza, głównie ze względu na zdolności językowe. Największe szanse zdaje się mieć jednak Nawrocki. Nie kojarzy się aż tak bardzo z pisowską polityką rządową, uchodzi za człowieka niepartyjnego, byłby strawny dla elektoratu Konfederacji, a być może nawet – w drugiej turze – dla jej liderów.

Tyle że to nie będzie tematem tego kongresu. Domknięta na 95 proc. jest za to kwestia akcesu na nim polityków Suwerennej Polski. Pod nieobecność chorego Zbigniewa Ziobry załatwiają to z Kaczyńskim europoseł Patryk Jaki i poseł Michał Wójcik. Oni też mają wejść do Komitetu Politycznego. Zapewne kilku działaczy SP znajdzie się też w Komitecie Wykonawczym.



To okazja do możliwej niespodzianki. Oto Michał Dworczyk, świeżo upieczony europoseł, a kiedyś szef Kancelarii Premiera, w rozmowie z Konradem Piaseckim w TVN 24 zakwestionował pomysł tego połączenia. – To oddali nas od zwycięstwa w wyborach. Jestem przeciwnikiem takiego rozwiązania – powiedział. Stwierdził, że środowisko Suwerennej Polski „w dużej mierze jest winne przegranych wyborów w 2023 roku”. Jego główna myśl była taka: skoro Zbigniew Ziobro nazywał kiedyś premiera Mateusza Morawieckiego „miększonem”, jego samego należy nazwać „cynikiem”. To echo dawnych sporów o taktykę wobec Unii Europejskiej.

Są one dziś w dużej mierze nieaktualne. Wszystkie skrzydła PiS i także Suwerenna Polska są połączone w opozycję wobec takich projektów UE, jak pakt migracyjny czy Zielony Ład, a także wobec planów federalizacyjnych lansowanych przez unijny mainstream. Niemniej utrzymują się dawne pretensje z czasów wspólnego rządzenia. Dworczyk to człowiek związany z Morawieckim. Jest takich osób trochę w Radzie Politycznej PiS. Co więcej, na ten konflikt mogą się nałożyć opory lokalnych działaczy. Kiedy Solidarna Polska, potem przemianowana na Suwerenną, zaczęła rozbudowywać swoje struktury, zwłaszcza po roku 2018, w wielu regionach zbierała ludzi skłóconych z PiS.

Inkorporacja partii Ziobry może więc nie być bezbolesna, ale chyba jednak się dokona. Dla Kaczyńskiego jedność wszystkich środowisk Zjednoczonej Prawicy jest wartością naczelną. To składną logiczną. W obłąconej twierdzy podtrzymywanie dawnych wojen wewnętrznych jawi się jako coraz bardziej zdradliwe. Dlatego też nie chce odrębnej grupy we własnym klubie parlamentarnym. Politycy SP wnoszą mu wprawdzie w wianie własne, energicznie ścigane przez prokuratorów Adama Bodnara, afery – z Funduszem Sprawiedliwości na czele, ale politycy PiS też mają kłopoty z prokuratorскими śledztwami. W rzeczywistości to Donald Tusk



MARIUSZ ZAWADA/REPORTER

Jeśli koalicja rządząca przechwyci prezydenturę, miejsca dla opozycji w systemie prawno-politycznym będzie jeszcze mniej niż dziś. Wtedy receptą obłożonego PiS stanie się podtrzymywanie w nieskończoność przywództwa coraz starszego **Jarosława Kaczyńskiego** (na zdjęciu podczas protestu przed siedzibą Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie, 19 września 2024 r.)

z Adamem Bodnarem są zatem autorami tego zjednoczenia na prawicy.

### Gra o wszystko

**P**aradoksalnie premier i minister sprawiedliwości są także współautorami taktyki Zjednoczonej Prawicy. To za sprawą ich oskarżeń ten obóz zmienił się w formację permanentnych skarg wygłaszanych na demonstracjach i wiecach. Wszelkie dyskusje o odmłodzeniu, o naprawie języka, o zajęciu się inną tematyką, stają się mniej ważne, giną w zgiełku. Akcje policyjno-prokuratorskie stanowią chleb powszedni wielu z posłów i działaczy.

Europoseł Dworczyk może kultywować chyba uzasadnione pretensje do środowiska Ziobry, ale jego też prokuratura zmieniła z pokrzywdzonego w podejrzanego – na kanwie historii z włamaniem na jego prywatne mailowe konto, przez które miała przechodzić służbowa korespondencja. Samego Jarosława Kaczyńskiego można do woli oskarżać o odklejenie się od rzeczywistości, o archaiczną retorykę, o brak kontaktu z młodym pokoleniem. Ale kiedy policja korzysta z demonstracji 14 września, aby zatrzymać jego samochód pod pretekstem zbyt przyciemnionych szyb, zaczynamy – ja przynajmniej – zaczynać się zastanawiać nad statusem opozycji w Polsce.

Stanisław Mikołajczyk, prezes PSL, był w latach 1945–1947 nawet wicepremierem, a więc formalnie częścią władzy, a przecież ludowa demokracja nie szczędziła mu czysto personalnych szykan. Teraz mamy demokrację walczącą w miejsce bezprzymiotnikowej.

Trudno było uniknąć takich skojarzeń, kiedy obserwowano się prezesa głównej partii opozycyjnej uwikłanego w szamotaninę z tłumem politycznych awanturników przed smoleńskim pomnikiem na placu Piłsudskiego w Warszawie przy bierności policji słuchającej

rozkazów nowej władzy. Oczywiście, w PiS mamy do czynienia z fermentem, zwłaszcza młodzi działacze nie obawiają się dziś krytykować partyjnej strategii, która skończyła się porażką 15 października 2023 r. Czasem ta krytyka dotyczy samego prezesa, co podważa naturę partii jeśli nie wodzowskiej, to mocno dworskiej. Dla niektórych z krytyków punktem odniesienia jest Morawiecki rozczarowany tym, że Kaczyński zamyka mu drogę do startu w wyborach prezydenckich, szukający swojego miejsca w nowej rzeczywistości. Tyle że jest on zarazem jednym z symboli niedawnej porażki. Tak intensywnie pracował zresztą na etykietkę najbardziej prawowiernego pisowca, że dziś trudno mu się jej pozbyć.

A zarazem myśl o otwartej grze kogokolwiek o przywództwo w partii lub o rozłamie jest hamowana siłą konfliktu ze światem zewnętrznym, z obecną władzą. W efekcie wszelkie ruchy odśrodkowe, a nawet rozliczenia oddolne są odkładane co najmniej do końca kampanii prezydenckiej. Ona zaś jest grą o wszystko.

Jeśli obecna koalicja przechwyci prezydenturę, miejsca dla opozycji będzie w modelowanym od nowa systemie prawno-politycznym jeszcze mniej. I wtedy pytania o przyszłość Morawieckiego czy nawet Andrzeja Dudy okażą się zapewne mało istotne. A receptą obłożonej partii stanie się podtrzymywanie w nieskończoność, być może na siłę, przywództwa coraz starszego Kaczyńskiego, względnie nastanie przywództwa polityka w typie Mariusza Błaszczaka, mechanicznie powtarzającego oskarżycielskie formułki.

### Pytanie o system

**K**omentatorzy bliscy obecnej władzy wyśmiewają ciężki język 75-letniego prezesa powtarzającego raz za razem, że mamy dyktaturę. Tyle że pod naporem faktów mnie akurat jest coraz

mniej do śmiechu. Oto spór o legalność przejęcia Prokuratury Krajowej przez ludzi ministra Bodnara miał być rozstrzygnięty przez Sąd Najwyższy. Przyznawał to sam prokurator krajowy z nowego rozdania Dariusz Korneluk. Ale kiedy Sąd Najwyższy przyznał rację jego odwołanemu poprzednikowi, Adam Bodnar odkrył w sobie moc unieważnienia tej uchwały samą swoją wypowiedzią. Choć jeszcze w 2020 roku jako rzecznik praw obywatelskich tłumaczył, że bezprawność czyjegoś statusu czy decyzji musi stwierdzić jakieś ciało, najlepiej sądowe. Teraz robi to on sam, a o nieegzekwowaniu woli sądu przesądza ostatecznie policja niewpuszczająca Dariusza Barskiego do budynku prokuratury.

Dowiadujemy się nagle, że trzech prawników, którzy tę uchwałę podjęli, są „neosędziami”. Choć akurat statusu Izby Karnej Sądu Najwyższego nikt nie podważał, łącznie z międzynarodowymi trybunałami. Ci szanowani powszechnie sędziowie wydawali w ostatnich latach setki wyroków. Żaden nie był podważany, także po 13 grudnia 2023 r., kiedy do władzy doszła obecna koalicja. Podczas rozprawy ludzie Korneluka zwracali się do orzekających per „wysoki sędzie”. Nawet projekt Bodnara dotyczący tzw. neosędziów przewiduje cofanie awansów, ale nie wyroków. A jednak w tym przypadku władza wykonawcza sama sobie przyznaje prawo wybierania, które werdykty uznaje, a których nie.

Tylko pozornie odbiegłem od tematu obecnych dylematów i przyszłości PiS. Te opisywane przeze mnie ruchy nowej władzy wobec wymiaru sprawiedliwości są bowiem częścią marszu ku systemowi, w którym nie ma realnej równości wobec prawa. Czy w takim systemie jest miejsce na autoreformę PiS? Będzie go z pewnością mniej niż kiedykolwiek wcześniej. Trzeba się było tym zająć, kiedy miało się władzę, było się silnym i nie niepokojonym przez nikogo. Wtedy Jarosław Kaczyński był od tego daleki, choć stawką było zwycięstwo w wyborach. Możliwe, że dziś wypadnie mu powiedzieć: za późno.



**Abraham Mordechaj Alter** (na czele z siwą brodą, w pozycji „bokserskiej”), czwarty duchowy przywódca dynastii chasydzkiej Ger wywodzącej się z Góry Kalwarii. W 1940 r. zdołał zbiec z Warszawy przez Włochy

### JĘDRZEJ BIELECKI Z NOWEGO JORKU

Przed drugą wojną światową co trzeci mieszkaniec stolicy Polski mówił w jidysz. Ta społeczność wciąż żyje, tylko że za oceanem.

## WARSZE NIE ZGINEŁA, JEST W AMERYCE

**N**a podwórku mojego domu zachował się fragment przedwojennej Warszawy, dla Żydów – Warsz. Albo dzisiejszego Brooklynu, ale o tym zaraz. To tu, w miejscu gdzie ulica Żelazna przecina Łucką, powstał z inicjatywy Icchaka Meira Altera (1798–1866) shtybel, czyli chasydzki dom modlitwy. Mowa o słynnym rabinie i talmudystę, który po przeprowadzce do Góry Kalwarii założył w 1859 roku chasydzką dynastię Ger. Z czasem zyskała ona wśród ortodoksyjnych Żydów najwięcej naśladowców na ziemiach polskich – ponad 100 tys. Przytłaczająca większość zginęła w Holokaście.

Poza wspomnianym domem modlitwy dziś można jeszcze zobaczyć groby Icchaka Meira Altera i jego potomków

w ohelu na cmentarzu w Górze Kalwarii oraz skromny, piętrowy, obdrapany budynek w centrum miasteczka, gdzie kiedyś znajdował się dwór rabina Abrahama Mordechaja Altera, czwartego duchowego przywódcy dynastii chasydzkiej Ger. W 1940 roku zdołał on zbiec z Warszawy przez Włochy do Palestyny, ale cała jego rodzina padła ofiarą Zagłady.

Dziś miejsce, gdzie mieszkam, to warszawski Manhattan. Dzielnica jest naszpikowana szklanymi drapaczami chmur, w których swoje siedziby mają banki i towarzystwa ubezpieczeniowe. Aby wyobrazić sobie, jak wyglądało tu życie przed wojną, trzeba skorzystać ze wspomnień tych nielicznych, którzy przeżyli okupację. I ze zdjęć. Jedno z tych, które zapamiętałem, pokazuje Abrahama Mordechaja Altera w Górze Kalwarii.

Czcigodny starzec z długą brodą pochyla w dół głowę, jest skupiony, jakby myślał wędrował w tylko sobie znanych krainach. Razem z nim idzie grupa ortodoksyjnych Żydów, wszyscy ubrani w długie, czarne płaszcze, z kapeluszami na głowie. Nikt się nie odzywa, choć większość ma wyraźnie pogodny wyraz twarzy. Może sama obecność mistrza koi ich myśli?

### Siła woli

**P**rzebłysk ze świata, który na zawsze zagał? Byłem o tym przekonany do minionego lata, kiedy to w czasie kilkudniowego pobytu w Nowym Jorku pojechałem do Borough Park, części Brooklynu. Tak trafiłem do skrom-

negu biura Simona Friedmana. To właściciel rozległego sklepu spożywczego, oczywiście koszerne. Na głowie mojego gospodarza czarna mycka, ubrany jest w nieskazitelną białą koszulę, czarny płaszcz zaś wisi na wieszaku. Nad nim kopia tego samego zdjęcia cadyka Abrahama Mordechaja Altera z Góry Kalwarii, które zapamiętałem.

– Zmarł w 1948 roku – Simon Friedman wskazuje na Abrahama Mordechaja Altera. – Dziś naszym przywódcą jest jego wnuk, Jakub Arie Alter, ósmy rabin dynastii Ger – nasze spojrzenie przesuwają się na inne, już kolorowe zdjęcie również czcigodnego starca z długą białą brodą. Postacie oblewają ostre promienie słońca Bliskiego Wschodu, niebo jest jasnoniebieskie. Bo też Abraham Mordechaj Alter jeszcze w czasie drugiej wojny światowej



do Palestyny, ale cała jego rodzina zginęła w Holokauście. Zmarł w 1948 r. w Jerozolimie. Zdjęcie pochodzi z ok. 1930 r.



**Borough Park na Brooklynie** to jedno z największych skupisk chasydów poza Izraelem i dzielnica Nowego Jorku z najwyższymi wskaźnikami demograficznymi

przeniósł dwór dynastii Ger z Góry Kalwarii do Jerozolimy, gdzie pozostali jego następcy. Kolejne zdjęcie w biurze Simona Friedmana pokazuje moment, w którym w lutym 1942 roku „Gerrer Rebbe” czyta w synagodze Hurwa w Jerozolimie list z wiadomością o postępującej zagładzie polskich Żydów, w tym jego własnej rodziny.

Niezwykłą siłą woli on i jego następcy odbudowali jednak potęgę chasydzkiej

dynastii. Dziś obok wywodzącej się z terenów Rosji Chabad Lubawicz oraz Satmar z Rumunii to największa wspólnota ortodoksyjnych Żydów na świecie. Ma wręcz więcej naśladowców, niż to było w przedwojennej Polsce. Zdecydowana większość mieszka w Izraelu, ale nawet dwa i pół tysiąca rodzin swój dom znalazło po wojnie na Brooklynie. To jedyna nowojorska dzielnica, gdzie liczba dzieci jest większa, niż dorosłych, tak

wielki jest tu przyrost naturalny. Simon ma ich siódemkę.

### Rabin mówi „nie”

**N**owy Jork dzieli od Jerozolimy ponad 9 tysięcy kilometrów, to z górą 12 godzin lotu samolotem. Ale więz z rabinem pozostaje

równie ścisła, jak to było w czasach, gdy jego przodkowie sprawowali rząd dusz wśród polskich Żydów. Zarówno w sprawach małych, jak i bardzo dużych.

– Konsultujemy się z rabinem szczególnie w ważnych chwilach naszego życia. Oczywiście nie bezpośrednio, on ma tyle rzeczy na głowie! Przez jego sekretarza. Zrobiłem to, gdy mój syn miał się ożenić.

– Z ortodoksyjną Żydówką?

Simon Friedman patrzy na mnie jak na idiotę. Przez chwilę wręcz milknie, jakby się zastanawiał, czy warto odpowiadać na tak bezmyślne pytanie. – Tak, oczywiście – odpowiada po chwili. – Ale do małżeństwa nie doszło. Rabe uznał, że imię przyszłej panny młodej nie pasuje do tego, jakie nosi mój syn. Nie będą szczęśliwi.

Wśród chasydów dynastia Ger jest uważana za najbardziej surową. Zwyczaj są tu przekazywane ustnie, nigdy zapisywane. Dotyczą na przykład praktyk seksualnych: są on dopuszczalne w małżeństwie tylko dwa razy w miesiącu, w całkowitym milczeniu i wyłącznie w takiej pozycji, w której mężczyzna znajduje się na kobiecie. Ale mnogość regulacji odnosi się też do tego, jak się ubierać, co jeść, kiedy się modlić, a kiedy pracować.

Absurd? Odnosił się do tego Paul Johnson w swojej epokowej książce „Historia Żydów”. W jej wstępie wyliczał wszystkie imperia, które panowały nad jednym z miast Ziemi Świętej, Hebronem. Mimo całej ich wielkości, nie dotrwały naszych czasów nawet w szczątkowej formie. Ale w cieniu Grobów Patriarchów, wśród których, jak każe tradycja, są i szczątki Abrahama, przetrwali Żydzi. Niewiele ponad 1000 w liczącym ponad 200 tys. mieszkańców największym mieście Zachodniego Brzegu Jordanu. Ale są. I zdaniem Johnsona zawdzięczają to w niemałej mierze mnogości przekazywanych z pokolenia na pokolenie zaleceń, które dla osób postronnych wydają się zupełnie irracjonalne czy wręcz nieludzkie, ale które decydują o tożsamości chasydzkiej społeczności i nie pozwalają jej się rozpląnąć w zlaicyzowanym świecie.

To samo dziś dzieje się z Brooklynem. W ciągów trzech powojennych pokoleń chasydzi nie tylko całkowicie zdominowali tę oddaloną kilka kilometrów od Manhattanu dzielnicę, ale w żadnym stopniu nie wtopili się w amerykańską magmę jak to się stało z Łatynosami, Polakami, Niemcami i wieloma innymi grupami narodowościowymi.

Przedwojenna Polska jest dla nich punktem odniesienia, ale najważniejsza jest wierność Torze. Icchak Meir Alter uważał, że nie ma większej radości w życiu niż studiowanie pierwszych pięciu ksiąg Biblii, czyli zasadniczo przymierza, jakie Bóg zawarł z narodem wybranym. Pisał do nich komentarze do dziś podziwiane za celność i głębię. Sam miał życie tragiczne. 15 spośród jego 16 dzieci zmarło za jego życia. Jeśli po takiej próbie zachował mądrość i pogodę ducha, to czy jest coś straszniejszego, co może odwieść od Najwyższego? W społeczności Ger panuje przekonanie, że nie. Ale pod warunkiem, że światłość oblewa wnętrze człowieka. Bo wszystko, co robi na zewnątrz, jest tylko tego objawem – nauczał cadyk z Góry Kalwarii.

### Lafo w grubym płaszczu

**J**uż sama droga na Brooklyn to podróż w czasie. Trochę jak powrót do przedwojennej Warszawy, przynajmniej tak, jak sobie to



JEDRZEJ BIELECKI

**Simon Friedman** (siedzi) deklaruje, że wszystkie ważne sprawy jego rodzina konsultuje z rabinem. Nie przeszkadza im to, że rabin mieszka w oddalonym o 9 tys. km Izraelu. Za nim stoi jeden z jego siedmiu braci

można dziś wyobrazić. Do dawnej ulicy Nalewki, gdzie biedoty przecież nie brakowało. Z Manhattanu jedzie rozklekotane metro, które wygląda, jakby od 100 lat nie przeszło remontu i zwalnia jeszcze bardziej, gdy zaczyna się przeprawa przez East River: pod nami koła wydają takie piski, że można odnieść wrażenie, iż most za chwilę się zawali. Potem to, co nazywa się subway, tak naprawdę już nim nie jest. To naziemna kolejka, widać z jej okien skromne domy, których okna wychodzą na kolejowe tory, warsztaty i magazyny. Wreszcie stacja przy 62. ulicy. Tu od razu rzucają się w oczy zwykle samotni, ortodoksyjni Żydzi niezmiennie w czarnych płaszczach i takichże kapeluszach.

Ale tylko obcemu może się wydawać, że jeden jest podobny do drugiego. Żydzi z Węgier, Rumunii, Ukrainy czy Polski natychmiast się rozpoznają po detalach.

- Rozróżnisz ich po spodniach wciągniętych w długie, czarne skarpety. A także po pejsach zaciągniętych za uszy - mówi mi o społeczności Ger na oko 30-letni Żyd, pierwszy, do którego odważyłem się zwrócić. - O tam, widzisz, idzie jeden - wskazuje na drugą stronę ulicy.

To nowojorski lipiec. Słupek rtęci zdecydowanie przekracza 30 stopni, jest bardzo wilgotno. Jak można w takich warunkach wytrzymać w płaszczu, marynarce, surducie, grubej koszuli? W grubych rajstopach, które noszą pod długimi spodnicami żydowskie kobiety? To są stroje, nieodmiennie czarne, które w XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej symbolizowały skromność i zostały przejęte jako wzór do naśladowania przez Abrahama Mordechaja Altera. Ale noszone je na innej szerokości geograficznej, gdy nad Wisłą zimy były długie i mroźne, a lata może i gorące, ale krótkie.

- Z tym nie ma większego problemu - ucina moje pytanie, jak można przetrwać dzień w takim stroju, Simon Friedman. A mnie przychodzi na myśl Paul

Johnson i cena, jaką może i warto zapłacić, aby przechodzić przez wieki, utrzymując swoją tożsamość.

### Jidysz zamiast angielskiego

**D**om modlitwy przy ulicy Żelaznej w Warszawie to skromny, parterowy budynek z czerwonej cegły, właściwie bez ozdób, można go łatwo pomylić z marną gospodą czy jakimś warszatem. Nie inaczej jest dziś na Brooklynie. Gdyby nie napisy informujące o tym, że to przybytek Boga, można by pomyśleć, że to piekarnia, pralnia czy zakład szewski. Wiele z domów modlitwy mieści się w czymś na kształt suterenu, schodki prowadzą do drzwi wejściowych. Przed jednym z nich spotykam dwie panie w średnim wieku w czarnych spodnicach daleko za kolana, białych bluzkach i chustach na głowach. Mówią między sobą w jidysz: języku Żydów aszkenazyjskich, który kształtował się w Niemczech od X wieku, ale przygarnął wiele słów słowiańskich i romańskich. I który znał co trzeci mieszkaniec przedwojennej Warszawy.

- Pan z Polski? Mój dziadek pochodził z Kozienic. Jako jedyny przeżył Holocaust. Przyjechał tu zaraz po wojnie - przechodzi na angielski jedna z nich.

Ale to jest zamknięta społeczność, rozmowa szybko się urywa. Wiele osób nigdy z Brooklynu nie wyjeżdża, a angielskim posługuje się rzadko. Idę więc dalej. Sklep wypełniony idealnie wyprasowanymi koszulami, czarnymi płaszczami, kapeluszami. Trochę dalej stoi żółty autobus szkolny, dokładnie taki sam, jak krążące po drogach całej Ameryki, z tą różnicą, że po bokach napisy ma po hebrajsku. Dwóch Żydów stoi na rogu ulicy. Wdali się w pełną pasji rozmowę, energicznie gestykulują. Jakby żywcem byli wzięci z Kałuszyna, Węgrowska czy Sokołowa Podlaskiego: jednego z polskich, przedwojennych sztetli, gdzie po 1000-letniej żydowskiej kulturze najczęściej nie pozostało nic

poza paroma zarośniętymi macewami. Wchodzę do koszernej kafejki. Skromne stoliki, plastikowe krzesła. Kupuję gazowany napój na ochłodę i przyglądam się wchodzącym i wychodzącym klientom. To niemal wyłącznie mężczyźni. Podchodzą do kontuaru, za którym znajduje się mnogość gotowych potraw. Śledzie przyrządzone na różne sposoby, sałatki, ciasta, ogórki: wiele z tego uznalibyśmy za typowo polskie. Mężczyzna około pięćdziesiątki o potężnej tuszy starannie przygląda się każdemu półmiskowi. Prosi niemal wszystkiego po trochu. Tu za dużo, tu za mało: napomina ekspedientkę. To najwyraźniej wszystko bardzo ważne, aby wieczorna kolacja w domu, jeszcze jeden kluczowy element, który pozwala odtworzyć przedwojenny świat, była w pełni udana.

### Stosunek do Izraela

**O**ficjalne dane władz Nowego Jorku pokazują, że Brooklyn należy do najbiedniejszych dzielnic metropolii. Niewielu zarabia tu więcej niż 50 tys. dolarów rocznie, co jest kwotą bardzo skromną, biorąc pod uwagę nowojorskie ceny. Jednym z powodów jest mnogość dzieci, które pozostają na utrzymaniu typowego małżeństwa religijnych Żydów. Innym czynnikiem jest ograniczony zakres zajęć, którymi mogą się trudnić. Wynika to w szczególności z konieczności przestrzegania szabatu oraz codziennych modlitw. Większość kobiet zresztą i tak zajmuje się wychowywaniem potomstwa.

Mimo to i tu można znaleźć pracowników najemnych. Choćby w sklepie Simona Friedmana. To są właściwie wyłącznie Latynosi.

- Znakomicie się rozumiemy, nie ma tu żadnych problemów - mówi mój gospodarz. - Kilka lat temu to byli przede wszystkim Polacy, ale dziś właściwie wszyscy wrócili do swojego kraju. Pracować u nas się im nie opłaca.

Stosunki musiały być faktycznie dobre, bo do dziś przynajmniej niektóre kontakty zostały utrzymane. Moshe Friedman, ojciec Simona, niedawno odwiedził Polskę. Był w Warszawie, Krakowie, Lublinie, ale także w Górze Kalwarii i Leżajsku. Odwiedzał nie miejsca upamiętniające Zagładę, ale te, z którymi byli związani jego przodkowie. A przede wszystkim te kluczowe dla dynastii Ger.

- Moim kierowcą i przewodnikiem był Wojtek, który wiele lat u nas pracował, ale wrócił w końcu do swojego Lublina. Oczywiście za zapłatą - podkreśla Moshe, którego Simon sprowadził do biura.

W Nowym Jorku dorasta już czwarte pokolenie potomków uratowanych z Holocaustu. Pytam, dlaczego, uciekając z Polski po wojnie, nie wybrali Izraela. I dlaczego teraz nie chcą przenieść się do Ziemi Świętej, gdzie byłiby bliżej rabina Jakuba Arie Altera. Odpowiedź nie jest jasna, bo stosunek do Izraela dzieli tutaj całą społeczność. Wśród wywodzących się z rumuńskiej dynastii Satmar wielu uważa, że państwo żydowskie nigdy nie powinno powstać, bo to Mesjasz ma oddać Żydom Ziemię Obiecana. W dynastii Ger jest inaczej, ale dopiero od lat 30. XX wieku. Wcześniej kolejni przywódcy dynastii byli przeciwni syjonizmowi. Uważali, że ojczyzną Żydów jest przede wszystkim Tora.

- Oczywiście, że ma rację - Moshe odpowiada bez wahania na moje pytanie, czy jego zdaniem Benjamin Netanjahu ma rację, kontynuując pacyfikację Strefy Gazy. - A co by zrobiła Polska, gdyby została napadnięta? Nie pozwolimy na drugi Holocaust - dodaje.

Ichhak Meir Alter początkowo nosił nazwisko Rothenberg. Musiał je zmienić, aby uciec przed carskimi represjami za poparcie, jakiego udzielił powstaniu listopadowemu. Zalecał naukę polskiego, był polskim patriotą. Tragedia Zagłady zepchnęła jednak w cień pamięć o wiekach dobrego życia w Europie. Społeczność Ger odtworzyła swoją Warszawę w Ameryce. O tej nad Wisłą już prawie nie myślą. /©





IRENA LASOTA

A D A B S U R D U M

## KTÓRY SKRZYWDZIŁEŚ

Jak zawsze ci, którzy uprzednio bronili konkursów na stanowiska i byli przeciwko wojnie domowej, gdy tylko z Tutsi przeobrazili się w Hutu, zabrali się do dzieła. Najzabawniejsze jest jednak to, że depisizacją zajęli się przede wszystkim przeciwnicy dekomunizacji sprzed 35 lat.

**D**ziesięć miesięcy temu nie sposób było się domyśleć, że kropla wody, która przeleje czarę, a co najmniej rozleje wielką kałużę, będzie nosiła imię Roberta Kostry. Wszyscy już znają to imię, w jego obronie wkroczyli w szranki i ci z lewa, i ci z prawa. I symetryści, a nawet ci obojętni. Kropla, która przelewa czarę, a potem draży skałę, wyskakuje często nieoczekiwane jak dzinn z lampy (przepraszam, ale ogromnie lubię mieszać ze sobą takie zwroty).

Od początku koalicja zapowiadała czyszczenie stajni Augiasza i wyrzucała na prawo i na lewo: z mediów, ze spółek, z instytucji publicznych i właściwie skąd tylko mogła wyrzucać – od kierownika po sekretarkę. Bardzo się dziwiłam, że mało było protestów, że nikt z dyplomatów nie podał ministra do sądu za obrazę. Wszak mitologiczne czyszczenie stajni Augiasza nie miało polegać na czesaniu koni, tylko na wyrzuceniu zwierzęcych odchodów.

Oczywiście, gdy jednego się usuwa, daje to szansę drugiemu, a cała akcja czyszczenia była robotą partyjną. Jak zawsze ci, którzy uprzednio bronili konkur-

sów i byli przeciwko wojnie domowej, gdy tylko z Tutsi przeobrazili się w Hutu, zabrali się do dzieła. Najzabawniejsze (dla mnie w każdym razie) było to, że depisizacją zajęli się przede wszystkim przeciwnicy dekomunizacji sprzed 35 lat. PiS oddał w zeszłym roku zwyczajnie władzę w wolnych i demokratycznych wyborach i nic sobie nie zatrzymał. Komuniści zaś długo się targowali, zanim zaczęli oddawać władzę i negocjowali sobie doskonale warunki, zatrzymując wiele posad, pieniędzy i wpływów.

Zwolennicy dekomunizacji podkreślali wówczas wagę lustracji, która właśnie miała bronić wyrzucania czy karania ludzi tylko dlatego, że byli w PZPR albo podpisali deklarację współpracy z UB. Każdy miał odpowiadać za siebie i swoje grzechy. Gruba kreska jednak zrównała wszystkich ze wszystkimi i do dziś można odczuwać jej konsekwencje.

A propos współpracy z UB, to wydaje mi się co najmniej niesmaczne sugerowanie, że wiceminister Władysław Teofil Bartoszewski miał moralną rację w ewentualnym oszukaniu swego ojca chrzestnego, bo tenże alkohol odszedł w niepamięć, tak jak powoli odchodzą papierosy? Co się stało, że człowiek palący coraz częściej uważany jest za dziwaka i musi się izolować razem ze swoim papierosem? Po prostu skończyła się akceptacja społeczna. Argument, że nikotyna wdychana przez niepalącego jest tak samo szkodliwa jak pochłaniana przez palacza, jakoś trafił do świadomości i wyrugował zadymione pomieszczenia z naszego świata. Czy akceptacja społeczna w stosunku do alkoholu zmienia się podobnie? Z jednej strony nie widać już takiej liczby zataczających się przechodniów jak dziesiątki lat temu, a pijany pracownik musi się liczyć z tym, że to jego ostatni dzień w pracy. Z drugiej strony ciągle słyszymy o alarmującej liczbie młodych ludzi, którzy piją, uciekając od napięć i lęków.

Oczywiście, piszę to wszystko w związku z alkohtubkami, których pojawienie się rozbudziło takie oburzenie społeczne, że producent ugiał się przed nim, mimo liberalnych praw wolnego rynku. Wycofano z produkcji wódkę o wyglądzie i dostępności dziecięcych soczków, prawdopodobnie nie tylko z powodu jednoznacznej postawy rządu, ale przede wszystkim w obawie przed ruchem społecznym, wobec którego żaden sklep sprzedający coś takiego nie byłby bezpieczny. Sama przewracałabym skrzynki z tymi soczkami.

Czytając z satysfakcją decyzję o wycofaniu tych opakowań ze sprzedaży, przypomniałam sobie

zupę z robakami, chociaż jedli je od czasów Piotra Wielkiego. A co z Anną Walentynowicz? Do lipca 1980 roku wyrzucano codziennie niewinnych ludzi z pracy przez 35 lat. Ciekawe, że od czasów komunistycznej Polski do sierpnia 1980 minęło trzy i pół dekady, tyle samo co od dekomunizacji do dzisiaj. Ludzie budzą się co półtora pokolenia?

Więc Stocznia Gdańska im. Lenina zbuntowała się, gdy wyrzucono panią Annę, skromną, uczciwą, pracowitą osobę, która nikomu nic złego nie zrobiła. Po zabiciu dziesiątek robotników, aresztowaniu setek innych, zwalnianiu za byle uchybienie, wyrzucenie Anny Walentynowicz wydało się być prawdziwym moralnym przestępstwem. Ona była naprawdę niewinna i w dodatku lubiana.

Nie śmiem sugerować, że arbitralne wyrzucenie pana Roberta Kostry z pozycji dyrektora Muzeum Historii Polski doprowadzi do strajków, buntów czy rewolucji. Ale coś pękło. Pękło bezwarunkowe zaufanie dla rządów Donalda Tuska ze strony jego zwolenników. Barykada między tymi i tamtymi zaczęła się kruszyć i nagle ludzie o odmiennych poglądach zaczęli pisać wspólne listy. Jak w latach 70.

Ponieważ (prawie) wszyscy znają wiersz Czesława Miłosza z tytułu tego felietonu, cytuję tylko kilka wybranych linijek: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego (...) Gromadę błaznów koło siebie mając (...) Choćby przed tobą wszyscy się klonili/ Cnotę i mądrość tobie przypisując (...) Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta. (...) Spisane będą czyny i rozmowy”.

/©©



JOANNA SZCZEPKOWSKA

WYSOKIE NAPIĘCIE

## ALKOTUBKI

Od jakiegoś czasu zauważam zmianę w reakcjach teatralnej publiczności na „pijane” sceny. Coraz rzadziej one ją śmieją, coraz częściej panuje cisza pełna smutku, współczująca.

**T**emat alkoholu w kulturach świata doczekał się wielu publikacji. Historia kultury alkoholu też. Nie wiadomo jednak, czy istnieją badania, jak zmienia się przyzwolenie społeczne na tych, którzy piją w nadmiarze. Wprawdzie jednym z zarzutów na procesie Sokratesa było „rozpijanie młodzieży”, jednak trudno kojarzyć czasy starożytne z kultem abstynencji. Boski napój lał się strumieniami. 9000 lat temu na terenie dzisiejszych Chin zaczęto wytwarzać wino z ryżu. Ciekawe jest, dlaczego człowiek właśnie, obdarzony tak twórczym i wynalazczym umysłem, szukał stanu odurzenia, zamiast odrzucać go jako stan blokujący ostrość umysłu. Czyżbyśmy się pojawili do tego stopnia niedoskonali, że musieliśmy szukać pomocy w zaburzeniu naszej świadomości?

Trudno sobie wyobrazić zwierzę ze zdrowym instynktem, które czując w trawach coś, co odbierze mu równowagę i spowolni reakcje, tknie taką strawę pyskiem. Ale trzeba przyznać, że wielu ludzi wybitnych wspomagało się takim czy innym odurzaczem, a wiele arcydzieł powstało w stanie dalekim od normy. Tak czy inaczej, człowiek odkrywszy sposób na doznanie innego stanu niż zwyczajny, zachwylił się nim i zaczął masową produkcję używek. Jedynie religie dyscyplinowały spożywanie alkoholu.

Skoro więc instynkt „homo sapiens” prowadzi do zaburzenia stanu normalnego i trzeba go hamować zakazami i strachem, to czy istnieje szansa na to, żeby alkohol odszedł w niepamięć, tak jak powoli odchodzą papierosy? Co się stało, że człowiek palący coraz częściej uważany jest za dziwaka i musi się izolować razem ze swoim papierosem? Po prostu skończyła się akceptacja społeczna. Argument, że nikotyna wdychana przez niepalącego jest tak samo szkodliwa jak pochłaniana przez palacza, jakoś trafił do świadomości i wyrugował zadymione pomieszczenia z naszego świata. Czy akceptacja społeczna w stosunku do alkoholu zmienia się podobnie? Z jednej strony nie widać już takiej liczby zataczających się przechodniów jak dziesiątki lat temu, a pijany pracownik musi się liczyć z tym, że to jego ostatni dzień w pracy. Z drugiej strony ciągle słyszymy o alarmującej liczbie młodych ludzi, którzy piją, uciekając od napięć i lęków.

Oczywiście, piszę to wszystko w związku z alkohtubkami, których pojawienie się rozbudziło takie oburzenie społeczne, że producent ugiał się przed nim, mimo liberalnych praw wolnego rynku. Wycofano z produkcji wódkę o wyglądzie i dostępności dziecięcych soczków, prawdopodobnie nie tylko z powodu jednoznacznej postawy rządu, ale przede wszystkim w obawie przed ruchem społecznym, wobec którego żaden sklep sprzedający coś takiego nie byłby bezpieczny. Sama przewracałabym skrzynki z tymi soczkami.

Czytając z satysfakcją decyzję o wycofaniu tych opakowań ze sprzedaży, przypomniałam sobie

obserwacje, które mam okazję prowadzić już od dłuższego czasu. Dotyczą one reakcji publiczności na sceny, w których występuje pijana postać. W przyszłym roku minie 50 lat, odkąd pierwszy raz weszłam na teatralną scenę, więc moje obserwacje mają już sporą wagę. Postaci pijanych były przez widzów przyjmowane z rozbawieniem i sympatią. Bo przecież strasznie śmieszny jest ktoś, kto nie może utrzymać się na nogach, kto potyka się o przedmioty, a bełkotliwą mowę przerywa mu głośnie czkawka. Przez całe lata my, aktorzy, bawiliśmy się, sami bawiąc innych całą gamą możliwości, jakie daje rola pijanych. Od jakiegoś czasu jednak zauważam potęgującą się zmianę w reakcjach na „pijane” sceny. Coraz rzadziej to śmieją, coraz częściej panuje cisza, czasem pełna smutku, czasem współczująca. Publiczność jest specyficznym zjawiskiem, miniaturową społecznością, którą połączył czas i miejsce na dwie godziny iluzji. Choćby sztuka, którą publika ogląda, była z innej epoki, oni są tutaj z rzeczywistości współczesnej i reagują zgodnie z duchem terażniejszości. No więc z perspektywy sceny mogę powiedzieć, że odbiór społeczny człowieka pijanego uległ rewolucyjnej przemianie. Może to ewolucja? Może bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy trzeźwych umysłów?

Alkoholowe soczki wywołały protest i dyskusję o szkodliwości alkoholu. Krótko mówiąc, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I choć optymizm tego powiedzenia nie zawsze się potwierdza, kończę nim, bo dobrze jest napisać ostatnie zdanie z nadzieją. /©©

# ALBO JESTEŚ Z TALIBAMI, ALBO TRZEBA CIĘ ZABIĆ



ALEJANDRO MARTINEZ VELEZ/EUROPA PRESS VIA GETTY IMAGES

Od kiedy w sierpniu 2021 r. talibowie zajęli jej ojczyznę, **Fawzia Koofi jest ciągle w drodze**. – Przypominam całemu światu o tym, czego doświadczają moje siostry w Afganistanie – mówi (na zdjęciu podczas konferencji Santander WomenNOW w Madrycie w 2022 r.)

## ROZMOWA Z FAWZIĄ KOOFI, BYŁĄ WICEPRZEWODNICZĄ AFGAŃSKIEGO ZGROMADZENIA NARODOWEGO, DZIAŁACZKĄ EMIGRACYJNĄ

Protesty kobiet w Afganistanie trwają, chociaż przybierają inną niż do niedawna formę. Udział w tajnym nauczaniu też jest formą protestu. Praca, gdy jest zakazana, a ty ją nadal wykonujesz, to też forma sprzeciwu.

### BEATA BŁASZCZYK

**„Nigdzie” – tak pani określa na profilach w mediach społecznościowych swoje miejsce pobytu. Jak mamy to rozumieć?**

**G**dy człowiek nie jest w swoim kraju, nie ma tego poczucia spokoju i ugruntowania, które tylko w ojczyźnie jest możliwe. Od ponad trzech lat, od pamiętnego sierpnia 2021 r., gdy talibowie zajęli Afganistan, jestem nigdzie. Większość czasu spędzam w samolotach. Przypominam całemu światu o tym, czego doświadczają moje siostry w Afganistanie.

Jestem nigdzie także ze względów bezpieczeństwa. Po ostatnim ataku (2021) uświadomiłam sobie, że właściwie przez całe swoje dorosłe życie jestem celem swoich przeciwników, którzy nieraz pokazali, że nie cofną się przed niczym.

**W grudniu 2021 r. napisała pani w mediach społecznościowych: „Moje postanowienie noworoczne to odzyskać mój kraj”. Czy coś jeszcze z tego postanowienia zostało? Kobiety, połowa populacji (powyżej 12. roku życia), nie mają dostępu do edukacji i pracy, nie mają prawa mówić ani nawet patrzeć przed siebie – muszą patrzeć w dół. Kobieta nie może zatrzymać taksówki – nawet jeśli ma na to pieniądze – żeby zawieźć dziecko do szpitala. Chyba niewiele więcej można zakazać – bo wszystko jest właściwie zakazane.**

Najważniejsze, że się nie poddałyśmy. Wtedy byłyśmy rozproszone po świecie – w różnych obozach dla uchodźców, w różnych pokojach hotelowych. Nie wiedziałyśmy, co robić. Teraz jesteśmy tu pod jednym dachem. Ponad 150 afgańskich kobiet – zarówno z kraju, jak i z diaspory. Jesteśmy tu jako uczestniczki pierwszego szczytu kobiet afgańskich („All Afghan Women Summit” w Tiranie odbył się od

11 do 13 września 2024 r. – red.), aby wypracować wspólne stanowisko. Są tu organizatorki ubiegłorocznych protestów ulicznych. Niektóre z nich zostały przez talibów uwięzione. Są tu kobiety, które w podróży spędziły trzy doby. Były wyprasane z samolotów, chociaż miały karty pokładowe, wize i zaproszenia. Wyprasane z samolotów tylko dlatego, że są Afgankami. To, że jesteśmy tu razem, to jest krok do przodu. Tym bardziej jest to ważne teraz, gdy świat naprawdę o nas zapomniał.

**Polityczne rozwiązanie dla Afganistanu nadal jest postrzegane jako możliwe?**

**T**o nasz cel. Afganistan nie potrzebuje kolejnej wojny. Po to tu jesteśmy – żeby po raz pierwszy wypracować wspólne stanowisko. Zacząć mówić jednym głosem. I wokół tego gromadzić także inne siły opozycyjne. Szukanie politycznego

rozwiązania jest też zaleceniem ONZ, która wyznaczyła swojego specjalnego wysłannika do spraw Afganistanu. Wysłannik ten, Richard Bennett, nie może jednak teraz wjechać do Afganistanu.

### **Ponad rok temu obserwowaliśmy uliczne protesty afgańskich kobiet. Podziwialiśmy ich odwagę. Dzisiaj nie ma już protestów.**

Trwają nadal, chociaż przybierają inną formę. Wiele grup kobiet regularnie protestuje w sieci. Branie udziału w tajnym nauczaniu też jest formą protestu. Praca, gdy jest zakazana, a ty ją nadal wykonujesz, to również forma sprzeciwu.

### **Dlaczego na ubiegłorocznych protestach nie było mężczyzn?**

**T**eż zadaje sobie to pytanie. Nie zapominajmy jednak, że talibowie są niezwykle brutalni i w tej chwili nie odpowiadają przed nikim.

Przypadkowy talib na ulicy może w jednej chwili być twoim prokuratorem, sędzią i katem. Zginać jest bardzo łatwo. Ludzie zdają sobie z tego sprawę. Co się stanie z moimi dziećmi, jeśli ja zginę podczas protestu czy przypadkowo na ulicy? Sprawca nie zostanie ukarany. Moje dzieci czy moja schorowana matka zostaną bez żadnej opieki.

Przez ostatnie trzy lata talibowie sprawili, że myśli większości Afgańczyków w kraju ograniczyły się do tego, jak zapewnić rodzinie jeden posiłek dziennie. A właściwie nie posiłek, tylko chleb. Ubóstwo jest niewyobrażalne dla większości z was. Ale tak to jest, gdy połowa populacji nie ma dostępu do pracy. Ludzie są psychicznie i fizycznie wykończeni. Trudy dnia powszedniego pochłaniają całą energię. Nie tylko fizyczną. Budzisz się rano, patrzysz na ściany i sufit swojego pokoju. W nocy nie śpisz i patrzysz w ciemnościach na to samo. Nie ma żadnego wsparcia psychologicznego – tego, co macie w swoich krajach. Ja wiem, co znaczy takie, niemalże z dnia na dzień, zamknięcie w domu. Doświadczylałam tego, gdy talibowie pierwszy raz opanowali Afganistan (w latach 1996–2001 – red.).

### **Jeśli dążycie do pokojowego rozwiązania, to kim miałyby być strony ewentualnego porozumienia?**

**W**okół stanowiska, jakie wypracowujemy, chcemy gromadzić jak największą siłę opozycyjnych w Afganistanie. W tej chwili to kobiety są trzonem protestów. Nie ma żadnych innych liczących się inicjatyw. To właśnie takie działania jak nasze szeroko rozumiany Zachód powinien wspierać.

Nikt nie mówi, że będzie łatwo i szybko. Talibowie nie uznają żadnej formy demokracji czy wyborów. Oczywiście, gdyby teraz odbyły się w Afganistanie wybory, talibowie przegraliby z kretesem. Ale wybory się nie odbędą. Talibowie wierzą bowiem, że w myśl swojej wypaczonej wersji islamu tylko oni mają prawo decydować i rządzić. Decydować o wszystkim. Ich najnowszy dokument dotyczący propagowania cnót i zapobiegania występkom (35 artykułów na 114 stronach) zakazuje kobietom praktycznie wszystkie. Tymczasem kobiety to połowa populacji. One nie są w próżni. Zakazy ich dotyczące mają wpływ na życie wszystkich w Afganistanie. Jeśli lekarka, nauczycielka, fryzjerka czy kosmetyczka traci prawo do pracy i wychodzenia z domu, cierpi cała rodzina, bo z dnia na dzień znika źródło dochodu. Musimy dążyć do jedności i wypracowania wspólnego stanowiska. Tylko wtedy talibowie rozumieją, że jest siła, z którą trzeba się liczyć.

### **Afganistan to bogactwo języków i kultur. Niby dwa – dari i paszto – to oficjalne języki, ale w użyciu jest znacznie więcej. Ponad 40 tych najważniejszych. Mamy zróżnicowanie etniczne i społeczne. Wykształconą kobietę z Kabulu czy Heratu dzieli przepaść od niepiśmiennej mieszkanki wioski, rzeciej czy czwartej żony również niepiśmiennego męża. Jak chcecie wypracować jedność?**

**D**ziś prześladowania dotyczą nas wszystkich. To prawda, niektórych bardziej. Hazardowie zawsze byli prześladowani przez talibów. Są szczytami – i to dodatkowy powód, aby ich prześladować. Świat talibów jest prosty – albo jesteś z nami, albo trzeba cię zabić.

### **Czasem spotykamy w mediach opinie, że może i talibowie wprowadzają drakońskie prawa, ale Afganistan stał się za ich rządów bardziej bezpieczny. Jest pani w stałym**

### **kontakcie ze swoimi rodakami i rodaczkami w kraju. Podzielają tę opinię?**

**T**o, że nie ma regularnych nalotów czy bitew, nie znaczy, że jest bezpiecznie. Brak wojny nie oznacza automatycznie bezpieczeństwa. Możesz się czuć bezpiecznie, gdy ministrem spraw wewnętrznych jest człowiek, który przez lata szkolił zamachowców-samobójców? Gdy w tym ministerstwie jest specjalna komórka do spraw zamachów samobójczych? Do tego się nadal zachęca. Talibscy oficjele spotykają się z rodzinami zamachowców-samobójców i zachęcają innych do pójścia w ich ślady. To jest bezpieczeństwo?

Każdego dnia nad ranem mogą do twojego domu wpaść zamaskowani, uzbrojeni ludzie – rzekomo w poszukiwaniu broni. Jeśli rzeczywiście coś znajdują, to następnym razem naprawdę nie będzie już jak się bronić. Jak ma się czuć Afganka, gdy kilkunastu brodatych mężczyzn z wypiekami na twarzy przegląda jej szuflady z bielizną? Jak ma się czuć Afgańczyk, który nie ma jak bronić swojej matki, żony i sióstr? To jest bezpieczeństwo? Nie ma dnia bez informacji o atakach czy egzekucjach. W biały dzień. Gina nie tylko ludzie, którzy pracowali w policji czy wojsku. Do nauczyciela podchodzi talib i strzela. Odchodzi, jak gdyby nigdy nic. Przecież nic się nie stało. Kolbą karabinu może bić kobietę po głowie, bo niewystarczająco w dół skierowała wzrok. Jeśli kobieta nie patrzy w dół, to może prowokować swoim zachowaniem do występków. On za to nie odpowie. Ona może pozostać trwale okaleczona.

Za to Afganistan teraz jest bezpieczną przystanią dla terrorystów wszelkiej maści. Ponad 20 takich grup działa teraz w Afganistanie, Pakistanie oraz krajach Azji Środkowej. Ale to w Afganistanie czują się szczególnie bezpiecznie. Sukces talibów sprzed trzech lat to inspiracja dla wielu ugrupowań terrorystycznych nie tylko w regionie. Skoro im się udało, jeśli pójdziemy w ich ślady, to też mamy szansę – tak myśli wielu w Boko Haram (Nigeria) czy Al-Szabab (Somalia).

### **Coraz więcej krajów decyduje się na przekazanie talibom afgańskich placówek dyplomatycznych.**

Przekazanie placówki talibom oznacza dostęp do wszystkich danych, jakimi ona dysponowała. Dla przykładu – w połowie sierpnia 2021 r. do Polski ewakuowano około tysiąca Afgańczyków i Afganek, którym groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, bo pracowali dla sił koalicyjnych, dla wojska. Byli tłumaczami. Pośredniczyli w kontaktach. Przekazanie ich danych talibom byłoby powtórnym wyrokiem śmierci.

### **Co chciałaby pani przekazać rządowi państw zachodnich, które stoją w przededniu takich decyzji? Talibowie oświadczyli niedawno, że wizy i wszelkie dokumenty wydawane przez afgańskie placówki w 14 krajach zachodnich – w tym w Polsce – nie będą przez nich honorowane. Polacy mogą się ubiegać o afgańskie wizy na przykład w Hiszpanii czy konsulacie w Monachium.**

**Ś**wiat o Afganistanie zapomniał. Nie chcecie myśleć o naszym bezpieczeństwie, to pomyślcie o własnym. Przyjedzie nowy talibski attaché prasowy czy kulturalny. Naprawdę wierzycie, że zdołacie prześwietlić człowieka tak, żeby było bezpiecznie? Naprawdę chcecie szeroko otworzyć drzwi dla ludzi, którzy będą dla was realnym zagrożeniem? Siatki terrorystyczne tworzone przez lata z łatwością przeniosą się do was. Naprawdę wierzycie, że zdołacie sprawdzić, że to syn dyplomaty, a nie zamachowiec samobójca gotowy do wypełnienia swojej misji?

To jest normalny ludzki odruch. Nikt nie chce kłopotów. Myślicie – Islamska Republika Afganistanu już nie istnieje (talibowie utworzyli Islamski Emirat Afganistanu – red.), trzeba się pogodzić z rzeczywistością, pozbyć się problemu. Ale to bardzo krótkowzroczna perspektywa. Wpuszczając do kraju talibów, możecie sprawdzić do siebie problemy na lata i całe dekady. Nowi talibscy „dyplomaci” wcale nie muszą wyglądem przypominać swoich pobratymców z Afganistanu. Mogą być elegancko ubrani, mieć schludnie przystryżone brody.

### **Wierzy pani, że jednak to przekazywanie ambasad talibom nie stanie się procesem na skalę światową. Jeśli jednak kolejne kraje tak postąpią, co stanie się z afgańskimi dyplomatami?**

Z dnia na dzień zawisną w otchłani. Nie będą obywatelami Islamskiej Republiki Afganistanu, bo ta

już nie istnieje. Nawet jeśli sami przedłużą swoje paszporty, w Afganistanie nie będą one honorowane. A i tak czekałaby ich tam egzekucja. Z dnia na dzień – nie są dyplomatami, nie są obywatelami Afganistanu, nie są uchodźcami. Co z ich dziećmi? Kto i gdzie przyjmie je do szkoły? Kto im zapewni ubezpieczenie zdrowotne i dostęp do – choćby elementarnej – ochrony zdrowia? Afgańscy dyplomaci pracowali przez ponad trzy lata bez żadnego wsparcia ze strony państwa – bo ich państwo zostało przejęte przez talibów. Były niewielkie dochody z działalności konsularnej, ale sami musieli się utrzymać. I najczęściej po prostu wykorzystywali swoje oszczędności lub korzystali z pomocy rodziny. Tak było w krajach – Polska jest tu dobrym przykładem – gdzie nie ma milionowej afgańskiej diaspory, która placówkę dyplomatyczną mogłaby wesprzeć.

Afgańskie placówki dyplomatyczne w rękach talibów to będą nie tylko ich centra wywiadowcze, ale także ośrodki prania pieniędzy. Talibowie czerpią ogromne dochody z produkcji narkotyków. Jako „dyplomaci” będą mogli z łatwością przesyłać ogromne kwoty na Zachód i będzie im znacznie łatwiej finansować operacje terrorystyczne. Te podwójne standardy okazywane teraz przez tzw. wolny, zachodni świat nie przestają mnie zdumiewać. Można mówić o przywiązaniu do demokracji, praw człowieka i jednocześnie przekazywać placówki dyplomatyczne ludziom, którzy są zaprzeczeniem takich wartości. Wciąż wierzę jednak, że przyjdzie refleksja i kolejne ambasady nie zostaną przekazane.

### **Zachód to jedno. Dlaczego potężne kraje muzułmańskie nie reagują na drakońskie prawa wprowadzane przez talibów? Często pani podkreśla, że edukacja to nie tylko prawo, ale i obowiązek muzułmanów i muzułmanek.**

**P**odczas ramadanu odwiedziłam kilka wpływowych muzułmańskich krajów. Prosiłam, aby nasza konferencja mogła się tam odbyć. Wszędzie usłyszałam wiele miłych słów wsparcia i tę samą odpowiedź: „to nie pora”, „to bardzo dobry pomysł, ale nie teraz”. Bardzo brakuje jasnego sprzeciwu wobec wypaczania naszej religii. Talibowie spychają Afganistan w mroki czasów przedislamskich. Wpływowe muzułmańskie kraje mogłyby zwrócić się do nich, aby pokazali na gruncie religijnym uzasadnienie tego, co robia dziś w Afganistanie. Taka wyraźna konfrontacja mogłaby wiele zmienić. Wciąż na to czekam i będę o to zabiegać.

### **Wiemy, jak bardzo potrzebna jest pomoc humanitarna w Afganistanie. Co tydzień do opanowanego przez talibów banku centralnego wpływa 40 mln dol. pomocy międzynarodowej, którą zawiaduje ONZ. Czy nie byłoby lepiej przekazywać środki bezpośrednio do organizacji pomocowych?**

Zdecydowanie tak. Talibowie wydają ogromne sumy na swoje służby i wywiad. Pomoc trafia nie do najbardziej potrzebujących, ale do tych, którzy okazują lojalność wobec reżimu. W dzisiejszym cyfrowym świecie naprawdę łatwo jest dotrzeć do organizacji pomocowych i wesprzeć je bezpośrednio. Dotrzeć do organizacji prowadzonych przez kobiety. Oficjalnie jest to zabronione, ale są kobiety, które działają i zapewniają regularne wsparcie swoim rodaczkom.

### **Organizacja, której jestem wolontariuszką, właśnie w taki sposób finansuje lekcje języka angielskiego w jednym z kabulskich sierocińców. 20 dziewcząt ma lekcje języka angielskiego trzy razy w tygodniu, a nauczycielka – regularne źródło dochodu. To 120 dol. miesięcznie. Co jakiś czas kupujemy też nowe podręczniki i zeszyty.**

**O**czywiście, łatwiej jest zrobić jeden przelew i zapomnieć o sprawie na miesiąc. Odrobina wysiłku i naprawdę można dotrzeć z pomocą do najbardziej potrzebujących. Jest internet, są telefony komórkowe, są media społecznościowe. Można nie tylko dokumentować zbrodnie, ale też szukać pomocy, kontaktów czy informacji. To znacznie lepsze niż comiesięczne wzbogacanie talibów. Inwestycja w edukację dziewcząt i kobiet to najlepsze, co można teraz zrobić. Bardzo do tego zachęcam. /©©

Fawzia Koofi – była wiceprzewodnicząca parlamentu afgańskiego. To najwyższe stanowisko zajmowane dotychczas przez Afgankę. Od 2015 r. poza krajem – zabiega o wsparcie dla swoich rodaków i rodaczek. Autorka „Listów do moich córek”, Warszawa 2011; współautorka (razem z Nadene Ghouri) „The Favored Daughter”, Nowy Jork 2012

## MARCIN KRÓL

Wolność jednostki to wolność tworzenia, wolność zmiany miejsca zamieszkania, wolność podejmowania w dowolnym momencie podróży do świata duchowego. I tego ani zabronić, ani mi polecić nie może nikt. Tego nikt też nie może mi odebrać.

# WAŻNE JEST TO, ŻE ŻYJĘ

**K**im więc jest romantyk? Dlaczego sądzi, że to jego właśnie metoda poznania świata duchowego stwarza największe szanse umysłowe i artystyczne, i zarazem zabezpiecza przed skrajnościami absolutyzmu i relatywizmu, religijnego panspirytualizmu i liberalno-prawnego formalizmu?

Wszystko zaczyna się od zgody na świat. Kiedy wyrażam tę zgodę, kiedy stosuję wobec najrozmaitszych objawów, fenomenów, rzeczy na mnie napierających, ludzi mnie otaczających, spraw mnie obchodzących odruch bądź zasadę dobrej woli, wówczas wyrażam zgodę na świat. Nie dlatego ją wyrażam, że jest on rozumny, nie dlatego, że przeniknąłem wielką grę historii i znam jej zakończenie. Jak łatwo bowiem wygrać, jeżeli się zna z góry rozkład kart, jeżeli się oswoiło sowę Minerwy. Romantyk nie jest więc heglista, mimo że historia jest dla niego ważnym źródłem kryteriów poznawczych.

Nie dlatego też wyrażam zgodę na świat, że jestem czuły, sentymentalny, dobry czy może poczciwy. Nie jest to bowiem zgoda na leżkę wzruszenia, na igłę zazdrości. Jest to zgoda na ciało i duszę, na widoki i na uczucia, na mrok, na nędzę, na strach. Zgoda wyrażająca się w jednym stwierdzeniu: to wszystko jest. I w jednym domniemaniu: za tym wszystkim jest coś więcej, co jest prawdziwsze, bo po prostu bliższe Prawdy. Bo dzięki dobrej woli i niezbędnej pracy można za pośrednictwem tych wszystkich dzieł stworzenia (ludzkiego i Boskiego) dotrzeć do prawdziwego świata – świata duchowego. I dobrze wiem, że z trudem i z rzadka tylko mi się to udaje, że udaje mi się to lepiej lub gorzej, że przebywam w nim dłużej lub krócej. Ale jednak udaje się. Wiem, że on istnieje niezależnie ode mnie, że istnieje obiektywnie, wiem, że to nie są ani moje sny, ani mgliste rojenia, ani natrętne obsesje, ani nastawiona na mnie, na nas, pułapka.

## Wolność dążenia do prawdy

**M**ożna oczywiście powiedzieć nie. Można też powiedzieć, że świat ten jest, ale go lekceważyć, odsuwać, pomijać, ignorować. Można tak postępować z różnych przyczyn i dla różnych celów. Dlatego, że się sądzi, iż jest to rzeczywistość wtórna, że jedyną rzeczywistością jest Bóg. Ale wtedy zostajemy pozbawieni szansy na udział w wypełnieniu się dziejów, wtedy traci sens zarówno myśl o Sądzie Ostatecznym, jak i traci sens kultura rozumiana jako Kościół dla uczuć niereligijnych, czyli widzialna postać świata duchowego. Tracą bowiem sens ludzkie wysiłki, skoro świat jest już stworzony raz na zawsze, został stworzony raz na zawsze i nasz w nim pobyt służy tylko moralnym sprawdzinom. Bogactwo, różnorodność i wielowartościowość stają się jedynie przypadkowymi formami zawsze tego samego kształtu, tego samego modelu i ideału. Historia – książką telefoniczną występku i cnoty. Polityka – ponurym widowiskiem namiętności walczącej z moralnością. Człowiek – pastwą przewinienia i łaski. A poznanie – pustym wypełnieniem czasu, skoro wszystko i tak zostało powiedziane.

Świat duchowy można lekceważyć, także patrząc nań z przeciwnej strony, nie z góry, lecz z dołu. Można go po prostu uznać za sprawę prywatną, którą nie powinno się zajmować poważnie. Mogę wierzyć, że on istnieje, ale nie wolno mi twierdzić, że jego istnienie obowiązuje kogokolwiek poza mną. Bo pierwszą rzeczywistością jest prawo, wolna gra sił na wolnym rynku, są prawa

moje jako obywatela i jest moja wolność negatywna. Dla mnie jednak ważna jest nie wolność negatywna, lecz pozytywna, ważna jest dobra wola, akt domniemania i wolność dążenia do Prawdy. Ważne jest to, że żyję, że mogę żyć w świecie nieskończonym, niepełnym, że mogę próbować ten świat dopełniać. Dla romantyka wielkie zwycięstwo w kulturze europejskiej nie polega ani na stabilności struktur formalnoprawnych, ani na tym, że panteistyczna czy panspirytualistyczna obecność Boża nadaje osobie jej niezbywalne prawa. Wolność jednostki to wolność tworzenia, wolność zmiany miejsca zamieszkania, wolność podejmowania w dowolnym momencie podróży do świata duchowego. I tego ani zabronić, ani mi polecić nie może nikt. Tego nikt też nie może mi odebrać. Ani zdeprawowana polityka, ani zdychająca od samoukasznień kultura, ani żaden z licznych systemów podejrzeń, ani policja ducha ubrana na czarno, ani policja myśli ubrana na czerwono, ani policja prawa w krawatach i wełnianych garniturach w jodełkę. Bo metoda poznawcza romantyzmu służy właśnie wykorzystaniu wolności.

Taka wizja świata duchowego i sposobów docierania do niego opiera się na ludzkiej jednostce, na człowieku pneumatikos. Dążąc do Prawdy człowiek pneumatikos zaludnia swoimi tworamii świat duchowy. Ale jedynym żywym podmiotem jest on i kiedy mowa o wolności, to mowa o wolności jednostki, pełnej, anarchicznej wolności jednostki, o pełnej, anarchicznej wolności ducha.

Dla romantyka dzieje przedstawiają się jednocześnie jako teren, na którym jednostka uzyskuje coraz większy zakres wolności pozytywnej, i jako parlament uchwalający kolejne ograniczenia wolności jednostki dla jej dobra (rzekomo dobra). Z punktu widzenia historii ducha, Historii Zbawienia, istnieją tylko poszczególne ludzkie. Podmiotami mierzącymi do Prawdy, dokonującymi aktu wiary w Prawdę lub kierującymi się domniemaniem Prawdy mogą być tylko jednostki. Kiedy mówi się o duchu zbiorowości (takiej jak naród czy inne grupy), dokonuje się albo niebezpiecznego zabiegu personifikacji, albo jest to skrót myślowy określający logikę narodowego (grupowego) myślenia wynikającą z tego, że znaczna liczba jednostek składających się na naród żyje w podobnych okolicznościach, poddana jest podobnym uwarunkowaniom, stawia sobie podobne pytania.

Świat duchowy jest więc zamieszkały przez dzieła jednostek i tylko jednostek. Przez dzieła, które właśnie jako twory jednostek zmierzających do Prawdy nie podlegają określeniu ani ograniczeniu przez prawa obowiązujące na poziomie niższym. Nie znaczy to jednak, że całe życie jednostki upływa w owej duchowej sferze, że może się uwolnić do końca, otrzepać z pyłu cywilizacji, społeczeństwa, polityki. Mieszkańcami sfery duchowej nie są twory wieczne, wzory, modele, idee, twory doskonałe, których zawsze mniej lub bardziej ułomnym odwzorowaniem byłyby dzieła stwarzane przez jednostki. Bowiem te dzieła i sieć powiązań między nimi określają mapę świata duchowego. Jest to więc świat konkretny i zarazem świat skazany na niedoskonałość, niedostateczność, niepełność.

Kogo interesuje tylko uniwersalność idei, jej wszechobowiązująca moc i wszechobecny wpływ, kogo nie przekonuje wizja Prawdy poznawanej zawsze pośrednio, zawsze przez konkret, zawsze nie do końca na skutek przyrodzonej człowiekowi ułomności oraz na skutek tego, że mamy do czynienia tylko z realizacjami jednostkowymi, a nigdy ze wzorami, zawsze z tym, co

Wolność nie jest stanem, lecz wyzwaniem, nie jesteśmy wolni, lecz bywamy wolni, wtedy, kiedy wolności naszą realizujemy. **Nie ma wolności bez jej wykorzystania**

niepowtarzalne, a więc nie z tym, co uniwersalnie obowiązujące, ten ze światem duchowym nie może nawiązać kontaktu.

## Wolność ucieczki od świata?

**J**eżeli jednak wolność jednostki jest sprawą tak ważną, jeżeli gotowi jesteśmy mówić o konkretnym charakterze świata duchowego, jeżeli wszelkie do niego podróże i wszystkie kontakty w jego ramach odbywają się zawsze poprzez konkret, poprzez konkretne dzieło, które z kolei zawsze jest przez swoją konkretność ograniczone, niepełne, ułomne, którego konkretność nieuchronnie stwarza dla uniwersalności barierę nie do przebycia, jeżeli jest tak, to dlaczego korzystając z konkretności, żywiąc się nią i ciesząc, jednocześnie chcemy się jej wyzbyć, zrzucić z siebie jak niepotrzebne okrycie przeszkadzające nam w podróży do absolutu uniwersalnego, do Prawdy?

Zbliżając się do Prawdy, ludzie pneumatikos upodobią się do siebie, odległość między nimi ulega zmniejszeniu, porozumienie ma krótszą drogę do przebycia, mniej jest zatem przeszkód i mniejsze ryzyko zakłóceń. Czyżby pewien spirytualizm, a nawet spirytualizm (lub pneumatyzm) o gnostycznym charakterze był dla myślenia o świecie duchowym nieunikniony? Czy rzeczywiście jest tak, jak wielokrotnie wspominali filozofowie, że im poznanie bardziej pewne, tym bardziej puste? Czy wolność ducha ma się sprowadzać do wolności ucieczki od świata? Czy świat duchowy jest dla jednostki właśnie azylem, schronieniem przed obciążeniami konkretnością, doraźnością, nieuchronną ułomnością?

Świat duchowy nie jest takim azylem, a problemy wynikające z powyższych pytań są w znacznej mierze pozorne. Wszystko zależy od stosunku do przyrodzonej ułomności ludzkiej natury, a dla chrześcijanina od stosunku do grzechu pierworodnego. Jeżeli ułomność przyrodzoną jednostki uważamy tylko za obciążenie, to pytania powyższe mają sens, jeżeli także za szansę, to należy postawić pytanie odmiennie.

Wiadomo, że dopiero idea grzechu pierworodnego pojmowanego nie jako jednorazowe historyczno-symboliczne zdarzenie, lecz jako stan, wprowadza dramat





do historii. W przeciwnym razie chrześcijańska wizja historii byłaby nieskończenie nudna: wysiłki ludzkie polegałyby na wypełnieniu z góry przygotowanego planu, a jedynym przedmiotem ciekawości byłoby przewidzenie lub raczej odgadnięcie szczegółów tego planu, a zatem odgadnięcie przyszłości. Zniknęłaby różnica między tymi, którzy chcą znać przyszłość, a tymi, którzy chcą ją tworzyć.

Nie ucieczka więc od ułomności, ale przekształcenie jej w szansę – jak dobrze rozumiał to Gombrowicz, nie ucieczka od konkretności, od nieuchronnego zanurzenia w szczególe, w niepowtarzalnym szczególe, ale stworzenie języka, który umożliwi porozumiewanie się niepowtarzalnych szczegółów. Sytuacja jednostki, jej zamysł wykorzystania własnej wolności bez słamazarnej lub melancholijnej ucieczki od świata, stanowi wyzwanie w stosunku do logiki racjonalizmu, wobec zasady sprzeczności. Na wyzwanie języka, w ramach którego – jak wiadomo – porozumienie intersubiektywne nie jest w pełni możliwe, wszelka istotna twórczość: dzieło jednostek, odpowiada przekonaniem, że do porozumienia dochodzi właśnie w świecie duchowym; na wyzwanie logiki pragnącej w morzu niepewności odnaleźć to, co pewne, odpowiada przekonaniem, że nie taka pewność jest ważna, lecz taka, którą uzyskujemy dzięki błyskowi światła, dzięki intuicji zarzuconej na drugi brzeg. Na wyzwanie egzystencjalne, na wszystkie te „rzucenia w świat” i poczucia samotności, odpowiada przytoczeniem niewątpliwych faktów świadczących o tym, że tylekroć udawało się duchowi ludzkiemu samotność przeczłodzić.

W ostatecznym rachunku będzie to zawsze problem rozumienia ludzkiej wolności, problem rozumienia tego, po co człowiekowi dano wolną wolę. Dla jednych wolność jest wprawdzie przywilejem, ale i ciężarem, źródłem niezliczonych tragedii. Kto tak myśli, ten często ma skłonność zdjąć z nich choćby część ciężaru i ograniczyć ich wolność. Jakże często sadystyczny pesymizm kryje się poza optymistycznym racjonalizmem lewicowo-rewolucyjnych poglądów! Wolność bywa także rozumiana jako kondycja, jako sytuacja, której się nie ocenia, nad którą się nie lamentuje, ale która także nie cieszy.

Krytycy wolności patrzą na życie społeczne i na życie jednostek, obserwują i notują. Najbardziej inteligentni doprowadzili do ukształtowania liberalnej wizji świata i liberalnego porządku politycznego. Rozumowali mniej więcej tak – wolność jest przyrodzonym stanem człowieka, wolności nie należy ograniczać, bo tylko wolny człowiek potrafi możliwie najlepiej myśleć i produkować.

Kiedy jednak przyjrzeć się społeczeństwu, to widać, że jednostki tracą wiele wysiłku na niepotrzebne spory i konflikty, niepotrzebne refleksje i złudzenia. Dobra organizacja życia publicznego, a pośrednio i prywatnego, może wiele z tych przeszkód, z tych ograniczeń jednostkowej wolności wyeliminować.

Takiemu pojmowaniu wolności negatywnej, wolności od ograniczeń i przymusów przeciwstawić należy ideę wolności wykorzystanej. Wolność nie jest stanem, lecz wyzwaniem, nie jesteśmy wolni, lecz bywamy wolni, wtedy, kiedy wolność naszą realizujemy. Nie ma wolności bez jej wykorzystania. Jest ona wyzwaniem dla ducha, jest rzeczywista tylko wtedy, kiedy dzięki niej coś powstaje. Ujawnia się nie w obronie, w ucieczce, w tragedii, lecz istnieje tylko wtedy, kiedy istnieje pozytywność. Wolność to ani uświadomiona konieczność, ani umiejętność zręcznego posługiwania się prawami rządzącymi światem materii bądź światem społecznym. W tym sensie wolna może być tylko jednostka, a w każdym razie sensownie wypowiadać się możemy tylko o wykorzystaniu wolności przez jednostkę.

Wolność zostaje wykorzystana zawsze w świecie duchowym, bowiem jest ona wtedy twórczością, a więc nawiązywaniem porozumienia. Jednak wolność wykorzystana nie unicestwia przyrodzonej człowiekowi ułomności, a tylko stanowi jej przezwyciężenie tym trwalsze, im silniej umieszczone w sieci porozumień duchowych, ale nigdy całkowite ani ostateczne. Twórczość pojmowana jako rezultat wykorzystania wolności oznacza więc częściowo choćby udaną podróż do rzeczywistości duchowej. Grzech pierworodny czy też przyrodzoną ułomność człowieka należy zatem uważać za ograniczenie, porażenie czy nawet atrofię zmysłu rzeczywistości.

### Na miarę wymagań absolutnych

**P**orzadkując, można powiedzieć tyle: dla romantyka ułomności człowieka powodują, iż praca staje się obowiązkiem. Celem tej pracy jest dotarcie do świata duchowego, niezbędnym warunkiem jest domniemanie Prawdy lub po prostu wiara w Prawdę, Boga. Ponieważ interesują mnie nie tyle epistemologiczne czy teologiczne konsekwencje przedstawionych po wyżej uwag, ile ich konsekwencje dla życia duchowego i politycznego, nie będę się wdawał w rozważanie szczegółów podróży do świata duchowego,

sposobów na pobudzenie, uaktywnienie zmysłu rzeczywistości duchowej. Dla romantyka jedynym podmiotem dokonującym pracy, który może wykorzystać wolność, który jest zdolny do twórczości, który wreszcie dysponuje zmysłem rzeczywistości duchowej, jest jednostka. Uwarunkowania historyczne, społeczne, polityczne wpływają bez wątpienia na treść tworzonych przez jednostkę dzieł, lecz wpływ ten ma charakter zewnętrzny, powierzchowny i tym bardziej zewnętrzny i powierzchowny, im większa praca została dokonana. Praca wprawdzie nie jest podejmowana w celu oderwania się od takich wpływów, lecz w sferze duchowej wpływ nieduchowych uwarunkowań jest widoczny tylko w kształtach zewnętrznych.

Romantyzm w pierwszej połowie XIX wieku dostrzegał widoczne już wyraźnie lub jeszcze ukryte zagrożenia wynikające z takiego pojmowania jednostki. Próbował udowodnić, że jedynym kierunkiem gwarantującym rozwój kultury, a wskutek tego rozwój życia publicznego, stwarzającym szansę na realizację podstawowych wartości, jest elitarystyczny indywidualizm. Nie dlatego, że jest to postawa najlepiej dopasowana do wymagań nowożytności, ani dlatego, że dzięki niej możliwy jest banalny humanizm, ani dlatego, że broni przed powabami i negatywnymi skutkami scjentyzmu, ani dlatego, że zaspokaja artystowskie potrzeby i gusta, sprzyja wycieczkom w wysokie góry i łzawo-idealnym uczuciom, nie dlatego, że pociesza ludzi rozczarowanych surowymi wymaganiami życia, bo podsuwa im mesjanistyczne i milenarystyczne rojenia, nie dlatego, że spirytualistyczne mętniactwo zamazuje realne wymiary problemów stojących przed ludźmi i przed społeczeństwami, nie dlatego, że praca jest radością, heroizmem naturalnym odruchem człowieka, a czyste uczucia stają się stałą formą odniesienia do bliźniego – lecz dlatego, że jedynie romantyzm, ten elitarystyczny indywidualizm zna i przedstawia związki między jednostką, jej wolnością, światem duchowym i Prawdą, takimi, jakie one są, takimi w każdym razie, jakie mogą być, jakie są na miarę człowieka, ale i na miarę wymagań absolutnych. /©

Fragment książki Marcina Króla „Podróż romantyczna”, która ukazała się w sierpniu nakładem wydawnictwa Iskry, Warszawa 2024

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

Marcin Król był współzałożycielem i redaktorem naczelnym pisma „Res Publica”, następnie „Res Publica Nowa”. Przez wiele lat współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym”. Był publicystą, filozofem polityki, historykiem idei. Działal w opozycji, był zaangażowany w prace stowarzyszenia „Dziekania”, wchodził w skład Komitetu Obywatelskiego. Promował myśl konserwatywną, krytycznie ocenił sposób transformacji Polski po upadku komunizmu

## ZOFIA JABŁONOWSKA-RATAJSKA

Z czasem ludzie znikają z obrazów Józefa Chełmońskiego, tak jakby lepiej czuł się sam na sam ze zwierzętami, ptakami, pośród natury. Nic dziwnego, że tak bliski jest współczesnym ruchom ekologicznym.

## TAKI PEJZAŻ

**W** korowodzie obrazów na ścianach muzeum przesuwają się folwarki, karczmy, targi konne, czwórki i trójki rozpędzonych koni, zadymki i roztopy, kłębowska ludź, ciasne chaty, ptaki i niedosięga dal zasypanych śniegiem stepów. Burza nad pastwiskiem zaznaczona jedynie smugą błyskawicy na ciężkim stalowym niebie, światło oświetlające płótno płynie spoza chmur, a jednocześnie oświetla to, co dzieje się na łące. Pochyleni, uciekający przed ulewą ludzie, przestraszone krowy w tle. Mały pastuszek na pierwszym planie zdjął kapelusze i nabożnie żegna się na odgłos pioruna.

Ludzie, konie, ptaki są częścią malarskiej historii życia artysty. Ale czasem pozostaje tylko pusta droga wśród traw, na którą wchodzimy jak przez otwarte okno. Wszystko to jest nie tylko dobrze zaobserwowane, ale i głęboko doświadczone, a dzięki temu pełne emocji, które odbieramy mimo upływu lat i zmian w sposobach obrazowania. Czego jeszcze możemy dowiedzieć się z tych płócien o polskiej wsi z końca XIX w.? I jak wraz ze zmianami społecznymi i politycznymi zmienia się podejście do „kwestii chłopskiej” w sztuce?

O sile malarstwa Józefa Chełmońskiego (1849–1914) przekonuje wystawa otwarta właśnie w Muzeum Narodowym w Warszawie. Ten zakrojony na wielką skalę, długo przygotowywany przegląd twórczości artysty zanurzonego – mimo zagranicznych studiów i sukcesów nawet za oceanem – w polskim pejzażu i jego kolorycie skupia wysiłek wielu osób i instytucji, muzealników i konserwatorów. Po warszawskiej (czynnej do 26 stycznia 2025 r.) kolejne odsłony ekspozycji będzie można oglądać w muzeach narodowych w Poznaniu, a następnie w Krakowie.

## Wzrok, słuch, węch, dotyk

**K**uratorzy wystawy Ewa Micke-Broniarek i Wojciech Głowacki dokonali ogromnej pracy badawczej, szczegółowej kwerendy, pożyczono obrazy od prywatnych właścicieli, z kolekcji polskich i amerykańskich. 119 płótnom towarzyszy wybór rysunków i szkiców pozwalających prześledzić warsztat artystyczny ich twórcy. Wystawa podzielona została na części tematyczne, pokazując jednocześnie stopniowe odchodzenie od anegdoty usprawiedliwiającej powstanie obrazu do coraz oszczędniejszych, pozbawionych narracji, kontemplacyjnych spotkań z naturą.

Temat pierwszy to malarska kronika wsi wraz z dynamicznymi odsłonami jej życia – kolorowymi jarmarkami, targami czy polowaniami, ale także wspomnieniami z powstania styczniowego. Fascynacja końmi – mistrzowskie próby uchwycenia ich ruchu, bogactwo ras i typów, same, z jeźdźcami, saniami lub wozem aż po rozpędzone trójki i czwórki – to ten rodzaj malarstwa, jaki przysporzył Chełmońskiemu największą sławę, a także pieniądze. Sprzedawane rozmiłowanym w koniach ziemianom i zafascynowanym polską egzotyką Francuzom i Amerykanom znalazły się w wielu kolekcjach świata.

Dalsze części wystawy pokazują kolejne odsłony pejzażu – coraz bardziej malarskiego, zmierzającego od realistycznych ujęć w stronę impresjonizmu lub symbolizmu, coraz głębiej odczuwanego i przeżywanego. Ludzie znikają z obrazów Chełmońskiego, tak jakby lepiej czuł się sam na sam ze zwierzętami, ptakami, pośród natury. Nic dziwnego, że bliski jest współczesnym ruchom eko-



„Babie lato” Józefa Chełmońskiego uznano w jego czasach za obraz nieprzyzwoity. Kobieta, w dodatku wiejska, zamiast skromnie spełniać swoje obowiązki, marzy o jakichś chwilach szczęścia? Na wystawie w Muzeum Narodowym w Warszawie przekonujemy się, jak trudno było artyście przełamać stereotypy

logicznym i antycypuje wątek chętnie podejmowany dziś przez artystów.

W programie edukacyjnym wystawy znalazły się wycieczki przyrodnicze. A z audiobooka objaśniającego dzieła mistrza płynie głos obrońcy zagrożonej przyrody Adama Wajraka.

Płóciennym malarzom nie trzeba ożywiać i poddawać cyfrowej animacji, choć posługiwał się jedynie środkami malarskimi, osiągał efekt współobecności patrzących, jego obrazy angażują nie tylko wzrok, ale i słuch, węch, dotyk – wydaje się, że czujemy zapach deszczu, przejmujący chłód poranka, mokrą zielen, tuman kurzu.

## Gorsząca wiejska dziewczyna

**C**iekawe, czy Józef Chełmoński myślał kiedyś, że jego obrazy trafią „pod strzechy” – i te wiejskie, i te miejskie. Stało się to współcześnie, na dużą skalę, dzięki ich wykorzystaniu w ostatniej, animowanej ekranizacji „Chłopów” Władysława Reymonta. Dlaczego „Babie lato”, „Burza”, „Orka”, malowane przecież ponad 20 lat przed napisaniem powieści, współtworzą scenariusz filmu wraz z dziełami nieco młodszego Leona Wyczółkowskiego czy Juliana Fałata? Bo to m.in. oni utrwaliли obraz wsi wciąż zakorzeniony w naszej wyobraźni i próbach odrodzenia dawnego folkloru. Polska ludowość, polski pejzaż malowany w duchu realizmu przez odrzucających dawny patos czy idealizację artystów nie są wolne od romantycznej nuty. Są to przecież czasy zaborów i tęsknoty za wolnością. Wieś i ludowość stają się ściśle powiązane z kwestią narodową i szeroko pojętą politycznością swego czasu.

Polska XIX i początków XX wieku była przede wszystkim krajem rolniczym, sami artyści wywodzili się często ze wsi – czy to z warstw ziemiańskich, czy chłopskich, jak Aleksander Kotsis i prawdopodobnie sam Chełmoński. Dlatego to znali najlepiej i to malowali.

Biedna wiejska zagroda, pożar pozostawiający rodzinę bez dachu nad głową Kotsisa czy „Trumna chłopska” Aleksandra Gierymskiego. To rodząca się wrażliwość na krzywdę, nierówność i krytyka stosunków społecznych. Z drugiej strony chłopskie wesela i barwne stroje – sielskie obrazki sławiące koloryt i piękno swojskiego krajobrazu, wszystko to mieściło się w spojrzeniu na wieś, z którego publiczność i krytyka wybierali w większości te obrazy, które odpowiadały ich kanonom estetycznym i które mogli powiesić w swoich salonach.

Malarstwo jest polityczne w tym znaczeniu, że odkrywa to, co pokazał artysta, i zakrywa to, czego nie pokazał. Wszelka reprezentacja, najbardziej realistyczna, jest kwestią wyboru. I ten wybór motywów, tematów należy do porządku, któremu artyści na ogół ulegali, chcąc swoje obrazy wystawić i sprzedawać. „Obraz jest językiem i także ma siłę performatywną – stwarza rzeczywistość, której wcześniej nie było” – jak pisał we wstępie do „Estetyki jako polityki” Jacques’a Ranciere’a artysta Artur Żmijewski.

Aby jednak na tę mowę obrazu odpowiedzieć, potrzebny jest odbiorca. Bez niego obraz pozostaje niemy. Jakich odbiorców miał poważany przede wszystkim jako zamożny ziemianin Piotr Michałowski? Portretując Seńkę, starego chłopca ze swego majątku, Bolestraszczyk, z pewnością przejmował się jego losem. „Seńko, którego chudą wyrazistą twarz pamiętać musisz, prosząc o kapustę (...) mówił mi, że po tych powodziach wszyscy są biedni”, pisał do żony. Ale pokazał go jako wzór do postaci Don Kichota, podobnie jak równie wyrazisty portret chłopca w kapeluszu posłużyć miał mu do postaci Sancho Pansy. Było to około 1846 roku, już po rabacji i po uwłaszczeniu. Czy mimo tych wydarzeń tylko tak usprawiedliwione portrety chłopskie mogły występować obok dzieł artysty lub jego możnych krewnych?

Odbiorcy obrazów Józefa Chełmońskiego, wsparci głosami ówczesnej krytyki artystycznej, widzieli i odczytywali przede wszystkim anegdotę. Przyzwyczajeni byli



PRAP/ALBERT ZAWADA

do opowieści, w której każdy przedstawiony element o czymś mówił. Krytycy interpretowali każdy szczegół obrazu w zależności od obowiązujących kanonów postrzegania rzeczywistości, w tym oczywiście wsi. Dlatego znany dziś wszystkim obraz „Babie lato” wzbudził tyle emocji. Uważano go za nieprzyzwoity – oto wiejska dziewczyna, żadna nimfa czy odaliska, leżąc na łące, tak otwarcie i bezwstydnie oddaje się marzeniom. Krytykowano brudne nogi dziewczyny, kolor jej żółtej chustki, emanujące z jej pozy lenistwo – co miało zniechęcać do obrazu i sterowało jego odbiorem. Kobieta, w dodatku wiejska, zamiast skromnie spełniać swoje obowiązki, marzy o jakichś chwilach szczęścia? Czy może je wspomina? Zgorznienie, zdumienie, którego nie jesteśmy w stanie zrozumieć dzisiaj, najwięcej mówi nam o tym, jak trudno było przełamać obowiązujące stereotypy.

### Polska wieś czy globalna wioska

**K**ultura ludowa rozumiana jako element tożsamości narodowej inspirowała i stanowiła źródło wielu poszukiwań w polskiej sztuce. Lucjan Rydel czy Stanisław Wyspiański, piewcy młodopolskiej chłopomanii, idealizowali tę chłopskość jako natchnienie dla swojej twórczości. Towarzystwo Polska Sztuka Stosowana działające od 1901 r. w Krakowie, do którego należeli właśnie Wyspiański, Józef Mehoffer czy Karol Frycz, promowało ludowość jako źródło i podstawę polskiej kultury. Z kolei Warsztaty Krakowskie (1913–1926), w których działali tacy artyści, jak Stanisław Witkiewicz czy Zofia Stryjeńska, dały podstawę sukcesom polskiego art déco, które silnie kojarzone były z obrazem nowoczesnego, budującego się państwa okresu międzywojnia, czerpiącego z tradycji sztuki źródłowej.

Czy dzisiaj, kiedy polska historia ludowa wyszła z cienia i zdobywa swoje miejsce w narracji tożsamościowej Polaków, artyści pokazują lepiej, czyli zgodnie z prawdą,

to, co w tej historii najistotniejsze? Często wizja życia wiejskiego, chodzenia w stroju ludowym, jedzenia tradycyjnych potraw regionalnych i słuchania muzyki ludowej staje się pewnego rodzaju produktem stanowiącym jedną z wielu ofert życia globalnej wioski. Czy to tylko powracająca co jakiś czas moda na ludowość, czy efekt głębszych przemian i przewartościowania?

To, co swojskie, domowe, stało się atrakcyjne i wkroczyło do popkultury. Wielość strojów i różnorodność motywów regionalnych wzorów sztuki wsi stały się inspiracją dla dekoracji, muzyki, tańca itp., dla młodych ludzi łączących tę swojskość, polskość, z nowoczesnymi formami, włączając ją w swoją kulturę. Folklor jest dziś po prostu cool i można go powielać, remiksować i animować w dowolny sposób.

Znaczącym zjawiskiem pozostaje przede wszystkim to, jak zmieniło się postrzeganie historii tej najliczniejszej części naszego społeczeństwa. To historia pisana na nowo, doceniana, szeroko dyskutowana. Z którą często związane bywa także poszukiwanie własnej tożsamości, własnego miejsca, korzeni i wszystkiego, co z tym związane. Czyli mówiąc prościej – powrót do źródeł. Jakich źródeł? Socjolog prof. Antoni Sułek, opisując dzieje swojej chłopskiej rodziny, jej coraz większą różnorodność terytorialną i zawodową, zmiany sposobu życia, przypomina jednak apokryficzną mądrość chińską: „nawet najmłodsze gałązki starych drzew piją wodę przez korzenie”.

Przykładem takiego sięgania do korzeni, owocującego różnymi artystycznymi opowieściami opowiedzianymi współczesnymi im środkami, są tak znani artyści, jak nowatorski w czasach PRL-u Władysław Hasiór i młodszy od niego o dwa pokolenia Daniel Rycharski. Zupełnie inne środki i sięganie do przedmiotu gotowego owocują wykorzystaniem materiałów niejako źródłowych. Sztandaru z kościoła, którego wszyscy na wsi znają, używa Hasiór, by przemienić go w portret urzędnika; Rycharski wybiera przedmioty ze swego otoczenia, jak choćby pręty, które tworzyły ogrodzenia, i przetwarza je w obiekt

ty sztuki wyraźnie odwołujące się do wiejskości. Hasiór swoje asambláže – mimo że w owym czasie nowatorskie – „klecił” instynktownie, dostrzegając nowe wymiary rzeczy. Prowadziła go wyobraźnia, ten, jak mówił, „piąty żywioł” – widelce zmienił w najeżony ich zębami mur, kawałki futra w tarasy wody, drewnianą kłodę w udreżonego anioła. Owe „Montaże obrazopodobne”, jak je nazywał, tworzyły struktury plastyczne z różnych przedmiotów gotowych, na ogół odrzuconych, popsutych. Lżejszy ton, materiał i barwy pojawiły się u Hasióra właśnie w sztandarach, czyli chorągwiach wydobytych i uwspółcześnionych jako łącznik nowego i starego, oficjalnego i prywatnego, kiczowatego i ironicznego. Sztandary pomimo śmieszności pozostają wzniosłe, wysoko unosząc wady i zalety portretowanych – jak np. „wiejskiego prelegenta”.

Daniel Rycharski inaczej widzi rolę artysty ze wsi – zaangażował się w sprawy rolników, uczestniczył w wielu protestach, swoją aktywność rozwijał właśnie tam, u siebie, w miejscu, gdzie nie było placu czy innej wspólnej przestrzeni do spotkania sąsiadów, nie mówiąc już o ofercie kulturalnej. Gdzie dominuje zastępująca dawną wspólnotowość pustka. Dobrym przykładem wyrażenia tej pustki jest jego „Ogród zimowy”, który zbudował z pomalowanych na jaskrawe kolory części narzędzi i maszyn rolniczych. Jego sad jest nagi, oczyszczony z pozorów. Zostaje to, co pod spodem, co służebne, ale także tworzy konstrukcję, bo na tym opiera się trud, praca, wszystko to, czego nie widać, kiedy patrzymy na złote lany i zbieramy owoce z drzew.

Symbole zdają się pozostawać niezmiennie, ale odmiennosc języka obu czasów – Hasióra i Rycharskiego – pomimo pozornego podobieństwa w użyciu przedmiotów znalezionych polega na innym sposobie nadawania znaczenia. Hasiór łączy wiele różnych elementów, nadaje im wspólny sens, ale pozostawia miejsce na wieloznaczność, bajkowość, która oswoja prawdziwe niepokoje i cierpienie. Współczesna postkonceptualna strategia Rycharskiego polega na wyborze elementów znaczących swoją konkretną historią i łączenia ich w sposób odwracający lub nadający nowe sensy. To gra skojarzeń, która powinna być czytelna i zrozumiała dla innych. Dla obu artystów materia, nasycona doświadczeniem i własną pamięcią, stanowi swoisty zbiór istnień pomiędzy rzeczą a wyobrażeniem.

### Młodzi opowiadają o sobie

**M**łodzi artyści podejmujący temat doświadczeń własnych oraz chłopskiej historii swojej rodziny zdejmują po kolei ozdoby i warstwy koloru nałożone na ten obraz. Na ogół jest to, niezależnie od stopnia metafory, dotyk twardego kamienia, surowego drzewa, szorstkiej skóry. To, co boli, co męczy, przyniata. Bardzo rzadko bywa to sztuka nadająca się do salonu. Bo to, co pokazują najmłodszy artyści, jest trudne i bezpośrednio determinuje ich życie. Przypominają o tym, że ciągle istnieje przepaść między wsią a miastem, zwłaszcza dużym i ważnym miastem. Wyraziście i bezpośrednio punktuja to jako jedną z ich istotnych potrzeb. Do tych potrzeb należy dostępność uczestnictwa w życiu artystycznym, funkcjonowanie w miejscu, gdzie można zobaczyć, poznać innych, zdobyć znajomości i pokazać własne prace.

Zmiana w traktowaniu wsi, w podejściu do tematu wiejskiego w pracach młodych artystów polega na tym, że to już nie jest pewien temat artystyczny, że to nie jest „obcy” do obserwacji, że oni opowiadają po prostu o sobie, o swoich rodzinach, swoim otoczeniu, swoich wspomnieniach – czy będą to fotografie, czy buty lub inne części stroju babci, czy symboliczne odczarowywanie traum. Że tę wieś w sobie po prostu pokazują jak każde inne doświadczenie (np. w Muzeum Warszawy wystawa Agaty Jarosławiec „Bat zamiast słońca”).

Jak podejmować ten temat – czy pozostając w kręgu tradycji, ratując kulturę materialną dawnej wsi, jej zwyczaje i wartości? Czy dociekając prawdy za pośrednictwem świadectwa opowiedzianego językiem sztuki najnowszej? Potrzeba znalezienia swego miejsca i zrozumienia roli wsi we współczesnym rozwoju pozostaje otwarta. Jej prawdziwego miejsca, a nie pozoru, który wciąż jeszcze tkwi w nas jako pozostałość PRL-u, gdzie wieś stanowiła sztafaż poprawności zgodny z socjalistycznym podejściem do świata.

A dopóki możemy, zanurzmy się w polskim pejzażu, tak sugestywnie pokazanym przez Józefa Chelmońskiego. Zanim w jego miejsce naciągnie pustka. /©

**T**o z pewnością byłoby nudne, gdyby ostatecznie w finale nie okazywało się tak bardzo ciekawe: ile jeszcze razy będziemy świadkami tego, że potępiany w czambuł artysta, artystka bądź, jak dziś się mówi, osoba artystyczna zostaje doceniona przez najbardziej nobliwe gremia, instytucje, muzea?

Oczywiście, by tego dokonać, dobrze mieć świadomość, że jest sztuka i kultura poza kinem i notowaniami list przebojów bądź streamingiem, o czym pewnie większość gwiazd popu nie ma pojęcia lub ich zainteresowania w tę właśnie stronę się nie zapuszczają. Dla Lady Gagi, jak nazywała się Stefani Germanotta, symboliczną była jednak bardzo wczesna inicjacja, związana z fortepianem.

### Partytury młodości

**T**o najcenniejszy skarb rodziny Germanottów, zakupiony w 1966 r. przez dziadków Gagi ze strony ojca. „Kiedy Stefani zaczęła raczkować, wykorzystywała nogę fortepianu, żeby podciągnąć się do pozycji stojącej, w wyniku czego w pewnym momencie jej paluszki natrafiały na klawisze” – wspominała mama artystki w wywiadzie dla „InStyle’a”. „Stała i naciskała kolejne klawisze, nasłuchując dźwięków. Z czasem zaczęliśmy ją podnosić albo sadzać na taborecie, żeby mogła sobie brzdąkać”. Skutek był następujący: Gaga nauczyła się grać ze słuchu. Zapytana przez rodziców, czy zgodziłaby się na lekcje gry na instrumencie – mówiła, że słyszy muzykę w głowie. Zgodziła się, a później była wściekła, ponieważ „czytanie nut wymagało dyscypliny. Nie znosiłam tego, nie znosiłam tych zajęć” – wspominała. A jednak w ten sposób wchodziła w świat klasycznej sztuki, mogąc czytać najbardziej skomplikowane partytury, co wśród gwiazd popu nie jest codziennością.

Jednocześnie rodzice proponowali córce to, co najlepsze w klasycie rocka. Pierwsza fortepianowa kompozycja była zainspirowana odgłosami kasy usłyszonej w hicie Pink Floyd „Money”. Tak powstało „Dollar Bills”. „Zapisy nutowe były bardzo poprawne w przeciwieństwie do tekstu utworu, również spisanego na kartce. Chyba w każdym słowie zrobiłam jakąś literówkę” – wspominała Gaga.

Słuchała też Rolling Stonesów, co rok temu spointowała na ich najnowszej płycie „Hackney Diamonds” fantastyczną kompozycją w duecie z Mickiem Jaggerem, dając popis swojego trzyoktawowego głosu w „Sweets Sounds of Heaven”. Z Mickiem od dawna miała wspólnych znajomych: gdy nuciła coś w czasie zakupów, została usłyszana i polecana Donowi Lawrence’owi, trenerowi wokalnemu i specjalistcie od emisji głosu, wśród którego uczniów są właśnie Jagger, Bono z U2 czy Christina Aguilera. Wokalistka ganiona przez starszych krytyków za postdyskotekowy kicz na pierwszych płytach – w liceum założyła zespół grający klasyki Led Zeppelin, U2, Pink Floyd. Tataż z pacyfką na ręku jest hołdem dla Beatlesów, a w szczególności Johna Lennona. Bardzo ważny jest dla niej również Freddie Mercury i zespół Queen, od którego piosenki „Radio Ga-Ga” zaczerpnęła pseudonim. Słuchała też Davida Bowiego, który stał się inspiracją do transformacji w kolejne estradowe postaci i towarzyszących im kostiumów. Modowe wzorce czerpała od Debbie Harry z grupy Blondie.

W domu, z powodu włoskiego pochodzenia rodziny, słuchało się też opery,

Franka Sinatry i Andrei Bocelliego. Rodzice tworzyli typową mieszczańską rodzinę z artystycznymi ambicjami. Ojciec założył i świetnie spieniężył firmę GuestWiFi, świadcząca usługi w wi-fi dla hoteli, a mama Cynthia pracowała dla giganta telekomunikacyjnego Verizon. Co najważniejsze, córka od początku cieszyła się ich wsparciem:

„Mama powtarzała zawsze: »Malańka, możesz być, kim tylko chcesz, jesteś piękna, utalentowana i mogłabyś rządzić światem«” – mówiła Gaga w wywiadzie dla „Rolling Stone”. By walczyć o dominację w świecie pop została wyposażona w solidne wykształcenie. Gaga oraz jej młodsza siostra Natali, obecnie projektantka mody, chodziły do rygorystycznej szkoły katolickiej dla dziewcząt Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa. Ukończyły ją m.in. Caroline Kennedy i Nicky Hilton. „Było nas dużo i byliśmy różne – mówiła w wywiadzie dla „New York Magazine”. „Niektóre dziewczęta pochodziły z nadzwyczaj bogatych rodzin, inne otrzymywały stypendia i zasiłki, jeszcze inne były gdzieś pośrodku, tak jak ja. Wszystkie pieniądze naszej rodziny były przeznaczane na edukację i dom”.

W wieku 17 lat zaczęła uczyć się w prestiżowym konserwatorium teatralno-muzycznym Collaborative Arts Project 21 afiliowanym przy Uniwersytecie Nowojorskim. Skoncentrowała się na historii sztuki i muzyce. Punktem zwrotnym w karierze Lady Gagi było to, że zaliczyła falstart. Podpisała kontrakt z poważną wytwórnią, jednak do realizacji płyty nie doszło. Gaga rzuciła się wtedy w wir życia klubowego, czerpiąc z kiczu, burleski i kultury LGBT+. Kupowała kostiumy w sex-shopach. Zaprzyjaźniła się z Lady Starlight, performerką i tancerką go-go, fanką glamu i heavy metalu, gatunków, które do dziś są słyszalne w muzyce Gagi. „Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy Starlight zwróciła się do mnie słowami: »Słuchaj, ty jesteś performerką«” – wspominała Gaga w rozmowie z dziennikarzem „Rolling Stone”. Kostiumy, body, cekiny, skóry, buty na koturnach stały się naturalnymi rekwizytami, częścią scenicznego języka.

### Co znaczy fa moda

**J**eszcze w 2008 r. zadawała sobie pytanie: „Jak sprawić, żeby szmatka za pięć dolców wyglądała na taką za pięć tysiąków? W jaki sposób mogę poczuć się jak milion dolarów, mając w kieszeni piątaka?”. Potem, nawet jeśli nie była jeszcze dla wszystkich rozpoznawalna, zarabiała tantiemy jako kompozytorka hitów New Kids on the Block, The Pussycat czy Britney Spears. Kiedy debiutowała albumem „The Fame” (2008), nie rozstawała się z książkami mistrza pop-artu Andy’ego Warhola, filmami, fotografiami i pozycjami mu poświęconymi. „Książki Andy’ego były dla niej niczym Biblia” – wspominał jej przyjaciel Darian Darling w rozmowie z dziennikarzem „New York Magazine”. „Czytała je z długopisem w rękę i podkreślała różne fragmenty”. Z czasem powołała do produkcji kostiumów i rekwizytów Haus of Gaga, przypominający The Factory Warhola, a inspirowany niemieckim Bauhausem.

Tak powstały spektakularne koncertowe gadżety, które kiedyś będą stanowiły ozdobę muzeum artystki: fortepian na gigantycznych nogach jak z Salvadora Dalego oraz z wysokim taboretym, z którego zwisała suknia z wielkim rybim ogonem; legginsy jak z porcelany, a także

aranżacja na fortepianie – z rękami fanów, w geście robienia zdjęcia Gadze. W ten sposób oswajała presję towarzyszącą sławie, czyniąc z niej tematy wielu intrygujących piosenek. Tworząc tak bardzo wyrazisty wizerunek, u wielu z nas traciła z powodu muzyki. Miała wielkie hity, takie jak „Poker Face”, a jednak trudno było się nie zgodzić z „New York Timesem”, gdy pisał, że piosenki Gagi są „mdłym, bezbarwnym, niemal zbędnym dodatkiem do widowiska”.

Pop rządzi się jednak swoimi prawami i została okrzyknięta następczynią Madonny. W jednym z telewizyjnych show odbył się między nimi taki dialog: „Wiesz co, Madonna? Jestem o wiele seksowniejsza niż ty!” – powiedziała Lady Gaga, na co Madonna odpowiedziała: „Co to

zdobytą za piosenkę „Shallow” w duecie z Bradleyem Cooperem kolejny Złoty Glob. To, że grała w „Domu Gucci” chamską parweniuszkę, która przenosi zasady rywalizacji na bazarze w świat wielkiej mody, nie było pomysłem producentów, by obsadzić ją „po warunkach”. Lady Gaga aktorstwa uczyła się słynnym Instytucie Teatralnym i Filmowym Lee Strasberga, skąd wyszły takie gwiazdy, jak Marlon Brando, Paul Newman, Al Pacino, Marilyn Monroe, Jane Fonda, James Dean, Dustin Hoffman, Robert De Niro, Gene Wilder i Steve McQueen. Metoda Strasberga oparta jest na poszukiwaniach rosyjskiego mistrza teatru psychologicznego Konstantego Stanisławskiego, pierwszego inscenizatora sztuk Antona Czechowa.

## GDY CYRK ZAMIENIA SIĘ W RZEŹNIĘ

JACEK CIEŚLAK

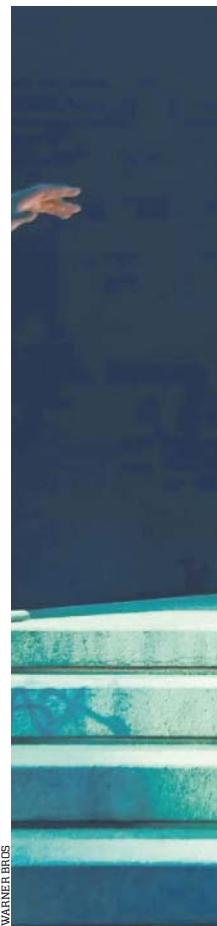
Spychana do rynsztoku popu Lady Gaga wspięta się na szczyt wysokiej kultury: w Luwrze promuje nowego „Jokera: Folie à deux” i wystawę ze „Stańczykiem” Matejki. Wychodzi na to, że od początku była inteligentnym błaznem.

w ogóle za pseudonim, Lady Gaga? Brzmiać jak nazwa jedzenia dla niemowląt”. Na to Gaga: „To pseudonim, który widnieje na pierwszym miejscu listy »Billboardu«!”.

Muzyczny, zszargany wizerunek wyprąła po raz pierwszy w 2014 r., nagrywając jazzowe standardy z ich mistrzem Tonym Bennettem na płycie „Cheek to Cheek”, nagrodzonym Grammy.

Nie traktujemy Lady Gagi jak pierwszej lepszej gwiazdy popu, która tylko dzięki sukcesom na szczycie amerykańskiej listy przebojów wywalczyła rolę na dużym ekranie u boku największych gwiazd kina, m.in. Ala Pacino, Jeremy’ego Ironsa i Adama Drivera w „Domu Gucci”. Nie przez przypadek za rolę Hrabiny w serialu „American Horror Story: Hotel” otrzymała Złoty Glob i zachwyciła jako Ally Maine w remake’u „Narodziny gwiazdy” z 2018 roku, reinterpretacją roli granej wcześniej przez Barbrę Streisand,

„Prawdopodobnie jest to jedna z najbardziej niebezpiecznych technik aktorskich. Wchodzisz w rolę tak głęboko, że stajesz się graną przez siebie postacią, a jednocześnie odwołujesz się do własnych wspomnień z przeszłości – wspomnień z pamięcią w rozmowie z portalem instytutu. – To bardzo intensywne przeżycie, które przenosi cię w czasie do wspomnień z dzieciństwa. To naprawdę coś wyjątkowo mocnego”. Na marginesie można dodać, że od metody Stanisławskiego jest tylko krok w stronę performance’u, łączenia życia z kreowaniem publicznej postaci, estradowego czy scenicznego alter ego. Gaga cały czas podkreślała znaczenie scenicznej kreacji: „Nie chcę, żeby patrzone na mnie jak na zwykłego człowieka. Kiedy jestem na scenie, nie piję nawet wody w obecności innych, bo pragnę, żeby wszyscy byli skupieni na muzycznej fantazji



WARNER BROS.



i przenieśli się w jakieś zupełnie inne miejsce. A to niemożliwe, jeśli jesteś po prostu na ziemi. Musimy znaleźć się w niebie”.

Oczywiście od wielu lat Lady Gaga przykuwała uwagę skandalami. Nie były to jednak afery z cyklu seks, alkohol i narkotyki. Podobały się czy nie, ale były to kreacje dające do myślenia, wchodzące w dialog z klasycznym kanonem. Choćby pamiętna suknia z mięsa. Odbierając w niej statuetkę za „Wideoklip Roku” od Cher, powiedziała: „Nigdy nie przypuszczałam, że będę prosiła Cher o potrzymanie mojej mięsnej torebki”. Włosy miała wtedy również przykryte bitką z mięsa. Innym razem pokazała się w peruce przypominającej Marię Antoninę albo w teledysku „Telephone” w du-

postponowana jako przejaw złego współczesnego gustu, a po 1989 r. zrosła się z jedną z najbardziej klasycznych brył w historii sztuki. Właśnie na takim tle Lady Gaga w stylizacji z najnowszej części „Jokera” – „Joker: Folie à deux” – skrada się korytarzami Luwru, pokazuje się w towarzystwie Nike z Samotraki, jednego z symboli antycznego kanonu piękna, by chwilę potem zbliżyć się do obrazu, który jeśli nie jest najsłynniejszym portretem w historii malarstwa, to jednym z nich. Chodzi, oczywiście, o „Mona Lisę” Leonarda da Vinci, skądinąd rodaka Gagi.

W teledysku „Joker” wokalistka podchodzi do portretu słynnego z powodu tajemniczego uśmiechu, ma już domalować bohaterce włoskiego mistrza uśmiech Jokera, robi to, ale tylko na

do XIX w., bowiem, jak czytamy w zapowiedzi paryskiego muzeum, „głupiec bawi, ostrzega lub potępia; wywraca wartości społeczne do góry nogami, a nawet może obalić ustalony porządek”. Dla nas ta wystawa będzie miała osobne znaczenie, ponieważ jednym z obrazów pokazywanych w Luwrze będzie „Stańczyk” Jana Matejki, wykorzystany również na odwrocie winylowego wydania nowej płyty Gagi.

Podczas premiery nowego „Jokera” w Londynie 25 września Gaga powiedziała: „Kiedy skończyliśmy z filmem, ja sprawę miałam niedokończoną; chciałam wraz z moją bohaterką stworzyć nowego Arlekiną”. Częścią tego projektu stał się także singiel, jaki Lady Gaga nagrała z Bruno Marsem o znamienym

zna”. Wspaniały, ale jakże podstępny komplement, gdy wiadomo, że błazen zawsze śmieje się z królowej i króla.

W „Joker: Folie à deux” scenariusz jest tak ułożony, że Gaga dostała przepustkę do kolejnej części i na pewno będzie grała pierwszoplanową postać. Teraz wcielając się w Harley Quinn, dziewczynę, która rozkochuje w sobie Jokera, potwierdziła, że jest świetną aktorką również w roli osoby o skłonnościach manipulacyjnych, grającej w życiu kogoś innego niż jest w rzeczywistości.

Ta pięćtość ujęcia jest zresztą wpisana w konstrukcję filmu, który oscyluje między dramatem psychologicznym a musicaliem. Musicalowe klasyki stanowią łącznik pomiędzy akcją osadzoną w więzieniu oraz w sądzie, gdzie trwa proces Jokera, a musicalową fantazją w telewizyjnym studio dopowiadającą i pogłębiającą różne ważne konteksty. „Joker: Folie à deux” jest bowiem kolejną ekranizacją komiksu, który zaciera dawne z nim skojarzenia: to już nie jest wyłącznie rozrywka dla dzieci i dorosłych ze skłonnością do prostych, dziecięcych lektur. Nowy Joker opowiada o najważniejszych problemach naszego świata. Z jednej strony kontynuuje wątek z poprzedniego filmu z 2019 r., wskazując, że zło może być mimowolną zemstą za okrucieństwa, jakie spotykały różne, w tym wrażliwe jednostki od dziecka, z drugiej zaś podejmuje temat prawdy i ucieczki od niej w rozrywkę. Rozrywka zaś niejedno ma imię i może być wszystkim: chodzi bowiem o bycie w innej historii i konwencji niż codzienność. Jak widzimy w filmie Todda Phillipsa, to narkotyki, ale też członkostwo w chórze gospel, chwalebny Pana. To romantyczne i rozweselające piosenki, które śpiewają w więzieniu zarówno strażnicy, jak i więźniowie, a także taniec, film i teatr. I najprostsza z nich: plotka, żart, anegdota, kawał, wygłup, czyli to, o co proszą najczęściej Jokera i każdego kłowna. Często, niestety, podszyta okrucieństwem, hejtem.

Od tego się zaczyna, ale rozrywką dla niektórych staje się także proces sądowy i skazanie ofiary, co jest przecież przerażające, a stanowi jedno z najstarszych widowisk w historii ludzkości, a w kulturze amerykańskiej, również filmowej, zajmuje miejsce szczególne, łącząc się z dociekaniem prawdy i sprawiedliwości. W tej sferze rozrywka ma wpływ na ludzkie życie w sposób najbardziej dotkliwy. A nie brakuje przecież osób, które chcą o nim decydować w roli poważnych sędziów, obrońców, oskarżycieli, ławników, świadków. Widzów na sali sądowej albo przed gmachem sądu. W „Jokerze” widzimy jak najszczytniejsze ideały – te religijne i te laickie – padają ofiarą żądzy stworzenia wyrazistej kreacji, jaka wypełni życiową pustkę bądź zaspokoi chore ambicje. Na końcu zaś wszystko, wcześniej czy później, zamienia się w cyrk. To bolesna, ale prawdziwa obserwacja filmu Todda Phillipsa.

Najgorzej, gdy ucieczka od rzeczywistości i od prawdy przekłada się na marzenia o miłości. Jej brak zaś, okaleczenie czy zniszczenie prowadzi do największych dramatów, zwłaszcza gdy dotyka jeszcze dziecka. W takich okolicznościach rodzi się pomysł o zagranii i wyreżyserowaniu najgroźniejszego dziś dla ludzkości spektaklu – aktu terroryzmu. Wtedy tolerowany przez nas cyrk życia publicznego zamienia się w reżnię.

To zaś, co nastąpi w ciągu dalszym historii Jokera, opowie nam w swojej roli, a być może zaśpiewa Lady Gaga. /©©

Korzystałem również z książki Annie Zaleski „Lady Gaga: Applause. Biografia ikony”, tłumaczenie Maria Kabat, Zak 2023



Lady Gaga jako Harley Quinn i Joaquin Phoenix jako Joker (Arthur Fleck) w „Joker: Folie à deux” w reżyserii Todda Phillipsa

ecie z Beyoncé w stylu „Kill Billa” Quentina Tarantino. Clip „Judas” to przewrotna, współczesna wersja Ewangelii z apostołami Jezusa, nim samym oraz Marią Magdaleną pokazaną jako motocyklowy gang. „Określiłabym to mianem »Federica Felliniego na motorach« z apostołami jako rewolucjonistami we współczesnym Jeruzalem – mówiła w MTV. – I ostatecznie chodziło mi bardziej o celebrowanie wiary niż jej podważanie”.

## Lady Gaga w Luwrze

Teraz zaś Lady Gagę zobaczyliśmy na tarasie Luwru, bodaj najważniejszego muzeum na świecie, na tle słynnej piramidy autorstwa Ieoh Ming Pei, która kiedyś też była

szybce chroniącej dzieło. Taki gest wystarczy jednak, by zbliżenie kamery pokazało Mona Lisę z czerwonymi ustami Jokera. Tak kultura wysoka otrzymała uśmiech popkultury. Wcześniej Marcel Duchamp i Salvador Dali dodali damie brodkę i wąsy. Lady Gaga poszła dalej, a Luwr zmienił oficjalny wizerunek na swoim koncie X na Mona Lisę ze szminką w stylu Jokera.

Zaangażował się też w promocję najnowszej części filmowego „Jokera” i towarzyszącej mu płyty Lady Gagi „Harlequine”. Luwr nie przyłączył się tylko do wydarzeń w stylu pop – ma swój artystyczny, dobrze pojęty interes, a Lady Gaga przystąpiła do markowej spółki, której niebanalnym celem jest wystawa zapowiedziana na 16 października. „Figures du Fou” („Wizerunki głupca”) prezentuje, jak zmieniał się odbiór postaci szaleńca i błazna od średniowiecza

tytuł „Die With A Smile”. Umieranie z uśmiechem na ustach to kwintesencja jednej z najstarszych postaci światowego teatru, jakim jest błazen czy Arlekin, w Ameryce przemieniony w Jokera. W repertuarze płyty znalazła się zaś ballada „Smile” napisana przez jednego z największych Arlekinów kina XX wieku, czyli Charliego Chaplina, do filmu „Dzisiejsze czasy”. Chaplin teoretycznie śmiał się ze swojego bohatera, ale komizm oparty był na zasadzie everymana (każdego), wyrażonej przez Nikołaja Gogola w zdaniu, jakie wypowiada Horodniczy w „Rewizorze”: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!”. Idealnie pasuje do tej myśli wczesna refleksja Lady Gagi o jej odbiorcach, fanach, krytykach: „To oni są królami. To oni są królowymi. To oni piszą historię królestwa, podczas gdy ja jestem co najwyżej kimś na kształt oddanego bł-

ŁUKASZ ADAMSKI

„Samotne wilki” przypominają filmy ze starego Hollywood, kiedy to aktorskie pojedynki miały znaczenie i elektryzowały publikę. Wyjątkowa chemia między George’em Clooneyem i Bradem Pittem odkryta została już ćwierć wieku temu, ale dopiero teraz obie gwiazdy rywalizują ze sobą bezpośrednio.

## DWA SAMOTNE SYTE WILKI

**K**reując w 2001 r. „Ocean’s Eleven”, George Clooney i Brad Pitt byli już gwiazdami, ale dopiero wdrapującymi się na szczyty hollywoodzkich wzgórz. Clooney zaledwie pięć lat wcześniej wymknął się z telewizyjnego „Ostrego dyżuru” wprost do kina duetu Quentin Tarantino – Robert Rodriguez („Od zmierzchu do świtu”), co szybko zaprowadziło go do współpracy z innymi osobowościami autorskiego kina, jak Steven Soderbergh, David O. Russell czy bracia Coen. Brad Pitt był już co prawda po kultowych rolach u Davida Finchera („Siedem”, „Fight Club”) i nominacji do Oscara za „12 małp” Terry’ego Gilliana, ale wciąż odbierano go bardziej jako przystojniaka, a nie wybitnego aktora. Ostatecznie obydwaj udowodnili, że nie tylko wino dobrze się starzeje i dziś już nie muszą nic udowadniać nikomu. Clooney jest nie tylko charyzmatycznym aktorem, ale też uznanym reżyserem i producentem z dwoma Oscarami na koncie. Podobnie Brad Pitt, który na dodatek został jedną z twarzy trupy aktorskiej wybrednego przecież Tarantino, czego efektem była oscarowa kreacja w filmie „Pewnego razu w Hollywood”.

W trylogii o uroczych zbirach Danny’ego Oceana (2001–2007) Steven Soderbergh zbudował wokół duetu Clooney – Pitt prawdziwy gwiazdozbiór. Podobnie zrobili Ethan i Joel Coenowie w „Tajne przez poufne”, choć nie dali im szansy na znaczącą konfrontację. „Samotne wilki” Jona Watts’a to pierwszy ich wspólny film, gdzie dostali 100 procent czasu ekranowego dla siebie. I swojego ego.

### Mokra robota w okularach korekcyjnych

**P**itt i Clooney wcielają się w specjalistów od „mokrej roboty”, ale też od sprzątania po niej. Nie znamy nawet ich imion, są kimś w stylu serialowego Raya Donovan’a, którego można z Los Angeles wzywać do posprzątania po ich większych lub mniejszych łajdactwach. Obaj uważają się za największych specjalistów w swoim fachu i zawsze pracują w pojedynkę. Specja o zmęczonym i cynicznym spojrzeniu George’a Clooneya wzywa prokurator (Amy Ryan), która zabawiła się z żigolakiem. Ten przewrócił się (?) na szklany stolik i zmarł (?). Nie umknęło to uwadze widzającym wszystko dzięki ukrytym kamerom menedżerom hotelu. Oni wzywają na wszelki wypadek swojego specja o chłopięcym uroku Brada Pitta, kompletnie innego od sztywniaka granego przez Clooneya.

Panowie, mówiąc delikatnie, się nie lubią i od pierwszej sekundy próbują udowodnić, że są bardziej mężczy i profesjonalni od nieproszonego kompana. Robota wydaje się być prosta, ale po drodze znajdują w apartamencie plecak



Jon Watts doprowadził na ekranie do aktorskiego pojedynku dwóch gwiazd – Brada Pitta (z lewej) i George’a Clooneya – skupiając na nich całą uwagę widza. Pod tym względem „Samotne wilki” to powrót do czasów, gdy Robert De Niro stawiał w szranki z Al Pacino w „Gorączce”

z kilkoma paczkami kokainy. Okazuje się więc, że ta noc będzie dla nich wyjątkowo trudna. To, że pojawi się w niej albańska mafia, łącząca obu specjalistów tajemnicza femme fatale, a panowie zaliczą pościgi i strzelaniny to pikus. Gorzej, że dwaj twardziele będą musieli obnażyć przez sobą swój wiek, wyjmując poza sploty okulary do czytania i przeciwbólowy advil. Cóż, od kiedy Sylvester Stallone reaktywował umiędzionych emerytów w „Niezniszczalnych”, kino akcji nie może ignorować wieku swoich bohaterów.

### Uroczy głąb i wesołek

**C**looney i Pitt robią dokładnie to, czego się po nich spodziewamy w tego rodzaju kinie. Są po prostu „cool”. To naprawdę wystarczy na rozrywkowy film akcji z prostym jak konstrukcja cepa scenariuszem. W trylogii „Ocean’s” istotą opowieści były zawiłość intrygi i twisty akcji. W „Samotnych wilkach” chodzi o coś zupełnie innego, a jednocześnie o coś bardzo klasycznego.

Jon Watts umie kręcić nowoczesne kino rozrywkowe dla widzów wychowanych na superbohaterach Marvela. Jest przecież reżyserem trzech części „Spi-

der-Mana” z Tomem Hollandem w tytułowej roli. Potrafi też jednak czerpać garściami z tak ikonicznych filmów akcji lat 80., jak „48 godzin” Waltera Hilla czy „Zabójcza broń” Richarda Donnera, gdzie akcje napędzały mięśnie bohaterów, ale też ich zabawne docinki, ironiczne riposty oraz chłopięce współzawodnictwo.

Clooney i Pitt mają komediowy timing i doskonale się tutaj uzupełniają. Ten pierwszy przecież nieraz wcielał się w postać uroczego głąba w filmach Coenów, natomiast Pitt od początku kariery bawi się własnym wizerunkiem, czego najlepszym dowodem są fenomenalne sceny komediowe w „Bękartach wojny” Tarantino czy kreacja romskiego boksera w „Przekręcie” Guya Ritchiego. Komiczna energia obu gwiazdorów dostaje w „Samotnych wilkach” szansę na wybrzmienie.

### Powrót aktorskiego pojedynku

**U**dało się też Wattsowi reaktywować jeden ze znaków rozpoznawczych dawnego Hollywood, robiąc to w czasach, gdy wydawało się to niemożliwe. Jeszcze w latach 90. jedna czy dwie hollywoodzkie gwiazdy w obsadzie

starczyły, by zapewnić filmowi komercyjny sukces. W czasach dyktatury standardów DC i Marvela jest to praktycznie niemożliwe. Same plakaty kolejnych filmów o Avengersach nie mieszczą wszystkich gorących nazwisk w obsadzie.

Pod tym względem „Samotne wilki” to powrót do czasów, gdy Robert De Niro stawiał w szranki z Al Pacino („Gorączka”), Sylvester Stallone mierzył się z Kurtem Russelem („Tango i Cash”), Harrison Ford z Seanem Connerym („Indiana Jones i ostatnia krucjata”), nie mówiąc już o serii występów Franka Sinatra z Deanem Martinem.

Mamy też tutaj bardzo mocne nawiązanie do nieśmiertelnego duetu Paula Newman’a i Roberta Redford’a z filmów „Butch Cassidy i Sundance Kid” oraz „Żądło”. Nie porównuję scenariusza „Samotnych wilków” do klasyki gatunku w reżyserii George’a Roya Hilla, bo to zupełnie inny poziom filmów. Niemniej charyzma Clooneya i Pitta wystarczają, by dobrze się bawić na przewidywalnym i nieunikającym schematów filmu Watts’a. Apple TV+ po raz kolejny gwarantuje rozrywkę na przyzwoitym poziomie, a Clooney i Pitt dowodzą, że potrafią dodać energii każdemu filmowemu projektowi. /©©

„Samotne wilki”, reż. Jon Watts, film dostępny na platformie Apple TV+


**PAWEŁ KONZAL**
**PO PIERWSZE CZŁOWIEK**

# SZTUCZNA INTELIGENCJA – REWOLUCJA INNA NIŻ WSZYSTKIE

Pierwsza generacja AI może być porównana do pralki lub samochodu. Druga, czyli AGI, będzie rewolucją technologiczną, z jaką nie mieliśmy dotąd do czynienia.

**N**ową technologię, jaką jest sztuczna inteligencja (AI od ang. Artificial Intelligence), porównuje się – niesłusznie – do poprzednich rewolucji przemysłowych. Podstawowe pytania są pomijane lub też dyskutowane wyłącznie w wąskim gronie tych, którzy zawodowo zajmują się filozofią, etyką i technologią. Warto, by każdy z nas zastanowił się nad pytaniami i odpowiedziami dotyczącymi nadchodzącej rewolucji. Czym jest i czym może być AI? Czy i jak różni się od ludzkiej inteligencji? Czy ta rewolucja technologiczna jest inna od poprzednich?

Zacznijmy od trzech podstawowych praw odnoszących się do niesztucznej inteligencji. Po pierwsze, inteligencja, aż do teraz, zawsze związana była z życiem. Po drugie, życie zawsze ma swój koniec. Po trzecie, każda decyzja – obok pierwiastka racjonalnego, świadomego itp. – jest związana z emocjami. Uczucia te są m.in. konsekwencją skończoności życia. Wybierając „A”, odrzucamy jednocześnie „B”, do którego być może nie będziemy już mogli wrócić ze względu na ograniczony czas, jaki mamy pomiędzy narodzinami a śmiercią. Te trzy reguły były dotychczas nierozłączną częścią inteligencji.

Jak wyglądają i wyglądać będą te same zasady w odniesieniu do sztucznej inteligencji? Są dwa typy AI. Pierwszy to modele w sprawniejszy niż dotąd sposób wykonujące zadania, rozwiązujące problemy itd. Programy i modele będące cyfrowym odpowiednikiem maszyny – coraz bardziej efektywnej, przypominającej w tej efektywności człowieka – jednak bez wątplenia pozbawione świadomości. Drugi rodzaj to AGI (od ang. Artificial General Intelligence – sztuczna ogólna inteligencja) – systemy, które dorównywać będą w inteligencji człowiekowi. Można by rzec, iż dopiero AGI będzie prawdziwą sztuczną inteligencją. Nie będzie ona związana z życiem, nie będzie też więc mieć ograniczonego horyzontu czasowego. W konsekwencji jej decyzje nie będą związane z emocjami.

Dodatkowo, co ma kardynalne znaczenie dla naszej cywilizacji, po raz pierwszy nie będziemy najbardziej inteligentnym lub też jedynym tak inteligentnym bytem na Ziemi. Zatrzymajmy się na chwilę nad tym faktem. Współistnieć będą inteligencja związana z ograniczonym czasowo życiem, podejmująca emocjonalnie naznaczone decyzje, oraz inteligencja niezwiązana z życiem, nieograniczona horyzontem czasowym, podejmująca decyzje wyzute z emocji. Refleksja nad tymi różnicami pozwala zrozumieć, iż nie mamy do czynienia z kolejną – inną, ale taką samą w istocie – rewolucją technologiczną. Pierwsza generacja AI może być porównana do pralki lub samochodu – realizujących

zadania wykonywane wcześniej przez ludzi w mniej efektywny lub wolniejszy sposób. Druga generacja, czyli AGI, będzie czymś jakościowo nowym, rewolucją technologiczną, z jaką nie mieliśmy dotąd do czynienia. Ważna jest też refleksja nad znaczeniem słowa „sztuczna” zawartego w AGI. Czy sztuczna inteligencja będzie „obca” – tj. niezwiązana, a więc odrębna w najważniejszych wymiarach, z gatunkiem ludzkim? Czy też będzie to „ludzka kolektywna inteligencja” – zbudowana na krzemie, ale oparta na danych i modelach dotyczących ludzi i naszego otoczenia, będąca pochodną ludzkiej, tyle że wspólnotowej inteligencji. Nowa w gatunku, nowa w charakterze, ale nie tak odległa i inna jak „obca” inteligencja.

Już dziś widzimy nieprzystawalność trzech podstawowych praw dotyczących inteligencji ożywionej do tej sztucznej. Jasne staje się, iż wiara w możliwość zaprogramowania moralności w AGI oparta jest na wątplych, jeśli nie nieistniejących, podstawach. Trudno jest natomiast dziś przewidzieć, czy AGI będzie inteligencją obcą, czy też ludzką inteligencją kolektywną. Zależać to będzie m.in. od ścieżki dojścia do sztucznej ogólnej inteligencji. Wyścig do AGI pomiędzy blokami geopolitycznymi i głównymi korporacjami trwa i jest nie do zatrzymania. Refleksja nad powyższymi pytaniami może nam pomóc lepiej przygotować się na rewolucję technologiczną i cywilizacyjną, kiedykolwiek miałyby one nadejść. /©©

REKLAMA 0963596/A/DR02P



**NATIONAL  
GEOGRAPHIC  
POLSKA**



**WEŹ UDZIAŁ  
W KONKURSIE!**



fot: Tomasz Szpila

PROMOCJA

Sponsorzy:



HYDROPOLIS


 POLSKA  
ORGANIZACJA  
TURYSTYCZNA


Nadawca programu Europa z powietrza

## TEATR

## KIEDY RODZICE ZMIENIAJĄ SIĘ W INFLUENCERÓW

Założenie jest proste, ale tylko na początku mocno komediowe. Pewna warszawska rodzina decyduje się wziąć udział w rywalizacji. Ma zdobyć 50 tys. followersów w internecie. Nagrodą ma być luksusowy apartament.

**B**ywa, że aktorzy zniecierpliwieni wypełnianiem woli reżyserów sami się biorą za reżyserię. Wawrzyńiec Kostrzewski, jeden z najlepszych polskich reżyserów średniego pokolenia, zdecydował z kolei, że spróbuje sobie samemu pisać teksty.

„Rodzina w sieci, czyli polowanie na followersów” w Teatrze Kamienica to efekt tej decyzji, ale nie pierwszy. Na tej scenie Kostrzewski wystawił „Dopalacze. Siedem stopni donikąd” (tekst napisany z Justyną Bargielską) oraz „Wszechmocnych w sieci”. W Teatrze Ateneum pokazał poetycką „Alicję w krainie snów” (współautorką była pisarka Małgorzata Sikorska-Miszczuk). W Garnizonie Sztuki wciąż grana jest jego „Victoria. True Woman Show”, groteskowa przypowieść o kreowaniu modelu kobiecości. „Wszechmocni w sieci” i „Dopalacze...” to były sztuki napisane z myślą o najmłodszych widzach sprowadzanych do Kamienicy całymi klasami. A jednak choć da się z nich wyczytać przestrogi, Kostrzewski uniknął dydaktyzmu. Przestroga jest także „Rodzina w sieci...”. Tak jak „Wszechmocni...” traktuje o zagrożeniach związanych z internetem, tyle że tym razem przestrzegana jest nie tylko młodzież. Słyszałem na własne uszy, jak gratulujący premiery widzowie zapowiadali Kostrzewskiemu, że sprowadzą na kolejne spektakle współmałżonków i przyjaciół – w celach wychowawczych.

Założenie jest proste i na początku mocno komediowe. Pewna warszawska rodzina, ojciec, matka i dwójka dorosłych dzieci, decyduje się wziąć udział w rywalizacji. Ma zdobyć 50 tys. followersów, czyli kibiców ich internetowej aktywności. Nagrodą ma być luksusowy apartament.

Zaczyna się gorączkowy wyścig, który coraz mocniej uzależnia ich od algorytmów i zasięgów. Każde próbuje odmiennych internetowych dyscyplin, co kończy się różnymi wariantami szaleństwa. Matka staje się nadpobudliwą influencerką, ojciec radzi sobie gorzej, surfowanie nie jest jego pasją, o wiele bardziej przeżywa swą detronizację z pozycji głowy rodziny. Syn i córka o skontrastowanych charakterach i poglądach wiedzą o wirtualnym świecie więcej, co nie znaczy, że osiągają perfekcyjne wyniki. Cenę płaci osamotniona babcia. Samo miotanie się



RAPAŁ LATOSZEK, MAT. PRAS. TEATR

po sieci jest okazją do znakomitych sytuacji komediowych, ale Kostrzewski snuje równoległe subtelną obserwację dotyczącą samotności, braku wspólnego języka, obyczajowych przemian, które nie zawsze gwarantują radość z życia. Najpiękniejszą dla mnie sceną jest ta, kiedy babcia opowiada wnukom bajkę. To tak naprawdę przejmujący apel o przywrócenie rodzinnych więzi. A skoro przemawia znakomita, będąca uosobieniem naturalności Małgorzata Rożniatowska... Dawno nie słyszałem tak uważnej ciszy na widowni, która przed chwilą zaśmiewała się do łez.

Kostrzewski stawia na swoich ulubionych aktorów. Izabela Dąbrowska w roli mamy zmieniającej się w Szczęśliwą Irenkę bije rekordy w korzystaniu z własnej vis comiki. A przecież jej szaleństwo nas przeraża. Michał Czernecki po mistrzowsku oddaje przemianę safandulowatego ojca walczącego rozpaczliwie z etykietą dziadka. Kapitałni są młodzi: Karolina Charkiewicz i Marcin Stępiak umiejętnie balansujący między brawurowym komizmem

i szczyptą wzruszenia. No i Olga Sarzyńska jako demoniczna wirtualna dama, która symbolizuje nieuchronne prawa cyfrowej dżungli.

Wszystko w rozkosznie przerysowanych dekoracjach Karoliny Bramowicz i przy muzyce Piotra Łabonarskiego, który wypuszcza zupełnie inne tło dźwiękowe niż wtedy, kiedy komponował dla Kostrzewskiego dramatyczne frazy do „Listów z Rosji” czy „Wesela”.

To opowieść mocno gorzka, a jednak pełna teatralnych cudów. Bóg przemawia tu do babci głosem Emiliana Kamińskiego, a przecież twórca i szef Kamienicy zmarł ponad rok temu. Wdowa po nim, nowa szefowa Kamienicy Justyna Sieńczyłło, dowodzi raz za razem, że radzi sobie świetnie. W teatrze komercyjnym zaryzykowała wystawienie czegoś ambitniejszego. I wygrała – wraz z Wawrzyńcem Kostrzewskim i całą ekipą.

/©©

Piotr Zaremba

„Rodzina w sieci, czyli polowanie na followersów”,  
reż. Wawrzyńiec Kostrzewski, Teatr Kamienica w Warszawie

## GOŚĆ „PLUSA MINUSA” POLECA

KAWAŁKI  
METALU W UCHU

MIKOŁAJ STARCZYŃSKI.PL

**ROBERT M. WEGNER**  
twórca literatury fantasy

Nowe ołśnienia książkowe i stare lektury science fiction. A do tego film o wrestlingu i eklektyczna playlista.

**N**ajwiększe wrażenie zrobił na mnie przede wszystkim Radek Rak i obie jego „Agle” – „Alef” i „Aurora”. Powieści magiczne w sposób, który kradnie czas i pozwala się zanurzyć po czubek głowy w świecie precyzyjnej wyobraźni Radka. A w ramach odświeżania sobie klasyki czytam serię antologii „Don Wollheim proponuje” z lat 1985–1989. Niektóre z tych opowiadań zestarzały się mocno, ale część trzyma nadal poziom dobrego, solidnie napisanego s.f.

Mam mało czasu na filmy, czego szczerze żałuję, więc nie wskażę zbyt wielu nowości. Szczególnie zapadli mi w pamięć „Bracia ze stali” Seana Durkina, mocna, oparta na faktach historia rodziny amerykańskich wrestlerów. Opowieść o obsesji i żądzy sukcesu niszczącej kolejnych członków rodziny. Mocny kawał dobrego kina. Z seriali polecam „One Piece” (czekam na więcej) i nasz polski „1670” (również liczę na kolejny sezon).

Na pytanie, jakiej muzyki słucham, trudno mi odpowiedzieć jednym zdaniem, bo gdyby ktoś zajrzał na moją playlistę, uznałby zapewne, że mam bardzo eklektyczny gust. Trochę popu,

trochę folku, wszystkie odmiany rocka i te kawałki metalu, które akurat wpadną mi w ucho. Oraz każdy rodzaj bękartowej muzyki stojącej w rozkroku między zaszufladkowanymi gatunkami. Mam nie tyle ulubione zespoły, ile ukochane piosenki, ale jest ich mnóstwo i towarzyszą mi w zależności od nastroju i potrzeb chwili. Na interesujące nowości nie trafiłem, ale szczerze mówiąc, zdaję się na los, jeśli coś w radio, telewizji czy internecie wpadnie mi w ucho, dołącza do gromadki ulubionych piosenek.

Moja kolejna książka, „Dusza pokryta bliznami”, ukaże się w przyszłym roku. No cóż, możemy się spodziewać tego, co jest charakterystyczne dla każdego cyklu – kontynuacji wątków urwanych w poprzednim tomie. Nie zdradzę szczegółów, nigdy tego nie robię, żeby nie psuć niespodzianki czytelnikom oraz uniknąć czegoś, co nazywam drażnieniem się z cudzymi oczekiwaniami. Sądzę, że ci, którzy znają mój styl snucia historii, mniej więcej wiedzą, czego się spodziewać, choć zakładam, że raz czy dwa uda mi się czytelników zaskoczyć.

/©©

–not. luko

**Robert M. Wegner** – twórca literatury fantasy, laureat m.in. Nagrody im. Janusza A. Zajdla oraz Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego. Jego cykl „Opowieści z meekhańskiego pogranicza” zdobył popularność również za granicą

## FILM

## ÓSMY KRĄG DOJRZEWANIA

„Niedopasowanie” to na polu autobiograficzny film o nietypowym schorzeniu dorastającej dziewczyny.

Nie dość, że 16-letnia Lindy (Maddie Ziegler) suchą stopą przeszła przez przewodniczkę i zmianę szkoły, to jeszcze znalazła w nowym liceum przyjaźń i miłość. Udaje się – wraz z matką (Emily Hampshire), terapeutką, która wciąż nie uporała się z rozwodem – do ginekologa, ale doktor zamiast jej przepisać antykoncepcję, stawia diagnozę, która wywraca życie dziewczyny do góry nogami. Okazuje się bowiem, że Lindy cierpi na rzadką chorobę układu rozrodczego – nie ma macicy, a jej pochwa jest nie w pełni rozwinięta. Jeśli dorastanie jest piekłem, to ona trafiła do ostatniego kręgu.

„Niedopasowanie” to na polu autobiograficzny film w reżyserii Kanadyjki Molly McGlynn. W młodości rozpoznano u niej ten sam zespół, w związku

z czym autorka – czerpiąc z własnych doświadczeń – pozwala sobie na odrobinę luzu. Biorąc na warsztat temat na wskroś poważny, w sposób dość swobodny kreśli losy protagonistki, dla której słowa specjalistów brzmią niczym wyrok. Nie ociera się przy tym ani o błazenadę, ani o parodię, a spora w tym zasługa znakomitej Ziegler, która niuansuje graną przez siebie postać, dokonując śmiałej i głębokiej introspekcji.

Lindy zaczyna zastanawiać się nad swoją kobiecością i tożsamością, co odbija się na jej życiu erotycznym i uczuciowym. Przytłacza ją wiele rzeczy, na czele ze świadomością tego, że nie urodzi dziecka. Szukając akceptacji, oddala się od otaczających ją ludzi. Biorąc pod uwagę, że to opowieść o niej, trudno zrozumieć decyzję reżyserki, by odciągając uwagę od interesującej Lindy i skupiać się na jej matce.

Rafał Glapiak, Mocn punkty.pl

„Niedopasowanie”, reż. Molly McGlynn, film dostępny na VOD w serwisie Max



## KSIĄŻKA

## 73 DNI Z ALKOHOLEM

Brytyjski psychofarmakolog tłumaczy, co dzieje się z naszym organizmem, gdy pijemy alkohol.

Pierwsza część książki to raport o tym, jaką rolę alkohol odgrywa w życiu Polaków. W drugiej są wnioski z badań, jak napoje z procentami wpływają na zdrowie fizyczne i psychiczne. Otóż alkohol towarzyszy Polakom średnio przez 73 dni w roku. Sięga po niego ponad 80 proc. dorosłych. Na dodatek pijemy coraz więcej – średnio ponad 9 litrów czystego alkoholu na osobę. Ostatnie lata to rosnąca popularność „małpek”, zwłaszcza wśród osób w wieku 18–35 lat.

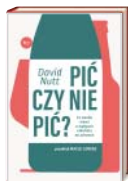
David Nutt opisuje, w jaki sposób alkohol zagłusza negatywne emocje, a przy tym destabilizuje chemię mózgu. Z jednej strony osłabia koncentrację, z drugiej pomaga myśleć niestandardowo. Farmakolog tłumaczy, dlaczego wypicie wieczorem może skrócić fazę REM snu, gdy pojawiają się marzenia senna. Podaje dane, które pokazują, że

każdy poziom spożycia obniża płodność i zwiększa ryzyko nowotworu. Opisuje zjawisko „hangxiety”, czyli niepokoju dzień po wypiciu alkoholu.

Książka nie jest napisana w duchu antyalkoholowym. Czytelnik znajdzie podpowiedzi, jak pić rozsądnie. Nutt zaleca, by przy jednej okazji spożywać nie więcej niż półtora SJA (standardowej jednostki alkoholu). Średni kieliszek 10-procentowego wina (125 ml) to 1 SJA, a szot 40-procentowego trunku (50 ml) to ok. 1,5 SJA. Wyjaśnia też, jak w miarę picia zmienia się praca neuroprzekazników i nasz refleks. Szkoda, że część poradnikowa, gdzie szukać wsparcia, jeśli zauważymy u siebie lub bliskich problem, zajmuje niepełną stronę. Na kaca autor zaleca kofeinę i nawadnianie organizmu, zdecydowanie odradza za to tzw. klina.

Michał Dobrowolowicz

„Pić czy nie pić? Co nauka mówi o wpływie alkoholu na zdrowie”, David Nutt, przetł. Maciej Lorenc, wyd. Krytyki Politycznej



## GRA

## TA ZABAWA JAK CUKIER

Dla jednych „Astro Bot” to banalna platformówka. Dla innych kandydat na grę roku!

To nie jest smutna produkcja o tragicznych losach współczesnych pariasów ekonomicznych. Nie ukazuje również mrocznych oblicz ludzkiej egzystencji i nie spogląda z zadumą na rywalizację inteligencji sztucznej z prawdziwą. Stąd „Astro Bot” – jako czysta rozrywka – nie miałby szans na podbój festiwalu filmowych. Ale w świecie gier zasady są inne. Dzięki nim właśnie ta lekka, kolorowa i zabawna produkcja powalczy w tym roku o najwyższe laury.

Główny bohater jest robotem i wraz z grupą podobnych sobie maszyn przemierza kosmos. W wyniku ataku paskudnego UFO-ka jego statek eksploduje, a części konstrukcyjne zostają rozrzucone wraz załogantami po okolicy. Zadanie gracza polega na zebraniu ich wszystkich do kupy. Czeka go tym samym wędrówka przez kilkadziesiąt różnych

planet, skakanie, bieganie, latanie, a nawet nurkowanie. Ba, trzeba będzie nawet dmuchać w kontroler, by w ten sposób wywołać wiatr w świecie gry!

Teoretycznie na poszczególnych planetach zadania są takie same. Trzeba przedostać się z jednego miejsca w drugie, zbierając po drodze gadzety. W praktyce lokacje są zróżnicowane („egipskie” świątynie, zielone krainy, kosmiczne bazy), a dzięki mocom specjalnym misje wymagają różnych umiejętności. Raz bohater zamienia się w pochłaniającego wodę ludzika z gąbki, innym razem manipuluje czasem. Atrakcji jest zatrzęsienie.

„Astro Bot” nie jest łatwą produkcją, wiele etapów wymaga sporej zręczności, by nie powiedzieć szczęścia. Ale to jedna z tych gier, które są jak cukier – niełatwo ją odstawić.

Michał Zacharzewski, Zdaladopolityki.pl

„Astro Bot”, prod. Team Asobi/Sony, platformy PS5



## KSIĄŻKA

## KOSMICZNA EPOKA KAMIENNA

„Lagrange” Istvana Vizvary’ego to bez dyskusji najlepsza rzecz SF z tego, co się pisze ostatnio w Polsce.

Sto lat po lądowaniu na Księżycu ludzkość dobrze prosperuje w kosmosie, przynajmniej w powieści „Lagrange. Listy z Ziemi” Istvana Vizvary’ego. Wielka stacja orbitalna stanowi centrum lotów dowodzone przez sędziwego Elona Muska, a poziom techniczny statków umożliwia wyprawę pozaukładową do gwiazd Centaura. Lot do Saturna trwa kilka dni, medycyna ratuje ludzi na progu śmierci, a informatyczne wyposażenie czyni z astronautów niemal półbogów.

To bodaj największy walor powieści „Lagrange”: wynalazczość autora i umiejętność wplecenia tego w fabułę. Skok w rozwoju astronautyki, napędy T-K, ludzkość zawdzięcza kontaktowi z obcą cywilizacją, do którego doszło, gdy bohater miał pięć lat. Opisy pojazdów i obiektów kosmicznych świadczą, że autor rozumie i „widzi” je w działaniu, przedstawiając np. przemieszczanie się po statku ze zmienną grawitacją i korzystanie z wyposażenia technicznego. Vizvary, Polak węgierskiego pochodzenia, z wykształcenia matematyk, z zawodu inżynier oprogramowania, zna się na materii, z której utkał swą powieść. W Polsce taki poziom kompetencji jest rzadki; pod tym względem „Lagrange” sprawia wielką czytelniczą frajdę. To bez dyskusji najlepsza rzecz SF z tego, co się pisze ostatnio w Polsce.

Konkretny przykład: statek Steropes dysponuje AI, ale nawet to bogate wyposażenie nie wystarczy do rozpracowania dziwnych fenomenów w układzie Saturna, choć podlodowe oceany na Europie i Enceladusie są u Vizvary’ego puste i pozabawione życia.

W pobliżu punktu Lagrange’a L4 (tu równoważy się grawitacja Saturna i jego księżyc Enceladusa) krąży historyczna rosyjska stacja Rasswiet, która natknęła się na dziwny obiekt metafizyczny (Boga?) i w konfrontacji z nim załoga doznała unicestwienia. Na pokładzie Rasswiete oprócz dowódcy znalazło się dwóch mnichów, dziad cerkiewny, organista i posługaczka Maria, a zamiarem tych nieboraków było przedstawic bóstwu listę intencji modlitw: wielka Rosja na ośmiu kontynentach, czyli de facto odwrócenie historii. Nic dziwnego, że aparatura Steropesa nie daje sobie z tym rady.

Na planie ogólnym powodów do euforii też nie ma. Vizvary zsyła na Ziemię plagi w postaci ACV i burzy magnetycznej na Słońcu o niespotykanej sile. ACV to „wirus chlorozy okrytonasiennych”, niepodatny na chemiczne środki, który ujawnił się w 2033 r. i doprowadził do katastrofy gospodarczej i ekologicznej. Wymarło 97 proc. zwierząt lądowych, rozpętała się wojna atomowa. Polska została zamieniona w obszar bezludny, jedynie na trakcie z Łęczycy do Warszawy, po której nie zostało śladu, egzystują jakieś niedobitki. Bohater jak inni żywił się ziemniakami (tylko psiankowate oparły się ACV), jako dziecko marzył o mięsie i był rozczarowany jego smakiem, kiedy obcy wreszcie dostarczyli żywności. To też smaczek w stylu Vizvary’ego: nim zaczniemy wymieniać się z kosmitami osiągnięciami, zaczekajmy, aż dadzą nam jeść.

Gwałtowność i natężenie burzy na Słońcu dewastują stację (czemu nie schowała się w cień planety?); gdy nasza wyprawa wraca z Saturna, widok jest oplakany. Z tytułowych listów z Ziemi wynika, że postępuje na niej proces dziczenia tubylców, którzy rok po roku schodzą na pozycje przodków z epoki kamiennej. Miną tysiące lat, nim uda się odbudować cywilizację techniczną.

Bogata w scenografię i znaczenia powieść Vizvary’ego opiewa zatem ten moment dziejów Ziemi, kiedy wszystko się wali. Odcięta od ludzkości stacja nie może liczyć na żadne wsparcie, co skazuje ją na klęskę. Być może to ostatni dzwonek, aby ruszyć do Centaura – ale właściwie po co, skoro wokół Saturna krąży złoty tesseract, przestrzenny krzyż, groza i tajemnica w jednym. Będzie kontynuacja?

Marek Oramus

„Lagrange. Listy z Ziemi”, Istvan Vizvary, Wydawnictwo IX



## ŁUKASZ MAJCHRZYK

Powołania dla Michaela Ameyawa i Maxiego Oyedele pokazują, że reprezentacja Polski niedługo może zmienić wygląd, do jakiego kibice byli przyzwyczajeni.

# WSZYSTKIE KOLORY BIAŁYCH ORŁÓW

**P**rzez lata wszystko było jasne: koszulki były białe, spodenki czerwone, a piłkarze nosili swoje brzmące nazwiska: Majewski, Tomaszewski, Kosecki, Boniek, Kupcewicz, Kowalczyk, Dudek, Boruc, Bąk, Żmuda, Brzęczek.

Teraz też jest podobnie, bo mało co brzmi tak bardzo po polsku jak nazwiska Lewandowski i Szczęsny. To pierwsze jest w naszym kraju dość popularne, to drugie może nie tak częste, ale za to do wymówienia tylko dla ludzi urodzonych na obszarze pomiędzy Bugiem, Odrą, Tatrą i Bałtykiem. Poza tym i kapitan naszej kadry, i jej (do niedawna) bramkarz urodzili się i wychowali na mazowieckich nizinach.

Chyba nadchodzi jednak poważna zmiana w tym obrazie, a Oyedele i Ameyaw, którzy dostali powołania od Michała Probiezja na październikowe mecze Ligi Narodów z Portugalią i Chorwacją, są jej pierwszymi zwiastunami. Za kilka lat skład biało-czerwonych może wyglądać i brzmieć zupełnie inaczej. W kadrach młodzieżowych, które są etapem w rozwoju piłkarskich karier, jest coraz więcej zawodników o ciemnym kolorze skóry i noszących nazwiska kojarzące się z innymi krajami, a nawet kręgami kulturowymi: Marcel Mendes-Dudziński, Tommaso Guercio, Levis Pitan, Pascal Mozie, Oliver Scott, bracia Junior i Jonathan Nsangou, Michael Izunwanne, Jakub Okusami, Danny Babor, Ignace Abdelhamid, Raszid Farouni, Dawid Szwiec.

Nie wszyscy zapewne zrobią karierę i zagrają w pierwszej reprezentacji Polski, ale można założyć, że kilku wejdzie na wysoki poziom. Polski Związek Piłki Nożnej już wiele lat temu stworzył specjalną komórkę, która wyszukuje utalen-

towanych piłkarzy z polskimi korzeniami za granicą. Na jej czele stoi Maciej Chorażyk, ale są też skauci odpowiedzialni za poszczególne kraje: Tomasz Rybicki w Niemczech, Przemysław Soczyński (Anglia), Grzegorz Borowiec (Irlandia), Piotr Sala i Tomasz Drażek (USA).

To dzięki nim w ostatnich latach do polskiej reprezentacji trafili tak ważni piłkarze jak Matty Cash i Nicola Zalewski. Teraz szukają kolejnych talentów, nawiązują kontakty, dbają, by żaden piłkarz z polskimi korzeniami nie wymknął się bez choćby próby przekonania go, że warto włożyć biało-czerwony strój.

## Każda historia jest inna

**D**la niektórych chłopców Polska to wybór oczywisty, tutaj się urodzili i wychowali, mówią doskonale po polsku, tutaj chodzą do szkoły, mają kolegów. Jednak niektórzy, jak Oyedele, Izunwanne czy Nsangou, dorastali w innym kraju i w innej kulturze, ale kiedy zgłosił się po nich polski futbol, to wybrali grę z białym orłem, choć mieliby też inne możliwości. Sporo zmieniło się po wejściu naszego kraju do Unii Europejskiej.

– Każda historia jest inna, UE nie jest tu jedynym wspólnym mianownikiem. Ojciec Michaela Ameyawa przyjechał do Polski z Ghany. Matka Maxiego Oyedele to faktycznie polska emigrantka na Wyspy Brytyjskie. To właśnie regionalne ruchy migracyjne, których futbol jest przeciwieństwem, powodują, że do reprezentacji Polski trafiają piłkarze o pochodzeniu etnicznym innym niż stu procentowo polskie – mówi „Plusowi”

dr Seweryn Dmowski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

W Unii Europejskiej to już powszechne zjawisko. Wystarczy spojrzeć na reprezentacje Niemiec, Belgii, Holandii, Austrii, Anglii czy Hiszpanii. We Francji w ostatnim czasie zdecydowaną większość drużyny stanowią potomkowie imigrantów z byłych kolonii. Kiedyś Polacy emigrowali głównie do Niemiec i Stanów Zjednoczonych czy Kanady. Teraz wyjeżdżają we wszystkich kierunkach. Do nas też przyjeżdżają migranci zarobkowi z różnych części świata.

– Pamiętajmy, że w krajach zachodnich to zjawisko zaszło już wcześniej. Jeśli chodzi o Polskę, to w ostatnich 20 latach mnóstwo naszych rodaków wyjechało za pracą choćby do Anglii czy Belgii i tam się rodzą ich dzieci. Takich piłkarzy jak Oyedele będzie coraz więcej. Musimy się przyzwyczaić, że będzie rosła liczba zawodników, którzy nie urodzili się w Polsce, a mają polskie obywatelstwo. Polska pod tym względem staje się podobna do Niemiec, choć u zachodnich sąsiadów trwa to dłużej i jest bardziej widoczne. To jest zjawisko kulturowe, cywilizacyjne. To wymusza na nas, mediach, ale też selekcjonerze, żeby patrzeć na narodową reprezentację trochę inaczej niż dotychczas – ocenia dr hab. Radosław Kossakowski, socjolog z Uniwersytetu Gdańskiego.

Skądinąd w Niemczech, dla których w ostatnich latach grało wielu potomków imigrantów, sytuacja wcale nie wyglądała tak różowo. Przed Euro 2024 telewizja ARD przeprowadziła ankietę, w której zapytała: „Czy chcielibyście, żeby w reprezentacji Niemiec grała większa liczba białych piłkarzy?”. Tylko 21 proc. respondentów odpowiedziało „tak” (w badaniu

wzięły udział 1304 osoby). Sondaż skrytykował selekcjoner Julian Nagelsmann i piłkarz Joshua Kimmich.

– Moim zdaniem to się jakoś łączy z dużą zmianą nastrojów społecznych. Spójrzmy, że w dużej liczbie landów wygrywa AfD, która jest bardzo radykalna w sprawach migracji. Internet jest obsypany filmikami osób, którzy zalegają w centrach miast. W Polsce sytuacja jest inna i to pewnie się nie zdarzy, bo bramy nie są tak szeroko otwarte, jak były w Niemczech. Natomiast nie można jednoznacznie stwierdzić, jak byśmy się zachowywali przy takiej skali migracji jak w Niemczech. Takie badanie chętnie bym powtórzył także w naszym kraju – mówi dr hab. Radosław Kossakowski.

Dzięki dobrej grze takich piłkarzy, jak Podolski, Klose, Sami Khedira, Antonio Ruediger, Niemcy stali się jedną z najlepszych drużyn na świecie.

– Etniczny obraz reprezentacji Niemiec jest najlepszą ilustracją tego, jak niemieckie społeczeństwo zmieniło się w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Przełomowe było Euro 2000. W końcówce pierwszej dekady XXI wieku w niemieckiej kadrze zaczęli się pojawiać piłkarze o obcych korzeniach, ale generalnie urodzeni już w Niemczech i tam uczący się od dziecka piłkarskiego rzemiosła: David Odonkor, Mesut Oezil, Sami Khedira czy Ilkay Gundogan. Po każdym kiepskim występie multietnicznych reprezentacji da się znaleźć głosy wśród bardziej radykalnych komentatorów i kibiców, że drużyna „straciła swojego ducha”. Jednakże na wielkich imprezach rozegranych w XXI wieku Niemcy zdobywali wielokrotnie medale, w tym najważniejsze – złoto za wygraną w mundialu 2014 roku – mówi Seweryn Dmowski.



Ojciec Michaela Ameyawa, zawodnika Rakowa Częstochowa, przyjechał do Polski z Ghany

DARUSZ HERMERSZ



Matka **Maxiego Oyelele**,  
piłkarza Legii Warszawa,  
to polska emigrantka  
na Wyspy Brytyjskie

GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

## Nikt już się nie dziwi

**P**olscy kibice mieli czas, żeby oswoić się z perspektywą zmieniającego się wyglądu reprezentacji. Cash i Zalewski to najświeższe przykłady reprezentatów wychowanych i wyszkolonych za granicą, ale pierwsi tacy piłkarze grali dla nas już na początku lat 2000.

Wszyscy pamiętają Emmanuela Olisadebe, który debiutował w reprezentacji Polski za kadencji Jerzego Engela, a kiedy zdobył pierwszą bramkę, „Przegląd Sportowy” przygotował okładkę z wielkim tytułem „Murzyn potrafi!”. Od tego czasu wiele się w Polsce i w futbolu zmieniło.

Na początku nie było wcale różowo. Jeszcze zanim Olisadebe dostał polskie obywatelstwo, w Lubinie kibice rzucili w jego stronę z trybun banany. Dzisiaj takie zachowanie skończyłoby się skandalem na całą Europę, wtedy sprawa po jakimś czasie ucichła, a kiedy piłkarz urodzony w Nigerii zaczął strzelać dla biało-czerwonych gola za golem, stał się ulubieńcem trybun.

W przypadku Olisadebe i Rogera Guerreiro sprawa była dość oczywista. Potrzebowaliśmy piłkarzy o takich umiejętnościach, bo polski futbol nie był w stanie takich wyszkolić, a przypadki naturalizacji były znane choćby z koszykówki. Obaj zapisali się bardzo dobrze w historii naszej piłki.

Emmanuel Olisadebe czy Roger Guerreiro mogli liczyć na pełne wsparcie kibiców. Choć zabrzmiało to paradoksalnie, kibic futbolu ponowoczesnego (aktualna era historii piłki, która zaczęła się w latach 90. XX wieku – red.) jest już dosyć przyzwyczajony do poważnych zmian etnicznych nie tylko w składach klubów, ale i reprezentacji

narodowych – zauważa Seweryn Dmowski.

Po kilku latach, kiedy zbliżało się wielkimi krokami Euro 2012, a polskiej kadrze brakowało klasowych graczy, ruszyły poszukiwania potomków starej emigracji, których pełno było we Francji i w Niemczech. Każdy miał w pamięci przykłady Mirosława Klosego i Lukasa Podolskiego, którzy stali się gwiazdami drużyny naszych zachodnich sąsiadów. Można żałować zwłaszcza tego drugiego, którego związki z Polską zawsze były silne. Tak w kadrze pojawiło się kilku nowych zawodników, o których po latach zaczęto mówić „farbowane lisy”.

– Eugen Polanski, Ludovic Obraniak, Damien Perquis czy Sebastian Boenisch na początku nie chcieli grać dla Polski, bo marzyli o grze dla krajów, w których się wychowali, ale jak tam nie wyszło, a zbliżało się Euro 2012, to włożyli biało-czerwone stroje. Teraz obserwujemy ewolucję tego zjawiska – mówi Radosław Kossakowski.

Oyelele i Ameyaw mają szansę debiutu przy okazji najbliższych meczów reprezentacji Polski z Portugalią i Chorwacją (12 i 15 października na PGE Narodowym). Ciekawe, jak przyjmą ich kibice, zwłaszcza ci mniej zorientowani w realiach polskiego futbolu, którzy mogą nie kojarzyć, że nie są to zawodnicy naturalizowani. W seniorskiej kadrze mogą być pierwsi, ale już wcześniej w juniorskich drużynach mieliśmy takich piłkarzy.

Pod koniec lat 80. na zgrupowanie kadry przyjechał Robert Mitwerandu (jego ojciec pochodził z Zimbabw), zawodnik wielu śląskich klubów. Wiktor Bagiński z Lecha Poznań regularnie grał w kadrach młodzieżowych, ale porzucił futbol i jest

reżyserem teatralnym. Dziesięć lat temu w drużynie trenera Marcina Dorny występował Lukas Klemenzen, urodzony w Niemczech (ojciec jest Amerykaninem), wychowany w Polsce, dzisiaj zawodnik ekstraklasowego GKS Katowice.

– Osobiście mam do tego duży dystans, choć kiedy pojawiły się plotki o powołaniu dla Michaela Ameyawa, to widziałem, że niektóre komentarze w internecie były bardzo obraźliwe. Żyjemy w takim świecie, że w każdym kraju znajdziemy osobę, która się tam nie urodziła, a gra w reprezentacji. Większość zawodników francuskiej kadry to potomkowie przybyszów z francuskich kolonii – mówi „Plusowi Minusowi” Klemenzen.

Jak wspomina tamten czas, kiedy grał w kadrze U21? Czy jego ciemniejsza skóra budziła zdziwienie, może nie każdy spodziewał się, że mówi płynnie po polsku?

– Koledzy nie mówili do mnie po angielsku, nikt się nie dziwił. Ja sam skracam dystans, potrafię z takich sytuacji żartować. Spotykaliśmy się co miesiąc na zgrupowaniach, więc po pewnym czasie byliśmy jak rodzina i każdy wiedział, na co może sobie pozwolić. Jestem dumny, że mogłem reprezentować Polskę, i marzę, że kiedyś zagram jeszcze w pierwszej reprezentacji – opowiada.

## Dobrego piłkarza pokochają wszyscy

migrantów jest w naszym kraju coraz więcej. To już nie tylko diaspora wietnamska (choć tutaj o piłkarzach raczej dość cicho). W ostatnich latach

przyjechało wiele osób z krajów afrykańskich i azjatyckich. Przed wojną uciekali Ukraińcy. Dzieci tych ostatnich chodzą do polskich szkół, pewnie niektóre trenują w polskich klubach. Za jakiś czas i one mogą dostawać powołania do młodzieżowych reprezentacji Polski, a w końcu i do seniorskiej kadry. Staną wtedy przed dylematem, którą reprezentację wybrać. Czy ich związki z Polską będą na tyle silne, żeby grać dla biało-czerwonych, czy może wybiorą jednak kraj przodków (tak jak teraz robią to często potomkowie polskich emigrantów w innych krajach)? Jak przyjmą ich polscy kibice?

– Wszystko zależy od kontekstu. Z pewnością inna będzie sytuacja tego hipotetycznego piłkarza, który urodził się w Polsce, ale oboje jego rodzice są ukraińskimi imigrantami. Nawet jeśli przejdzie wszystkie etapy szkolenia tutaj i będzie posiadał polskie obywatelstwo, to chyba każdy kibic zrozumie, jeśli wybierze on grę dla ojczyzny swoich rodziców. Wydaje mi się, że kibice zazwyczaj mają problem z piłkarzami, których związki z „nową ojczyzną” są bardzo luźne lub iluzoryczne, którzy nie znają języka, a na grę dla danego kraju zdecydowałiby się wyłącznie dlatego, że nie mieli szans na debiut w innej reprezentacji, do gry w której uprawniałby ich posiadany paszport – ocenia dr Dmowski.

To samo może zresztą dotyczyć potomków innych migrantów. Jeśli piłkarz będzie się wyróżniał talentem, będzie wschodzącą gwiazdą futbolu, to temat na pewno stanie się gorący i kibice będą o tym dyskutować. Jedni będą „za”, inni „przeciw”, ale finalnie, jeśli piłkarz będzie grał dobrze, pokochają go wszyscy. /©

## ELIZA OLCZYK

**Czy jest jeszcze w Polsce elektorat gotów głosować na partię lewicową?**

**T**ego elektoratu jest 6,3 proc. Tyle ludzi głosowało na listę Nowej Lewicy w wyborach europejskich. Przy czym trzeba zauważyć, że to jest najgorszy wynik lewicy w historii III RP. Nawet w 2015 roku, kiedy Zjednoczona Lewica nie weszła do Sejmu, to i tak poparcie dla niej było wyższe niż obecnie, wyniosło 7,5 proc. W 2005 roku, po dość słabych rządach, SLD miał poparcie na poziomie 11,3 proc. Zatem tak źle jak obecnie nigdy jeszcze nie było.

**Mam wrażenie, że niektórzy wyborcy głosują na lewicową listę z przyzwyczajenia, ale gdyby jej zabrakło, toby się bardzo nie zmartwili i poszliby gdzie indziej.**

Gdyby było tak, że na lewicę głosują ludzie z przyzwyczajenia, to miałyby zdecydowanie lepsze wyniki w gronie seniorów, czyli np. wśród byłych oficerów Ludowego Wojska Polskiego, Milicji Obywatelskiej czy ich rodzin. Te osoby, które tak gromadnie kiedyś głosowały na Sojusz Lewicy Demokratycznej, dzisiaj są w większości zagospodarowane przez Koalicję Obywatelską, uważaną przez nich za główną siłę anty-PiS. Po zestawieniu wyników do Sejmu z 2023 roku z wynikami wyborów samorządowych i europejskich widzimy, że lwia część wyborców o lewicowych przekonaniach albo przerzuciła swoje głosy na Koalicję Obywatelską, albo została w domu. Zatem słabość partii lewicowych potężnie demotywuje ich wyborców. I to jest chyba jasny sygnał, że trwając w obecnym układzie rządowym jako najmniejszy partner koalicyjny, Lewica będzie zwyczajnie tracić.

**Sugeruje pan, że powinna odciąć się od koalicji rządzącej? Tego wyborcy i działacze chyba by jej nie darowali?**

Zgoda, dzisiaj byłoby to niezrozumiałe. Jednak widzimy, że tematy, które wydawały się oczywiste do realizacji 15 października 2023 roku, np. powrót do tzw. kompromisu aborcyjnego, dziś już nie są takie bezproblemowe.

**Przecież to Lewica nie chce powrotu do kompromisu, tylko domaga się regulacji znacznie bardziej liberalizujących prawo.**

Zakładam, że powrót do kompromisu to byłby pierwszy krok na tej drodze. Ale widzimy, że nawet w tej sprawie nie ma skłonności do porozumienia między koalicjantami. Nie mam o to pretensji do PSL, bo każdy wie, jakie poglądy na aborcję ma ta partia. Winę natomiast Donald Tusk za to, że nie potrafi w tej sprawie ważyć pięścią w stół i przymusić swoich koalicyjnych partnerów co najmniej do powrotu do kompromisu aborcyjnego. Jest totalnie pasywny w tej sprawie, pewnie dlatego że nie obawia się ostrego ataku ze strony Lewicy pod swoim adresem.

**A nie sądzi pan, że Lewica nie chce powrotu do kompromisu aborcyjnego, ponieważ boi się, że to nie będzie pierwszy krok do liberalizacji prawa, tylko ostatni? Że nic więcej nie zostanie zrobione, a nie faka była umowa z wyborcami?**

Z badań, które przeprowadziłem m.in. na zlecenie Fundacji Europejskich Studiów Postępowych oraz Fundacji Eberta, wynika, że takie określenia, jak liberalizacja, kompromis, dekryminalizacja, mieszają się nawet lewicowym wyborczyńiom.

**To znaczy?**

Przykładowo badani mówią: „Żądamy liberalizacji prawa aborcyjnego”. Ale gdy dopytujemy, co dokładnie mają na myśli, czy powrót do kompromisu aborcyjnego, czy depenalizację pomocy w przeprowadzeniu aborcji, czy prawo do przerywania ciąży do 12. tygodnia jej trwania, to część z nich odpowiada: „12 tydzień to już jest za późno”. Jednym z powodów, dla których Lewica ciągle utrzymuje się ponad progami wyborczymi, jest to, że zawsze, konsekwentnie opowiadała się za liberalizacją prawa do przerywania ciąży. Widać jednak, że nawet w tym typowym dla niej temacie socjaldemokracja nie ma spójnej strategii.

**Co chce pan powiedzieć?**

Że Lewica nie umie grać w warunkach, które ma. A warunki są następujące – w obecnym układzie koalicyjnym innej liberalizacji prawa aborcyjnego niż



**Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i Krzysztof Gawkowski** jako współprzewodniczący Lewicy to jedna z nielicznych szans dla lewicy na przyszłość – uważa dr Bartosz Rydliński. Bo partia musi budować koalicję różnych wyborców. Na zdjęciu ministra rodziny, pracy i polityki społecznej oraz wicepremiera i ministra cyfryzacji podczas prezentacji lewicowych ministrów, grudzień 2023 r.

**ROZMOWA Z DR. BARTOSZEM RYDLIŃSKIM Z CENTRUM IM. IGNACEGO DASZYŃSKIEGO**

W polityce koalicyjnej czasami trzeba zagrozić, żeby coś uzyskać. W sprawie swoich postulatów Lewica powinna postawić ultimatum. Albo uchwalamy związki partnerskie do końca tego roku, albo wychodzimy z rządu. I głosujcie sobie nad ustawami z Konfederacją.

# OSTATNI TANIEC LEWICY W SEJMIE I W RZĄDZIE?

powrót do kompromisu zwyczajnie nie będzie, bo nie ma na to większości w Sejmie. I nie chodzi wyłącznie o postawę polityków PSL lub Polski 2050, ale zakładam, że w grupie Koalicji Obywatelskiej też znajdzie się więcej Romanów Giertychów, którzy zwyczajnie boją się przyznać do swoich poglądów, ale z różnych względów za liberalizacją w rozumieniu Nowej Lewicy by nie zagłosowali. Nie wierzę, że Donald Tusk byłby w stanie ich przymusić do czegoś więcej niż tzw. kompromis aborcyjny.

**Co jeszcze wynika z pana badań?**

To, że Lewica niewiele ma już wspólnego ze swoją tradycyjną bazą. W ostatnich wyborach jej poparcie wśród robotników wyniosło 5,1 proc., podczas gdy PiS miało w tej grupie blisko 50 proc. poparcia. Wśród bezrobotnych zaledwie 7,7 proc. osób zagłosowało na lewicę, a 45,2 proc. na Prawo i Sprawiedliwość. Zatem dzisiaj to nie Nowa Lewica, nie partia Razem, nie Polska Partia Socjalistyczna, tylko PiS jest partią klasy ludowej.

**Czy to jest pokłosie zarysowanego w 2005 roku przez PiS podziału na Polskę solidarną i liberalną?**

Tak, to się wtedy zaczęło. Widzimy to po zmianach, jakie zaszły chociażby w województwie świętokrzyskim, które nie jest tak konserwatywne jak Podkarpacie, Małopolska lub Lubelszczyzna, a mimo to PiS odnosi tam spektakularne sukcesy. Wyparło Sojusz Lewicy Demokratycznej z pozycji hegemonu w takich miastach, jak Końskie czy Starachowice, i samo zajęło to miejsce. Lewica straciła tych wyborców w 2005 roku, ale przez 18 lat – tyle czasu zajął jej powrót do władzy – nie potrafiła ich odbić. Wyborcy odeszli, bo byli rozczarowani między innymi wolnorynkowymi rządami SLD.

**Czyli to jest wina rządu Leszka Millera, że lewica straciła swoich wyborców?**

Z całą pewnością za jego rządów nastąpił rozbrat klasy ludowej z SLD. W rezultacie Nowa Lewica jest

dziś partią drugoligową, miotającą się w morderczym klinclu między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską. Przestała podkreślać, że nie jest ani jednym, ani drugim, i zaczęła się po prostu upodabniać do PO. W sprawach fundamentalnych mówiła to samo co Platforma – praworządność, Unia Europejska itd., zapominając, że to UE przez neoliberalną politykę doprowadziła do upadku części polskiego przemysłu, np. stoczniowego. Lewica przestała wierzyć w swoją moc i sprawstwo, w swoją wyjątkowość, w to, że ma własny język i własną symbolikę. Tymczasem w wielu punktach znacząco różni się od Platformy Obywatelskiej. Może mówić o sukcesach socjalnych Polski Ludowej, o doświadczeniach Polskiej Partii Socjalistycznej, która zawsze opowiadała się za silnymi związkami zawodowymi, za ważną rolą państwa w gospodarce, nienawidziła wszelkiego przejawu nacjonalizmu. Tymczasem mam wrażenie, że w tych ważnych sprawach polityki pamięci Lewica zapomniała, kim jest.

**Może ten PRL to nie jest atrakcyjny wzorzec?**

Ależ oczywiście, że jest. Dam pani przykład z ostatniej kampanii parlamentarnej – Nowa Lewica zorganizowała konwencję mieszkaniową w Wiedniu.

**Byłam zdumiona, gdy to zobaczyłam.**

Wiedeń jest przykładem tego, jak samorząd może rozwiązać kryzys mieszkaniowy. Ale dla wielu, nawet wyborców Lewicy, ta konwencja była totalnie niezrozumiała. Adrian Zandberg, Robert Biedroń i Włodzimierz Czarzasty wystąpili na tle pięknych, nowoczesnych budynków, które wyglądały jak jakieś drogie, elitarne osiedle. Co prawda opowiadali o budowie społecznych mieszkań na wynajem, ale co szkodziło, żeby zrobić podobną konwencję na warszawskim Ursynowie czy innym z osiedli PRL-owskich, które zostały wybudowane przez państwo. Politycy nie straciliby dwóch dni na wyjazd do Wiednia, a jeszcze zaczęliby się posługiwać



językiem, do którego musiałaby się ustosunkować Koalicja Obywatelska. Mogliby powiedzieć – będziemy budować mieszkania jak za Gierka, a wiadomo, że w historii Polski żaden lider państwa oprócz niego nie może pochwalić się wybudowaniem milionów mieszkań, w których do dzisiaj mieszka wielu z nas.

#### **Dlaczego zatem wybrali Wiedeń?**

Lewica chwaliła się, że parę miesięcy przed tamtą konwencją Włodzimierz Czarzasty i Adrian Zandberg byli w Wiedniu i widzieli się z burmistrzem tego miasta, więc zakładam, że pozostawali pod wielkim wrażeniem rządów socjaldemokratów. Bo ten czerwony Wiedeń naprawdę robi wrażenie. Nie bez powodu został przeanalizowany przez ekonomistów, socjologów, politologów na całym świecie jako symbol sukcesu lewicy. Ale my mamy własne punkty odniesienia.

#### **Konwencja wiedeńska nie miała zahaczenia w rzeczywistości?**

Nie miała. A po dziewięciu miesiącach zasiadania w rządzie Nowa Lewica, która obiecywała 400 tysięcy społecznych mieszkań na wynajem, nie doprowadziła do wybudowania choćby jednego takiego lokalu, a jeszcze zmienił się wiceminister do spraw budownictwa socjalnego. Za trzy lata partia będzie musiała zmierzyć się z pytaniem, ile faktycznie jako socjaldemokracja wybudowała tych mieszkań dla obywateli państwa polskiego. Na dodatek w sprawie „Kredytu o proc.” to nie lewicowi ministrowie są głównymi oponentami, tylko Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050. Również w tej sprawie Lewica pozwoliła sobie ukraść temat.

#### **Pozwoli również na to, żeby związki partnerskie przepadły w koalicyjnych sporach, mimo że Donald Tusk twierdził, że tym razem to już na pewno zostaną uchwalone?**

Donald Tusk przyglądał się swojej politycznej przyjaciółce Angeli Merkel, która przez kilkanaście lat swojego urzędowania na stanowisku kanclerza RFN zawsze sama ogłaszała sukcesy, a informowanie o porażkach spychała na swoich ministrów, których później dymisjonowała. Gdyby w sprawie związków partnerskich Katarzyna Kotula miała dobre wieści, to gwarantuję, że nie ogłosiłaby ich sama. Co więcej, pierwsze zdanie w tej sprawie wygłosiłby Donald Tusk, pomimo że przygląda się – nie wiem, chyba sadyście – jak Katarzynę Kotulę traktują politycy PSL, komunikując się z nią w sposób niezwykle brutalny za pośrednictwem mediów. Przykro patrzeć, jak szef rządu, ale też Krzysztof Gawkowski jako wicepremier z Nowej Lewicy pozwalają ludowcom traktować minister Kotulę. A czasami trzeba wyraźnie powiedzieć – nie ma naszej zgody na takie połażanki. Jeżeli się panowie nie ogarniecie, to my nie musimy być w rządzie.

#### **Tak złe są relacje między PSL a Nową Lewicą w rządzie?**

Sądząc po oficjalnych wypowiedziach, to tak. Ostatnio minister Krzysztof Paszyk miał kilka wypowiedzi na granicy kultury i dobrego smaku pod adresem Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. W ogóle mam takie wrażenie, że PSL ma jakiś kompleks lewicowych kobiet w rządzie.

#### **Lewica jako pierwsza nadepnęła na odcisk PSL, żądając debaty aborcyjnej przed wyborami samorządowymi, dla nich najważniejszymi. Może to jest zwykły odwet?**

**W** polityce koalicyjnej, gdzie jest wielu partnerów, czasami trzeba zagrozić, żeby coś uzyskać. Uważam, że w sprawie swoich postulatów Nowa Lewica powinna zwyczajnie postawić ultimatum dotyczące tematów i terminów ich realizacji. To jest w jej żywotnym interesie. Stawiam tezę, że jeżeli nie „dowiezie” swoich tematów, to nie będzie miała innego wyjścia, jak wyjść z rządu. A jeżeli tego nie zrobi, to będzie to jej ostatni taniec w Sejmie i u władzy.

#### **Czyli jak to powinno wyglądać?**

Albo uchwalamy związki partnerskie do końca tego roku, albo my wychodzimy z rządu i głosujecie sobie nad ustawami z Konfederacją. Innymi słowy: albo Nowa Lewica będzie traktowana po partnersku, albo nie będzie szanowana. Mam wrażenie, że Lewica jest tak wygłodniała po 18 latach poza władzą, że naprawdę jest w stanie bardzo dużo wytrzymać dla stanowisk i apañaży.

#### **A nie sądzi pan, że gdyby teraz liderzy partii ogłosili, iż wychodzą z rządu, to połowa ministrów by się nie podporządkowała?**

Takie ryzyko jest zawsze. Wielu polityków Lewicy w przeszłości zdradziło swoją formację na rzecz Platformy Obywatelskiej. Danuta Huebner, Dariusz Rosati, Bartosz Arłukowicz, Grzegorz Napieralski – wszyscy oni odeszli od lewicy. Pełnią jakieś tam funkcje, mają pewnie niezłe życie, ale przecież w polityce chodzi o sprawstwo, o to, żeby być z czegoś zapamiętanym, a te wszystkie osoby dzisiaj są na marginesie. Donald Tusk nie zgodzi się, żeby mieli decydować o polityce jego rządu czy w ogóle Platformy Obywatelskiej. Jak się ma polityków, dla których pełnienie funkcji publicznych jest celem samym w sobie, to tak może się skończyć.

#### **W kulisach sejmowych płókuje się, że nawet wicepremier Krzysztof Gawkowski chętnie przeniósłby się do Platformy, gdyby tylko Donald Tusk kiwnął na niego palcem.**

Nie sądzę. Znając jego historię, chłopaka z małej miejscowości, który swego czasu handlował na Jarmarku Europa, nie wierzę w jego tranzyt do PO. Krzysztof Gawkowski ma przed sobą 30 lat aktywności



UKSW.EDU.PL

#### **BARTOSZ RYDZIŃSKI**

Jest doktorem nauk społecznych, adiunktem w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji UKSW. Współzakładał Centrum im. Ignacego Daszyńskiego zajmujące się analizą życia publicznego. Zasiada w radzie Fundacji Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”

politycznej. Może być drugim Arłukowiczem albo Rosatim lub współliderem własnej formacji. Tylko że w polityce ważne są tzw. timing i chęć. Innymi słowy Gawkowski powinien powtórzyć gest Aleksandra Kwaśniewskiego z końca lat 80. Gdy Mieczysław Franciszek Rakowski zaproponował mu funkcję w KC jako jednemu z młodych wilczków, on odmówił. Powiedział, że nie chce być „jednym z”, bo zamierza być liderem przyszłej formacji. I został szefem SdRP. Krzysztof Gawkowski powinien powiedzieć: chcę być liderem Nowej Lewicy, chcę być twarzą jej sukcesów w rządzie i ja będę je ogłaszał, a nie Donald Tusk. Poza tym musiałby to powiedzieć nie w pojedynkę.

#### **Już słyszymy, że nowa dwójka współprzewodniczących to mogliby być Gawkowski i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.**

**M**ogę sobie wyobrazić ten tandem. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk może pochwalić się szeregiem sukcesów w rządzie jako ministra pracy i polityki społecznej. Jest też nieustępliwą adwokatką praw kobiet. Z kolei Gawkowski mówił wielokrotnie publicznie, że jest wierzący. To mógłby być dobry układ, bo lewica musi budować koalicję różnych wyborców. Potrafiłby sobie wyobrazić sytuację, w której ten tandem mógłby łowić w gronie tych, którzy mają liberalne poglądy, są bardzo wyculeni na prawa człowieka, tych wśród umiarkowanych wyborców, dla których kluczowe są sprawy socjalne, prawa pracownicze. Gawkowski wie, na czym polega ciężka praca, co to znaczy wstawać o czwartej nad ranem, żeby o piątej wsiąść w pociąg,

który dojeżdża do dużego miasta. Ta dwójka jest w zasadzie jedną z nielicznych szans dla lewicy na przyszłość.

#### **Agnieszka Dziemianowicz-Bąk jest wymieniana jako potencjalna kandydatka na prezydenta w przyszłorocznych wyborach. Wróble ćwierkają, że jak tylko zgłosi swoją kandydaturę, Donald Tusk każe jej odejść ze stanowiska ministry rodziny i pracy. Czy to się jej opłaca?**

Gdyby do tego doszło, powinna powiedzieć: jasne, akceptuję to, rozumiem, że Rafał Trzaskowski odchodzi ze stanowiska prezydenta Warszawy, a Szymon Hołownia ze stanowiska marszałka Sejmu, bo stosujemy do wszystkich te same zasady. Ale jeżeli nie ma jednych zasad dla wszystkich, to Nowa Lewica powinna warknąć: „odczepcie się od naszych stanowisk”. I jeszcze może dodać, że Tusk karze ministrowi rodziny i pracy za to, że wykonuje kawał dobrej roboty. Ale kandydatura Dziemianowicz-Bąk nie jest przesądzona. To delegaci na przyszły kongres powinni wybrać nie tylko nowe władze, ale i pretendenta do urzędu prezydenckiego. Lewica musi wejść w wybory z nowym kierownictwem i z nowym pomysłem na funkcjonowanie partii.

#### **A co będzie z Włodzimierzem Czarzastym, jeżeli odda władzę? Dopiero za rok powinien objąć stanowisko marszałka Sejmu. Obejmie je?**

Na lewicy nikt nie będzie chciał mu tego odebrać, ale co zrobi Donald Tusk, tego nie wiadomo.

#### **A jak się zachowa partia Razem? Ostatnio wysłała sygnały, że może odejść z klubu Lewicy.**

Gdyby miała to zrobić, to chyba zdaje sobie sprawę, że samodzielny start w wyborach nie przyniesie jej sukcesu. Nie może być pewna przekroczenia nie tylko progu wyborczego, ale również poziomu, który dałby jej subwencję, czyli 3 proc. Tym bardziej że podział na lewicy dałby powód opinii publicznej do krytyki. Nie po to cztery ugrupowania połączyły się na jednej liście, żeby teraz wysłać taki sygnał. Gdyby Anna Maria Żukowska, przewodnicząca klubu Lewicy, zawnioskowała o dezaktywację kont twitterowych wszystkich polityków z własnym na czele, to wtedy, być może, udałoby się zachować jedność klubu. Zresztą polityka twitterowa to nie jest polityka poważna. Nie może być tak, że politycy zastanawiają się, co dziś napiszą, jak przywalą konkurencji, bo to patologizuje debatę publiczną.

#### **Co by się zmieniło dla samej Nowej Lewicy, gdyby Dziemianowicz-Bąk i Gawkowski stanęli na jej czele?**

**U**ważam, że wyborcy z większych miast, lepiej wykształceni i lepiej zarabiający, czyli obecny elektorat lewicowy, wyzbyliby się obaw przed marginalizacją formacji i dzięki temu nie rozglądaliby się za inną reprezentacją. Drugim krokiem byłoby poszerzenie bazy społecznej o wyborców, którzy są do Nowej Lewicy przychylnie nastawieni, ale traktują ją jako partię drugiego wyboru – to są starsi wyborcy, którzy kiedyś głosowali na SLD, a dzisiaj głosują na Donalda Tuska, lecz się nie cieszą. Mają sentyment do Polski Ludowej i potrzebują dobrej jakości usług publicznych ze względu na wiek. A trzeci krok, który byłby dla Lewicy najtrudniejszy, ale nie niemożliwy, to jest zawalczenie o część klasy ludowej – np. mieszkańców byłych miast wojewódzkich takich jak Włocławek, którzy boleśnie przeszli transformację. We Włocławku prezydentem miasta został niedawno Krzysztof Kukucki z Lewicy, były wiceminister rozwoju w rządzie Tuska.

#### **O Włocławku zawsze mówiono, że jest czerwony.**

Nie o to chodzi. Po prostu Polska poza dużymi miastami zwija się demograficznie, gospodarczo i społecznie, co jest związane z brakiem rozwoju regionalnego. I tam Nowa Lewica powinna nie tylko łowić wyborców, ale przekonywać, że będzie o nich walczyć w rządzie. Że postawi na deglomerację, czyli przeciwdziałanie temu, żeby wszyscy sprowadzali się do Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania, Gdańska. Deglomerację robi się również, przenosząc urzędy publiczne poza stolicę. Trybunał Konstytucyjny mógłby mieć siedzibę w Piotrkowie Trybunalskim. A politycy, którzy by do niego dojeżdżali, byłiby zainteresowani rozwojem dobrych, szybkich kolei. Czyli CPK też się wpisuje w tę koncepcję. Ostatnio, gdy byłem w Jeleniej Górze, jeszcze przed powodzią, stwierdziłem, że pociąg ze Szklarskiej Poręby do Warszawy jedzie dłużej niż trwa lot z Warszawy do Nowego Jorku. To nie ma nic wspólnego ze zrównoważonym rozwojem kraju. /©©

## ANDRZEJ BRZEIECKI

Marek Karp, budując Ośrodek Studiów Wschodnich, starał się przywrócić ciągłość niezależnej myśli politycznej i kontynuować linię Instytutu Europy Wschodniej, w którym pracował profesor Stanisław Swianiewicz.

## OSWOIĆ I ZROZUMIEĆ POLSKĘ



PAP/GRZEGORZ MICHAŁOWSKI

Możliwe, że bez biografii **Stanisława Swianiewicza** nie byłoby Ośrodka Studiów Wschodnich. Na zdjęciu: plan zdjęciowy spektaklu Teatru Telewizji Polskiej pt. „Inspekcja” w reżyserii Jacka Raginisa-Królikiewicza, opartego m.in. na katyńskich wspomnieniach prof. Swianiewicza. Z lewej Marcin Kwaśny jako Stanisław Swianiewicz, z prawej Mariusz Ostrowski jako Wasilij Zarubin, Łódź 2017 r.

Jesienią 1983 roku Marek Karp był w Londynie. Poza zarobkowaniem spędzał czas na szukaniu w polskich archiwach i bibliotekach w Londynie materiałów do planowanej pracy o stronnictwie wileńskich „krajowców”. Liczył, że na emigracji uda mu się zebrać potrzebny materiał. Tyle że – jak sam kilka lat później wyznał – poszukiwania te przebiegały „w zasadzie bezowocnie”. Znajomy, widząc daremny trud Karpią, złożył mu niebywałą ofertę: „Rzuć to żmudne kartkowanie. Zaprowadź cię do człowieka, który znał ich wszystkich! Chyba chcesz poznać prof. Swianiewicza?”.

Karp oczywiście chciał – każdy by chciał, bo profesor Stanisław Swianiewicz był już wtedy legendą. Jego książka „W cieniu Katynia” znana była na emigracji, ale również w Polsce. Ten jedyny w swoim rodzaju opis wojny obronnej we wrześniu 1939 roku, niewoli radzieckiej, a przede wszystkim mordu katyńskiego docierał do antykomunistycznej inteligencji. Karp zatem już wcześniej zaczytywał się wspomnieniami Swianiewicza, znał także jego późniejsze teksty. Co innego jednak czytać i podziwiać, a co innego poznać osobiście. Młody przybysz z Polski z niepokojem więc czekał na

informację, czy i kiedy ten świadek historii zgodzi się na rozmowę. Jeszcze przed końcem 1983 roku obaj panowie się spotkali. Pierwszy miał wówczas 84 lata, drugi raptem 31 – niemal trzykrotnie mniej. Dzieliło ich bardzo wiele. Swianiewicz urodził się jeszcze za panowania carów w lotewskim Dyneburgu, a przedwojenne Wilno było miastem, w którym spędził wiele lat swego życia. Karp urodził się już w PRL-u, przedwojenne Wilno znał z książek. A jednak obaj szybko znaleźli wspólny język.

Stanisław Swianiewicz mieszkał wówczas w niewielkim hospicjum maltańskim w zachodnim Londynie. Mimo swego wieku zaimponował przybyszowi z Polski sprawnością fizyczną, pamięcią i dowcipem. Nie należał do tej grupy niezłomnych emigrantów, dla których wszystko, co działo się nad Wisłą, nie miało już znaczenia. Przeciwnie – wypytywał Karpią o to, co dzieje się w Warszawie. Ten jednak wolał słuchać o wileńskich „krajowcach”. Obaj panowie spotykali się później często. „W londyńskich parkach, w mieszkaniu Swianiewicza, jak sam Karp wspominał, brał udział w jednym swego rodzaju «prywatnym seminarium», jakie wiekowy profesor prowadził dla niego”.

Spotkania ze Swianiewiczem były ważne nie tylko ze względu na przeszłość i planowaną przez Karpią pracę doktorską. Oczywiście rozmowy o Wilnie, „krajowcach”, Żeligowskim czy Mackiewiczu dla przybysza z Polski były nie lada gratką. Z jednego z takich spotkań, dokładnie 24 stycznia 1984 roku, Karp wyszedł z trzymany pod pachą egzemplarzem „W cieniu Katynia”, wydanym przez Instytut Literacki w Paryżu.

## W dobrym towarzystwie

Profesor Swianiewicz nie był nad Tamizą jedynym rozmówcą Karpią, który dobrze pamiętał II RP. W Studium Polski Podziemnej w Londynie zachował się ślad korespondencji z Bohdanem Podolskim, jednym z najważniejszych parlamentarzystów BBWR i między innymi wicemarszałkiem sejmu w latach 30. XX wieku. W lipcu 1984 roku Karp, wraz ze znajomą Anną Marią Zając, spędził u niego na rozmowie kilka „interesujących godzin”.

Jednak znaczenie spotkania Marka Karpi z Stanisławem Swianiewiczem wykracza dalece poza historyczne zainteresowania tego pierwszego. Swianiewicz miał znacznie więcej do opowiedzenia niż to, co jego młody słuchacz ostatecznie mógł usłyszeć wtedy od kogoś innego lub wyczytać w książkach. Miał też własną historię, która była niesłychana i choć powiązana z wątkiem katyńskim, to jednak poza niego wykraczająca. Kto wie, możliwe, że bez biografii Stanisława Swianiewicza nie byłoby Ośrodka Studiów Wschodnich...

„Marek opowiadał dużo o profesorze Stanisławie Swianiewicz. Uważał, że między wileńskim Instytutem tamtego a Ośrodkiem Studiów Wschodnich istnieje ciągłość. Przez to mieliśmy poczucie, że zaczynamy od momentu, w którym ktoś przerwał pracę, że wchodzimy w to, co było już robione. Taki jest etos Ośrodka. Zajmujemy się czystą analityką, ma ona służyć państwu, ale oczywiście może ona służyć do celów prometejskich” – mówi Wojciech Górecki.

Marek Karp szukał kontaktów ze starą generacją, dlatego skontaktował się po latach z Jerzym Giedroyciem, próbując go namówić do napisania tekstu do książki pamiątkowej Ośrodka Studiów Wschodnich. Podkreślał wtedy, że budując OSW, starał się przywrócić ciągłość niezależnej myśli politycznej i kontynuować linię Instytutu Europy Wschodniej, w którym pracował profesor Swianiewicz, „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, redagowanego przez Włodzimierza Bączkowskiego, i oczywiście nurtu myślowego zapoczątkowanego przez paryską „Kulturę”.

Krzysztof Strachota, wieloletni pracownik OSW zajmujący się Azją Centralną, zapamiętał, że profesor Stanisław Swianiewicz pojawiał się w rozmowach z Markiem Karpiem jako inspiracja dla OSW. „To było wyraźne, ważne chyba jako fakt, ale nie rozpamiętywał tego przy mnie, nie czułem cienia Swianiewicza” – mówi Strachota. „Jakoś podobnie pojawiał się książkę Adam Czartoryski i jego Hôtel Lambert, Jerzy Giedroyc czy Jan Nowak-Jeziorański, z którym, jak z całym, była regularna współpraca i który zaglądał do Ośrodka – tutaj był szacunek, dialogowanie, ale bez nabożeństwa, Marek chyba raczej czuł się dobrze w takim towarzystwie”.

W 1992 roku do OSW zawiązał 87-letni wówczas Włodzimierz Bączkowski, wciąż sprawny intelektualnie. Jego obecność na Koszykowej stanowiła kolejny łącznik z przedwojenną sowietologią i ekspertyzą dotyczącą Ukrainy. Włodzimierz Bączkowski związany był z warszawskim Instytutem Wschodnim, a na emigracji w USA stał się ekspertem w kwestiach rosyjskich w Waszyngtonie. Właśnie u progu lat 90. XX wieku, gdy dominowała nadzieja na „koniec historii”, Bączkowski wieszczył, że w Rosji jeszcze zwyciężą czarny nacjonalizm i chęć odbudowy imperium.

## Gotowy przepis na OSW

**M**arek Karp, nawiązując do takich postaci, tworzył w Ośrodku atmosferę służby państwu.

Gdy mowa o służbie dla Polski, pracy dla państwa, łatwo popaść w patos albo być posądzonym o cynizm: tyłu już Polska widziała państwoców... A przecież trzeba wierzyć, że w każdym kraju są pokolenia ludzi, którzy traktują pracę dla swojego państwa poważnie i z czystymi intencjami. Jasna sprawa, że nikt nie kładzie się spać i nie wstaje rano, myśląc jedynie: „Polska, ojczyzna!” – ale gdy wykonuje się swoje obowiązki, myśl, że to służy dobru wspólnemu, niektórzy mają zawsze gdzieś w tyle głowy.

„Dla mnie osobiste, ale też dla wielu kolejnych przychodzących do Ośrodka młodych ludzi, postawa Marka wobec służby państwu i mówienie o etosie pracy dla Polski było czymś formacyjnym” – kontynuuje wspomnienia Krzysztof Strachota. Wcześniej był dość sceptyczny wobec państwa i polityki, z czasem jednak zdał sobie sprawę, że analityk, aby odpowiadać na zdefiniowane lub niezdefiniowane interesy państwa, musi własne państwo elementarnie ośwoić, zrozumieć, zidentyfikować się z nim.

Gdy w 1930 roku tworzono instytut w Wilnie, w Polsce, poza istniejącym od 1926 roku warszawskim Instytutem Wschodnim, nie było dla takiej placówki wzorców, dlatego sięgano po doświadczenia niemieckie. Niemcy bowiem mieli instytuty badawcze i analityczne zajmujące się Wschodem. Gdy Karp przystępował do budowy Ośrodka Studiów Wschodnich, szczęśliwie miał się na czym oprzeć.

Co ciekawe, Stanisław Swianiewicz, o wydawałoby się swojskim – bo o polsko czy słowiańsko brzmiącym – nazwisku, w rzeczywistości miał szkockie korzenie. Oto w XVII wieku na ziemi Wielkiego Księstwa Litewskiego, któremu potem służył z bronią w ręku, przybył pewien Szkot o nazwisku Swan. Z biegiem dekad i stuleci potomkowie szkockiego przybysza spolszczyli się i zasili szeregi ziemiaństwa. Była to ta światła część szlachty, która kładła nacisk na edukację. Nie brak było wśród przodków Swianiewicza powstańców listopadowego czy styczniowego. Jego ojciec Stanisław był już jednak inżynierem kolejnictwa, także matka Katarzyna była osobą wykształconą.

Swianiewicz kończył dobre szkoły, rozpoczął studia w Moskwie. Od młodości mówił biegle po rosyjsku i niemiecku. Miał wiele sympatii dla kultury rosyjskiej oraz kultur innych nacji zamieszkujących carskie imperium. Gdy jednak pojawiły się widoki na niepodległość, nie wahał się ani chwili i włączył się w działalność Polskiej Organizacji Wojskowej. Brał udział w walkach o wolną Polskę, w tym w wojnie polsko-bolszewickiej, a także w „buncie” generała Lucjana Żeligowskiego. Jeszcze nie opadł bitewny kurz, a Swianiewicz zapisał się na Uniwersytet Stefana Batorego. Z jego formacją było dlań oczywiste, że nowa Polska będzie potrzebowała ludzi nie tylko bitnych, ale także światłych. Tak zaczęła się niebagatelna kariera naukowa Stanisława Swianiewicza.

Jak pisał historyk Marek Kornat, myśl o powołaniu w Wilnie ośrodka wschodoznawczego i sowietologicznego dojrzała wśród tamtejszej inteligencji już od połowy lat 20. XX wieku. „Wilno było naturalnym miejscem dla takiej instytucji, ponieważ wśród wileńskich federalistów, «krajowców» i demokratów silne były tradycje «myśli wschodniej»”. Głównymi inicjatorami Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej byli profesor Stefan Ehrenkretz, Witold Staniewicz i Janusz Jędrzejewicz.

Ten pierwszy, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, prawnik, rektor Uniwersytetu Stefana Batorego i polityk bliski obozowi Józefa Piłsudskiego do czasu, gdy ten stoczył się do poziomu Obozu Zjednoczenia Narodowego, był faktycznym kierownikiem Instytutu Wileńskiego. Jednym ze studentów Stefana Ehrenkretza na wydziale prawa był Juliusz Bardach – ten sam, u którego Marek Karp chciał pisać doktorat, a jednym z najbliższych współpracowników Stefana Ehrenkretza był Stanisław Swianiewicz.

„Jest u nas przyjęte, że gdy ze względów państwowych powstaje konieczność przeprowadzenia stałych studiów naukowych w jakimś zakresie, tworzy się wówczas specjalne instytuty badawcze tych zagadnień poświęcone” – zauważył latem 1939 roku w „Polityce” Jerzego Giedroycia Stanisław Swianiewicz, gdy opisywał dyskusję na temat organizacji i profilu Instytutu. Zastanawiano się bowiem w Wilnie, jakie metody pracy miałyby przyjąć taka jednostka badawcza. Swianiewicz wymieniał dwie możliwości. Pierwsza miałyby polegać na zleceniu różnym specjalistom z kraju i zagranicy opracowań. Instytut inicjowałby i koordynowałby pracę ludzi w innych ośrodkach. Druga forma pracy polegała na samodzielnym „zbieraniu i segregowaniu materiałów, aby w szybkim tempie można było ustalić wszystkie elementy niezbędne dla charakterystyki danego zagadnienia”.

Swianiewicz roztropnie optował za połączeniem obu metod. Z początkiem 1930 roku Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej zyskał aprobatę rządu i, co bardzo ważne, budżet, który pozwalał przystąpić do pracy. Statut Instytutu, który potocznie nazywano Instytutem Wschodnim – a czynili tak nawet jego pracownicy, widocznie zdający sobie sprawę, że oficjalna nazwa jest nieco przydługa – zakładał, że jego zadaniem jest: „badanie pod względem historycznym, geograficznym, gospodarczym, kulturalnym, społecznym i politycznym ziem i formacji państwowych położonych między Morzem Czarnym a Bałtykiem oraz ludów terenów zamieszkałych; szerzenie wiedzy o wspomnianych terenach i ludach”.

Należy zaznaczyć, jak pisze Jacek Borkowicz, że „mimo związków Instytutu z ruchem prometejskim jego merytoryczna działalność pozbawiona była elementów ideologicznych. Zwracali na to uwagę badacze pokrewnych ośrodków niemieckich, zarzucający pracownikom Instytutu filokomunizm. W rzeczywistości naukowcy wileńscy nie chcieli – jak ich koledzy z Królewca – pod-

porządkować kierunków swoich badań dywersji politycznej na terytorium Związku Sowieckiego”. Gdy czyta się teksty Swianiewicza dotyczące organizacji i potrzeb wileńskiego Instytutu, widać, że był to niemalże gotowy „przepis” na Ośrodek Studiów Wschodnich. Pisał on, że należy pozyskać najlepsze siły intelektualne, którymi naród polski dysponuje, by zajmowały się Rosją i Wschodem. Następnie dodawał: „[...] gdy chodzi o skierowanie do tych badań najtejszych sił intelektualnych, staje kwestia kosztów. Otóż uważam, że zagadnienie, o którym piszę, jest sprawą tak ważną, że środków na to żałować nie można”.

## Niebywałe wyniki

**S**wianiewicz wielką wagę przywiązywał do warsztatu pracy, a zwłaszcza do księgozbioru i bazy danych. By móc badać kwestie aktualne i pisać opracowania, trzeba mieć dostęp do czasopism i dzienników. Ważne informacje mogą znajdować się także w „różnych memoriałach i notatkach niedrukowanych”. „Dlatego też – pisał Swianiewicz – uzupełnieniem księgozbioru musi być katalog artykułów w czasopiśmie, dobrze posegregowane archiwum wycinków prasowych oraz archiwum materiałów niedrukowanych. Oczywiście dla zorganizowania oraz prowadzenia takiego «warsztatu» konieczna jest odpowiednia kadra stałych pracowników”.

Swianiewicz w Instytucie zajmował się gospodarką Związku Radzieckiego, ale także szerzej – gospodarką w państwie o ustroju totalitarnym, dlatego od 1933 roku w kręgu jego zainteresowań była także III Rzesza. Jak powszechnie się uważa, właśnie znajomość gospodarki niemieckiej uratowała Swianiewiczowi życie, gdy 29 kwietnia 1940 roku na stacji Gniazdowo cofnięto go z transportu z obozu w Kozielsku do katyńskiego lasu. Najwyraźniej NKWD uznało, że wiedza Polaka może się przydać. Swianiewicza przewieziono później do Moskwy i zamknięto w celi na Łubiance. Śledztwo zakończyło się wyrokiem skazującym go na osiem lat więzienia za szpiegostwo gospodarcze wymierzone w Związek Radziecki. Po latach Jacek Cichocki, Jolanta Darczewska i Bartłomiej Sienkiewicz, pracownicy Ośrodka Studiów Wschodnich, widzieli w tym wyroku swoisty dowód uznania dla metody badań Instytutu w Wilnie. Śledczy z NKWD nie mogli bowiem uwierzyć, że Swianiewicz, mający takie rozeznanie w gospodarce Kraju Rad, nie miał dostępu do tajnych informacji. „Uznano najwyraźniej, że [jego] konkluzje nie mogły pochodzić wyłącznie z analizy oficjalnych materiałów”.

A jednak systematyczna i staranna lektura oraz analiza oficjalnych materiałów – między innymi książek, prasy – może dać niebywałe wyniki.

Po napaści Hitlera w czerwcu 1941 roku na Związek Radziecki przed Polakami utworzyła się szansa na wyrwanie się z „niehumanitarnej ziemi” i wraz z generałem Władysławem Andersem utworzenia armii u boku Brytyjczyków. Nie od razu jednak Swianiewiczowi udało się wydostać – potrzebne były interwencje polskiego ambasadora Stanisława Kota.

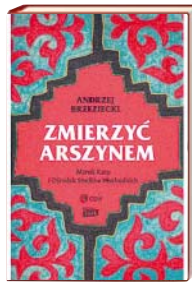
Stanisław Swianiewicz nie składał broni. Od 1943 roku tworzył na Bliskim Wschodzie kolejny ośrodek badawczy pod egidą rządu londyńskiego, czyli Biuro Studiów Bliskiego i Środkowego Wschodu, którego jednym z filarów był Włodzimierz Bączkowski. Wbrew nazwie zajmowało się ono również analizami problematyki sowieckiej.

Gdy w 1983 roku Marek Karp trafił do obłożonego książkami pokoju Stanisława Swianiewicza w hospicjum, czy może raczej domu spokojnej starości, niedaleko stacji metra Hammersmith w Londynie, nic nie zapowiadało, że w Polsce za kilka lat będzie można powołać instytucję zbliżoną do Instytutu, jaki w Wilnie współtworzył Swianiewicz. /©©

**Fragment książki Andrzeja Brzezieckiego „Zmierzyć arszynem. Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich”, która ukazała się we wrześniu nakładem wydawnictwa Znak, Kraków 2024**

**Tytuł i źródły pochodzą od redakcji**

**Andrzej Brzeziecki** jest historykiem i publicystą. Publikuje w różnych mediach, był m.in. wieloletnim dziennikarzem „Tygodnika Powszechnego”. Zasiadał w radzie Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpi. Wydał m.in. takie książki, jak „Tadeusz Mazowiecki. Biografia naszego premiera” i „Łukaszenka. Niesdoszły car Rosji” (z Małgorzatą Nocuń)



## MACIEJ J. NOWAK

85 lat temu z urzędu prezydenta ustąpił Ignacy Mościcki, świetny naukowiec, który okazał się marnym politykiem.

# TYLE ZNACY CO IGNACY

**K**iedy aktywni naukowcy próbują wchodzić do polityki, efekty bywają marne. Pół biedy, gdy są to badacze bez większych osiągnięć, nie ma wtedy wielkiej straty z perspektywy nauki. Znacznie gorzej, kiedy karierę naukową na rzecz politycznej porzucają naukowcy wybitni.

W tym kontekście w XX wieku nie ma chyba bardziej spektakularnego przypadku niż losy Ignacego Mościckiego. W życiu ostatniego prezydenta II Rzeczypospolitej możemy dostrzec jakby dwie różne biografie osób o odmiennych charakterach. Z jednej strony mamy aktywnego, dynamicznego, niezwykle pomysłowego chemika, zarabiającego otoczenie swoją pasją. Z drugiej – widzimy biernego, nieodnajdującego się w rzeczywistości polityka, lekceważonego przez otoczenie.

## Naukowiec

**P**o młodzińskich aktywnościach konspiracyjnych Ignacy Mościcki otrzymał w roku 1897 propozycję z Fryburga, ze Szwajcarii, dotyczącą zatrudnienia na lokalnym uniwersytecie. Inicjatorem zaproszenia był pracujący tam prof. Józef Wierusz-Kowalski, znający 30-letniego wówczas Mościckiego z lat wcześniejszych. Tak zaczęła się poważna przygoda przyszanego prezydenta Rzeczypospolitej z nauką.

Po nadrobieniu zaległości, w błyskawicznym tempie Mościcki zdobywał w nowym miejscu pracy uznanie zarówno jako początkujący naukowiec, jak i dydaktyk. W tym okresie można zauważyć u niego prawdziwą naukową pasję: pracował po 16 godzin dziennie (choć zgodnie z obowiązkami był zobowiązany jedynie do sześciu). Szczególnie interesowała go elektrofizyka. Okazywał nadzwyczajne umiejętności w zakresie dostosowywania aparatury do planowanych pomiarów. Znał każdy szczegół dostępnego na uczelni sprzętu, stając się w tym zakresie największym specjalistą spośród kolegów z pracy. Skupił się również na nowych sposobach uzyskiwania azotu.

Po pewnym czasie porzucił obowiązki dydaktyczne, w pełni poświęcając się naukowej pasji. Szybko uzyskał doktorat, stał się zauważalny w środowisku, zdobył patenty, wygłaszał ważne i znamienne dla świata nauki referaty, publikował artykuły. Okazywał zarazem szlachetność, potrafiąc przyznać, że w danym momencie inni naukowcy uzyskiwali ważniejsze dla sprawy wyniki. Nawiązał też współpracę z wiodącymi firmami, co zabezpieczyło byt materialny jego rodziny. Inicjował budowę licznych fabryk, m.in. w roku 1908 fabryki kwasu azotowego w szwajcarskim Chippis.

W 1912 r. senat Politechniki Lwowskiej zaproponował Mościckiemu objęcie stanowiska kierownika katedry elektrochemii technicznej i chemii fizycznej. Przyszły prezydent zaproszenie przyjął, dalej koncentrując się na zagadnieniu budowy zakładu kwasu azotowego. Po kilku latach objął funkcję dziekana wydziału chemicznego, sprawując ją przez dwie kadencje. Nie odbyło się to jednak kosztem aktywności naukowej. W 1916 r. założył Instytut Badań Naukowych i Technicznych „Metan”, spółkę zajmującą się rozwojem nowoczesnego przemysłu chemicznego na ziemiach polskich. Dążył do tworzenia różnych, dynamicznie działających jednostek badawczych. Uzyskiwał kolejne patenty.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości rozwijał działalność na wielu płaszczyznach: pełnił funkcję dyrektora fabryki związków azotowych w Chorzowie oraz

kierował Chemicznym Instytutem Badawczym w Warszawie. W 1925 r. został wybrany nawet na rektora Politechniki Lwowskiej, ale szybko z tej funkcji zrezygnował, kiedy otrzymał z Politechniki Warszawskiej ofertę kierowania katedrą elektrochemii. Warto to mocno podkreślić, również z perspektywy dalszych wydarzeń: Mościcki zrezygnował z prestiżowego stanowiska, wybierając aktywność naukową.

W 1926 roku miał więc ugruntowaną pozycję naukową, włączając w to członkostwo w Polskiej Akademii Umiejętności oraz doktoraty honorowe różnych uczelni. Jak ujmuje jego biografka Halina Lichocka, dzielił wówczas czas między pracę na dwóch politechnikach (Warszawskiej i Lwowskiej) oraz kierowanie Zakładami Azotowymi w Chorzowie. Można by rzec – wzorcowa



**PO PRZEŁOMIE MAJOWYM, W 1926 R., MOŚCICKI NAPISAŁ DO PROF. WITOLDA BRONIEWSKIEGO, NOWEGO MINISTRA ROBÓT PUBLICZNYCH, LIST NASTĘPUJĄCEJ TREŚCI: „SĄ CHWILE W ŻYCIU NARODU, KIEDY TRZEBA ZŁOŻYĆ OFIARĘ ZE SWEJ PRACY ZAWODOWEJ I ODDAĆ SWĄ OSOBĘ DLA SPRAWY. WOBEC TEGO OŚWIADCZAM KOLEDZE, ŻE STOJĘ DO DYSPOZYCJI RZĄDU I ŻE PRZYJMĘ STANOWISKO, NA KTÓRYM MÓGŁBYM BYĆ UŻYTECZNY”**

kariera naukowca. Mościcki mógł kontynuować badania oraz wszelakie inne inicjatywy z coraz większym rozmachem oraz pożytkiem zarówno dla nauki, jak i praktyki.

## Polityk

**N**iestety, tak się nie stało. Patrzył już bowiem w inną stronę. W tym miejscu rozpoczyna się biografia wydawca by się mogło zupełnie innego człowieka. Z dawnych konspiracyjnych czasów Mościcki miał kontakty z ówczesnymi politykami. Znał samego Józefa Piłsudskiego, choć nie znajdował się w pierwszym (ani nawet trzecim) kręgu jego towarzyszy. Po przełomie majowym, w 1926 r., napisał do prof. Witolda Broniewskiego, nowego ministra robót publicznych, list następującej treści: „Są chwile w życiu narodu, kiedy trzeba złożyć ofiarę ze swej pracy zawodowej i oddać swą osobę dla sprawy. Wobec tego oświadczam koledze, że stoję do dyspozycji rządu i że przyjmę stanowisko, na którym mógłbym być użyteczny”.

List był niczym innym, tylko ubranym w ładne sformułowania zwykłym przymawianiem się o jakieś stanowisko. Warto zauważyć, że ów pierwszy polityczny gest profesora zawierał pewną dawkę obłudy: w imię własnych korzyści Mościcki powoływał się na górnolotne

wartości. Jakkolwiek było, trafił na właściwy moment. To zapewne ów list zainspirował Kazimierza Bartla i Józefa Piłsudskiego do pomysłu powierzenia profesorowi stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej.

Nad złożoną mu ofertą wybitny chemik przez chwilę trochę się zastanawiał (a przynajmniej tak twierdził we wspomnieniach). Ostatecznie, rzecz jasna, ją przyjął. Nie był powszechnie znany w społeczeństwie i nie miał politycznego wyczucia. Piłsudski, uzasadniając w wywiadzie dla „Kuriera Porannego” wybór tej kandydatury, wskazywał: „Umysł taki, jak prof. Mościckiego nie daje się nigdy zepchnąć w ramy doktryn, a specjalnie nie uda się nigdy zamknąć takiej duszy w ramki maluczkich doktrynek, ciasnych formułek i jeszcze ciaśniejszych prawidełek, jakimi ludzie tak chętnie krępują i siebie i tych, którzy muszą pracować nad większymi zagadnieniami”.

Zarówno we wspomnieniach z tamtych czasów, jak też w znaczącej części historiografii dominuje negatywna ocena jego prezydentury. Można ją sprowadzić do przypisywanego Bartłowi powiedzenia „tyle znacy co Ignacy”. Zdarzają się wśród historyków głosy, że ta ocena nie jest do końca sprawiedliwa. Niemniej, jakkolwiek patrzeć, rola Mościckiego polegała na firmowaniu (często – pilnym wykonywaniu) wszystkich działań sanacji.

Po śmierci Piłsudskiego grupa Mościckiego i Edwarda Rydza-Śmigłego wygrała rywalizację o władzę z Walerym Sławkiem, chociaż trudno to zaliczyć do chwalebnych osiągnięć prezydenta. W kluczowych państwowych sprawach nie był decydemtem.

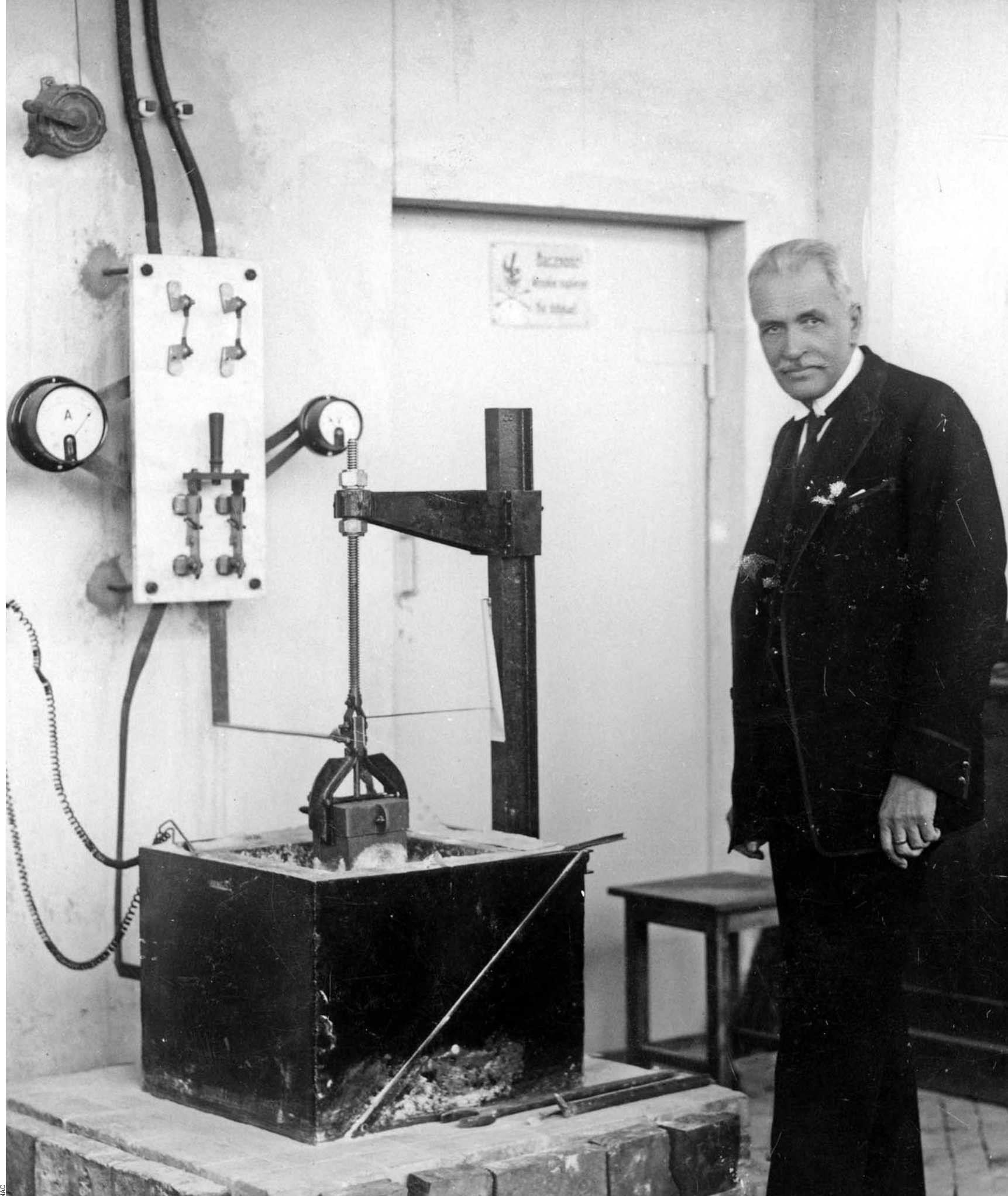
W źródłach znajdziemy liczne negatywne oceny Mościckiego: dotyczyły jego braku orientacji w politycznych niuansach, nadmiernej skłonności do celebry, a nawet prób wyrażania stanowiska w sprawach, na których zupełnie się nie znał, np. polityki zagranicznej. Prezydent próbował też swoich sił w sporządzaniu autorskich koncepcji gospodarczego rozwoju kraju, wzbudzając popłoch wśród ekonomistów. Rozmowy z nim oceniano jako jałowe, niewiele wnoszące, a jego samego, wieloletniego dydaktyka, przedstawiano jako bardzo słabego mówcę. Część tych zarzutów potwierdza treść wspomnień Mościckiego: bezbarwnych, często koncentrujących się na szczegółach gospodarskich wizyt.

Gwoli sprawiedliwości warto jednak odwołać się do ocen bardziej przychylnych dla prezydenta. Prof. Marek Drozdowski zwracał uwagę, że Mościcki mocno wspierał działania aktywizujące środowiska naukowe, promował inicjatywy dotyczące rozwoju Gdyni, interesował się przemysłem obronnym, a politycy skupieni wokół niego w drugiej połowie lat 30. w tzw. Grupie Zamkowej uchodzili za bardziej liberalną i skłonną do dialogu z opozycją część obozu rządzącego.

Z biegiem lat rosła pozycja Rydza-Śmigłego i wzmacniały się tendencje autorytarne. Mościcki w żaden sposób nie przeciwstawił się założeniu obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej ani osadzeniu tam znanego dziennikarza Stanisława Cata-Mackiewicza.

## Gdyby nie 1926 rok...

**U**rodzony w 1867 r. Ignacy Mościcki prezydentem został jako 59-latek, w 1926 r. Z urzędu ustąpił 30 września 1939 r. (wskazując jako swego następcę Władysława Raczkiewicza)



**Prezydent Ignacy Mościcki w laboratorium.** Szkoda, że mając do wyboru karierę naukową i polityczną, postawił na tę drugą

i wyjechał do Szwajcarii. Zmarł 2 października 1946 r. W „życiu naukowym” był nie tylko pomysłodawcą i realizatorem świetnych badań, przekładających się na niezliczonych polach na ważne i potrzebne rozwiązania wdrożeniowe (pozostaje więc ideałem naukowca z perspektywy ówczesnych wyzwań chemicznych). Był ponadto świetnym organizatorem, potrafiącym koordynować i jednocześnie prowadzić wiele potrzebnych inicjatyw.

W „życiu politycznym” mamy osobę pasywną, bez autorytetu, podejmującą co najwyżej jakieś sektorowe inicjatywy. Obecnie w świadomości publicznej dominuje ten drugi wizerunek Mościckiego. Zapewne, gdyby

w 1926 r. nie wybrał politycznej drogi, byłby znany jedynie w wąskich gronach chemików, ale tam wspomniano by go z bezdyskusyjnym szacunkiem.

Mamy w naszej historii (również w teraźniejszości...) rzeszę osób ze stopniami i tytułami naukowymi zaangażowane w politykę, ale o niezbyt wielkim dorobku badawczym. W przypadku Mościckiego sprawa wyglądała inaczej. Pokusa działania w polityce opętała go, odsłaniając najgorsze cechy charakteru. Może nauka i polityka to po prostu dwa odrębne światy, które oczywiście powinny być jakoś powiązane, ale których zbyt bliskie związki prędzej czy później źle się kończą?

/©©

**Dr hab. Maciej J. Nowak** – radca prawny, historyk, autor książki „Narutowicz–Niewiadomski. Biografie równoległe”. Kieruje Pracownią Ekonomiki Przestrzennej w Zakładzie Prawa i Gospodarki Nieruchomościami na Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym w Szczecinie

Przy pisaniu artykułu korzystałem m.in. z następujących publikacji: Sławomir M. Nowinowski „Prezydent Ignacy Mościcki”, Warszawa 1994; Ignacy Mościcki „Autobiografia”, Warszawa 1993; Halina Lichočka „Ignacy Mościcki (1867–1946). Inżynier i wynalazca”, Warszawa 2006; Andrzej Ulmer „Ignacy Mościcki. Wybitny naukowiec i technolog”, Warszawa 2018; „Pan Prezydent. Rzecz o Ignacym Mościckim” (praca zbiorowa), Ciechanów 1996

## PRZEMYSŁAW MRÓWKA

Przybyła na miejsce policja zastała śmiertelnie rannego doktora i Stanisława Hiszpańskiego bladego jak śmierć, siedzącego w fotelu z rewolwerem w ręku i palącego papierosa. Na pozór sprawa była oczywista, dopóki do akcji nie wkroczył adwokat.

# TEMIDA ZAFRASOWANA

**W** USA znana jest historia przedsiębiorczego Amerykanina, który ubezpieczył skrzynkę cygar od pożaru, a po ich wypaleniu pozwał ubezpieczyciela o odmowę wypłaty odszkodowania i sprawę wygrał. Ubezpieczyciel w odpowiedzi złożył sprawę o 20 celowych podpaleń, w której użyto tego samego materiału dowodowego, a którą ubezpieczający przegrał.

W Anglii często powtarza się historię studenta Oksfordu, który powołując się na średniowieczny przywilej królewski, wymógł na swoim uniwersytecie dwie pinty piwa dziennie. Nawet ci jednak niekoniecznie wiedzą (sam dowiedziałem się znacznie później), że uniwersytet, owszem, dostarczał piwo, po czym na koniec semestru wystawił za nie rachunek, student nie nosił bowiem miecza, nie był więc szlachetnie urodzony i przywilej go nie obowiązywał.

W polskich wokandach sprzed wieków również znaleźć można masę spraw zabawnych, nietypowych lub po prostu dziwnych. Zapraszam więc do zapoznania się z kilkoma.

## Bomba w piecu

**Z**acznijmy od sprawy bardzo krótkiej. Oto 5 kwietnia 1761 r. z polecenia marszałka wielkiego koronnego Franciszka Bielińskiego aresztowano trójkę sług radcy tajnego Bibersteina. Informacja o tym rozeszła się niczym pożar lasu, jednak nie ze względu na samego Bibersteina, który wiódł z gruntu spokojny żywot naczelnego dyrektora poczt koronnych. Ulica była zafascynowana ze względu na oryginalność sprawy i zaangażowanie w nią mocno podstarzałego (78 lat) marszałka Bielińskiego. Cieszył się on mieszaną reputacją dobroczyńcy Warszawy (dzięki jego wytrwałej, 20-letniej pracy udało się wybrukować większość ulic) oraz jej szeryfa, urząd marszałka związany był bowiem ze zwalczaniem przestępczości i dbaniem o porządek w mieście, Bieliński zaś wywiązywał się z funkcji z całą surowością i bezwzględnością. 4 kwietnia 1761 r. postawiono go przed jedną z najtrudniejszych spraw w karierze, a do tego bezprecedensową w skali całego kraju. Mieszkanie dyrektora poczt zostało mianowicie wysadzone w powietrze.

Jak udało się ustalić w trakcie śledztwa, pierwszy w historii Polski zamach bombowy dokonany został przy pomocy blaszanej puszki zawierającej pięć funtów prochu (dwa kilogramy, zakładając, że chodziło o wzór funta staropolskiego). Puskę umieszczono w piecu żelaznym ogrzewającym salon domu, prawdopodobnie improwizując w ten sposób mechanizm zdalnej detonacji: po napaleniu w piecu puszka miała się rozgrzać aż do uzyskania temperatury zapłonu. Elementy pieca spełniły rolę szrapneli, całkowicie demolując mieszkanie, wybijając okna i burząc jedną ze ścian.

Aresztowanie sług Bibersteina było wyrazem frustracji i desperacji Bielińskiego. Śledztwo utknęło w martwym punkcie niemal od razu po rozpoczęciu, bo informacje z poprzedniego akapitu były literalnie wszystkim, co udało się ustalić. Zagadką był nawet cel zamachu. Niemal na pewno nie był nim Biberstein, podejrzewany wprawdzie o łamanie tajemnicy korespondencji i handlowanie zdobytymi w ten sposób informacjami, jednak generalnie cieszący się renomą pocziwego pijaka.

Szukano raczej na liście jego gości, wybuch nastąpił bowiem na kwadrans przed początkiem cotygodniowego obiadu, na którym zbierała się śmietanka towarzyska stolicy. Zwłaszcza jedno nazwisko przyciągało uwagę: Heinrich von Brühl, Reichsgraf (hrabia Cesarstwa), oficer, wszechwładny minister i faworyt Augusta III, od 11 lat posiadacz pałacu swego imienia w Warszawie. Gdyby to faktycznie on był celem zamachu, mogłoby to tłumaczyć niepowodzenie Bielińskiego. W Polsce Brühl był znienawidzony dalece mniej niż w Saksonii, gdzie skupił w swych rękach większość władzy w państwie. Wystarczyłoby, żeby ktoś z rzeszy skrzywdzonych przez niego Saksończyków postanowił zemścić się, dokonując zamachu w ościennym kraju, by z perspektywy technik policyjnych połowy XVIII wieku dokonać zbrodni doskonałej.

Ostatecznie sprawa została zamknięta bez wykrycia winnych, choć ciekawość była tak wielka, że w prasie warszawskiej ukazało się ogłoszenie obiecujące sprawcy uniewinnienie i 200 dukatów nagrody, byleby wyjaśnił, o co chodziło. Marszałkowi Bielińskiemu nie miano chyba jednak niepowodzenia za złe, skoro dziesięć lat później na jego cześć nazwano jedną z głównych arterii Warszawy.



„Alegoria sprawiedliwości – Temida” Marcella Bacciarellego, nadwornego malarza Stanisława Augusta Poniałowskiego. W latach 1766–1772 autor mieszkał przy pl. Zamkowym i pewnie widywał kary wykonywane pod warszawskim przegięrzem na Rynku Starego Miasta

## Kostka Potocki w szafie

**O** ile kwestia zamachu z 1761 r. wywołała wielkie zainteresowanie z racji rangi zaangażowanych w sprawę osób i brak jednoznacznego rozwiązania, o tyle kolejna przebiegała o kilka długości. 24 stycznia 1785 roku

Sąd Marszałkowski Koronny Kryminalny zebrał się pod prezydencją marszałka wielkiego koronnego Michała Mniszcha, by rozstrzygnąć sprawę, która do historii przeszła jako „afery Dogrumowej”. Kogóż nie było w składzie sędziowskim! Wspomniany marszałek wielki koronny, marszałek nadworny litewski, wojewodowie



mową (alias d'Ugrumoff, alias baronównę Marię de Leutenberg, alias Annę Marię de Neri) oraz kupca angielskiego Williama Taylora o fałszywe oskarżenia i zniesławienie w oczach Adama Czartoryskiego. Wreszcie Ryx oskarżył Taylora o napasć i złamanie przywileju neminem captivabimus (szlachecki immunitet nietykalności).

Na ponury żart zakrawa to, że sprawa, w którą ostatecznie zaangażowani zostali najwyżsi urzędnicy, magnaci i sam król jegomość, rozpoczęła swój żywot jako zwykłe oszustwo. Maria Dogrumowa była zawodową aferzystką i awanturnicą, których całkiem sporo było w wieku XVIII. Zarabiała na życie wyłudzeniami, oszustwami i nierządem, cyklicznie zmieniając miejsce zamieszkania w ucieczce przed wierzycielami i wymiarem sprawiedliwości. W Polsce, po licznych mniej lub bardziej udanych oszustwach, postanowiła złowić grubszą rybę: „uratować” króla Stanisława Augusta Poniatowskiego przed zamachem. Gdy przybyła doń z ostrzeżeniami, za które oczekiwała godziwej nagrody, monarcha popełnił błąd. W oskarżenia wprowadzić nie uwierzył, ale przed wskazaniem drzwi wypłacił jej niewielką kwotę na odczepnego.

Gdy Dogrumowa ponownie znalazła się w kłopotach finansowych, spróbowała tego samego numeru, tym razem jednak stanowczo poproszono ją, by dała sobie spokój. I na tym prawdopodobnie sprawa by się skończyła, gdyby nie Izabela Lubomirska. Księżna dawno już puściła w niepamięć swą życzliwość wobec Poniatowskiego i teraz zwalczała go z całych sił. Obie panie spotkały się w tym okresie i najprawdopodobniej to księżna podsunęła Dogrumowej pomysł nowego oszustwa: skoro nie zdołała przekonać króla, że Czartoryski chce go zamordować, spróbujmy odwrócić role.

14 stycznia 1785 r. Dogrumowa spotkała się z księciem Czartoryskim i opowiedziała, jak to Ryx i Komarzewski usiłowali ją namówić do otrucia księcia, oferując w zamian 500 czerwonych złotych oraz wieś. Dlaczego właśnie ci dwaj? Ponieważ to oni odprawili ją z kwitkiem, gdy próbowała wyciągnąć pieniądze królewskie po raz drugi: pierwszy zajmował się sprawą z racji bycia królewskim kamerdynerem, drugi jako szef Królewskiej Kancelarii Wojskowej. Czartoryski nie był do końca przekonany do rewelacji Dogrumowej, mimo że wcześniej ostrzegła go przed zagrożeniem jej przyjaciela, William Taylora. Ta zaproponowała więc, że księżę może się o sprawie przekonać na własne uszy: wystarczy, że ona spotka się z Ryksem w miejscu, gdzie Czartoryski wcześniej się schowa, po czym w rozmowie kamerdyner wygada się o szczegółach niecnego spisku. Dwa dni później w domu Dogrumowej doszło do spotkania pułapki, w którym w zastępstwie Czartoryskiego wziął udział Stanisław Kostka Potocki. Nie wypadło bowiem, żeby księżę chował się w szafie...

Rozmowa z Ryksem meandrowała tak, że Potocki nijak nie mógł się przekonać do winy kamerdynera. W końcu do pokoju z nożem i pistoletem wpadł zniecierpliwiony Taylor, pojął kamerdynera i wyrwał go na ulicę, gdzie następnie wrzucił jeńca do przygodnej dorożki i kazał się zawieźć do pałacu Mniszchów, goniony bezskutecznie przez Potockiego i Dogrumową. W pałacu trwał akurat

bal, w który wkroczył Taylor, ciągnąc Ryksa za fraki i obwieszczając wszystkich, że właśnie udaremniał zamach na księcia Czartoryskiego. W tym samym momencie szeptane pokątnie plotki stały się oficjalną sprawą urzędową.

### Ostatnie napiętowanie pod pręgierzem

**S**ąd Marszałkowski nie zdołał wyjaśnić całości zaangażowania Taylora w sprawę, nie ma więc pewności, czy jego akcja była efektem wyczerpania się cierpliwości Anglika, czy też próbą ratowania intrygi w obliczu coraz bardziej sceptycznego Potockiego. Niezależnie od intencji intryga wyrwała się Dogrumowej z rąk, przejęli ją bowiem o wiele potężniejsi gracze. Trwał w najlepsze konflikt między królem a rodziną książąt Czartoryskich, afera dawała zaś znakomitą możliwość uderzenia w króla. Rozpoczął się istny festiwal mataczenia, przekupywania świadków i podsuwania figurantów, obliczony na przekonanie sądu do winy królewskiej.

Sąd, co należy podkreślić, okazał się być na te zabiegi całkowicie odporny i rzetelnie przebiegał się przez kolejne warstwy intrygi. Nawiasem mówiąc, według Ignacego Krasickiego Czartoryski nigdy nie wierzył w zamach na swoje życie. Całą intrygę wymyśliła nienawidząca Poniatowskiego Lubomirska, księżę zaś nie wystąpił przeciw niej publicznie, by nie rozbić rodziny.

Prace sądu trwały do 21 kwietnia 1785 r. Były to trzy miesiące ciągłej walki o opinię publiczną, isticie bajońskie kwoty wydawano na pamflety, ulotki i broszury, nie zapominając o „prezentach” dla jednostek co bardziej opiniotwórczych. Podobnie jak w przypadku rozgrywanej się w podobnym okresie „afery naszyjnikowej”, tak i tutaj przyziemne oszustwo zostało rodmuchane do sprawy wagi państwowej, podburzanie emocji doprowadziło zaś do sytuacji, w której fakty ustąpiły miejsca temu, w co dana strona chciała wierzyć. Gdy Sąd Marszałkowski ogłosił wyrok uniewinniający królewskich urzędników oraz skazujący Dogrumową na napiętowanie znakiem szubieniczym (swoją drogą ostatni taki wyrok wykonany na warszawskim pręgierzu, potem rozebrany) oraz dożywotnie więzienie, Czartoryskich zaś na poniesienie kosztów procesowych, stratni byli wszyscy. Strona królewska utraciła szansę na pogodzenie się z rodziną i poniosła polityczne koszty udowadniania przed opinią publiczną, że nie jest wielbłądem. Czartoryscy i Lubomirscy zostali upokorzeni, ci pierwsi wręcz obrazili się na Warszawę i wyemigrowali do Puław. Napiętowana Dogrumowa trafiła do więzienia w Gdańsku, z którego po drugim rozbiórce wyciągną ją Prusacy.

### Z dymiącym rewolwerem w rękę

**N**a koniec zaś sprawa rodem z amerykańskiego dramatu sądowego, bardziej jednak ze względu na jej przebieg niż samą zbrodnię. 23 września 1880 r. na ławie oskarżonych zasiadł szewc Stanisław Hiszpański. Oczywiście, taki był z niego „szewc” jak z Billa Gatesa „programista”. Hiszpański był bowiem szefem słynnego zakładu produkującego najwyższej jakości obuwie

słynne na całą Europę. Sala trzeszczała więc w szwach, usiłując pomieścić wszystkich widzów. Hiszpański oskarżony był o zamordowanie dr. Kurcjusza, lekarza rodzinnego dwu pokoleń rodziny.

Wyrok wydawał się oczywisty: Hiszpański był chorobliwie zazdrosny o żonę, piękną Zofię de domo Kwiatkowską, bezustannie i głośno oskarżając ją o romans z lekarzem. Wielokrotnie i przy świadkach groził mu śmiercią, próby interwencji zaś spełzały na niczym, aż w końcu feralnego dnia wziął rewolwer i poszedł do domu doktora, gdzie po kwadransie rozmowy zastrzelił nieszczęśnika. Przybyła na miejsce policja zastała śmiertelnie rannego doktora i Hiszpańskiego bladego jak śmierć, siedzącego w fotelu z rewolwerem w reku i palącego papierosa. Na pozór sprawa była oczywista. Ale pojawiła się zapowiadana „amerykańskość”.

Hiszpańskiego bronił mecenas Henryk Krajewski, prawdopodobnie na prośbę ojca oskarżonego, bo zajmował się z zasady sprawami cywilnymi. Był legendą warszawskiej palestry, zesańcem, któremu udało się wrócić i uzyskać dyplom adwokata, by następnie bronić choćby Tadeusza Rechniewskiego, działacza socjalistycznego i oświatowego.

Pobłogosławiony wzbudającym autorytetem wyglądem, z imponującą brodą, rzymskim czołem i przenikliwym spojrzeniem, dał istny popis pracy adwokata, metodycznie roznosząc akt oskarżenia na strzępy, ku zdziwieniu widowni i prokuratora. Oskarżenie przedstawiło 46 świadków i siedmiu biegłych psychiatrów, Krajewski zaś punkt po punkcie analizował zeznanie każdego z nich, wykazując sprzeczności i kontrowersje. Stawką było wykazanie, że Hiszpański jest chory psychicznie i zamiast na szubienicę, jak przewidywał kodeks karny, należy wysłać go na leczenie.

Paradoksalnie, chodziło także o dobre imię Zofii Kwiatkowskiej. Oskarżenie usiłowało mianowicie wykazać, że zbrodnia była efektem racjonalnej kalkulacji Hiszpańskiego, wynikającej z tego, że Zofia dawała mu powody do zazdrości, Krajewski musiał więc obronić jej reputację. Ze sprawozdań prasowych wyłania się obraz obrony na miarę najśmieszniejszych bitew, z adwokatem perorującym z ogniem w oczach, energicznym gestykulującym, bezlitosnym i do bólu logicznym. Arthur Kirkland z filmu „...i sprawiedliwości dla wszystkich”, Billy Flynn z musicalu „Chicago” czy Vinny Gambini z „Mojego kuzyna Vinny'ego” powinni pilnie robić notatki.

Ostatecznie Krajewski dopiął swego i Hiszpański, prawdopodobnie cierpiący na chorobę afektywną dwubiegunową oraz jakąś formę psychozy, wysłany został na leczenie. W sprawie zostało sporo kontrowersji, tym niemniej jest ona koronnym przykładem umiejętności Krajewskiego.

Historia polskiego prawa pełna jest oryginalnych osobowości i nietuzinkowych spraw. Każdy znawca tematu od ręki będzie w stanie podać pięć innych pasjonujących przykładów sporów między naszymi przodkami, które trafiały na wokandę. W sumie być może to jest właśnie źródłem naszej fascynacji tematami przestępczości: z samej swej istoty łamanie prawa wykacza poza regulowane przepisami i normami życie. I jakkolwiek na szczęście większość z nas nie potrzebuje takiego wątpliwego dreszczyku w swoim życiu, zawsze ciekawie jest się czegoś o nim dowiedzieć. /©©



MARIUSZ CIEŚLIK

PLUSY UJEMNE

## PIĆ NA ZDROWIE

Nawet jeśli w zasadzie jestem człowiekiem niepijącym, chcę mieć prawo do przyjemności płynącej z biesiadowania przy alkoholu. I mam dość zawstydzania mnie z tego powodu.

**Z**nał kto kiedy poetę trzeźwego? Nie uczyni taki nic dobrego” – to ojciec literackiej polszczyzny, Jan Kochanowski. „Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił” – to już Stanisław Wyspiański. „I właściwie kto wódki nie pije, ten jest wywrotowcem, tak świadomie uszczuplającym dochody państwa – bezideowcem” – a to poeta jak najbardziej współczesny, Kazik Staszewski. Moglibyśmy jeszcze długo bawić się w cytowanie. Słowny swego czasu słownik pijacki Juliana Tuwima dowodzi, że tematu w ten czy inny sposób dotykali niemal wszyscy polscy klasycy. Co nie znaczy wcale, że byli uzależnieni. Gdyby byli, raczej nie napisaliby tego, co napisali. Alkohol, czy może raczej towarzyszące jego spożywaniu biesiadowanie, jest po prostu częścią kultury Zachodu, tak jak literatura.

Moralne wzmoczenie, jakie wybuchło po wprowadzeniu na rynek saszetek z alkoholem w opakowaniach przypominających musy dla dzieci, obserwuję bez emocji. Powiedzmy, że paroksyzmy wściekłości wstrząsające ludźmi niegdyś uzależnionymi, takimi jak aktor Borys Szyc, są jakoś zrozumiałe. Alkoholicy, kiedy już pić przestają, zwykle mają problem z panowaniem nad sobą, a poza tym czują się zwykle apostołami walki o trzeźwość. Powiedzmy, że inni celebryci, w rodzaju nikomu z niczego nieznannej Zofii Zborowskiej, łatwo podlegają wszelkim wzmoczeniom. Ale już politycy w rodzaju Szymona Hołownia mają rozmaite narzędzia, żeby na sytuację reagować. Tymczasem obecny marszałek Sejmu zamiast działaniem, jak zwykle zajął się gładzeniem. W efekcie do akcji musiał wkroczyć sam premier Donald Tusk, który tradycyjnie „się wściekł”. Następnie uruchomił ministra rolnictwa, ten uruchomił wiceministra, a obaj zajęli się szukaniem winnych. Na pewno kogoś znajdą. To jedyne, co obecnemu rządowi dobrze wychodzi. Ale z akcyzy nie zrezygnują, a to jest jedyna droga, by realnie rozwiązać problem. O ile to w ogóle jest problem.

Nie przypadkiem zacytowałem powyżej Kazika Staszewskiego i jego skrzydlate słowa: „a kto wódki nie pije, ten jest wywrotowcem”. Przecież gdyby nie akcyza, żadnemu rządowi nie udało się spiąć budżetu. To, że obywatele piją (i palą), jest kluczowym źródłem dochodów państwa. Wie to chyba nawet marszałek Hołownia, o premierze nie wspominając, dlatego jeden ogranicza się do gładzenia, a drugi do straszenia. Zresztą, powiedzmy to jasno, wszelkie próby wprowadzenia prohibicji (zupelnej lub ograniczonej) kończą się fatalnie. Zwykle rozkwita dzięki temu przestępcze podziemie. W tym wypadku jest dokładnie odwrotnie niż z narkotykami. Jeśli ktoś nie wierzy, niech poczyta o tym, co dzieje się w Holandii czy w Kalifornii, gdzie legalny handel marihuaną spowodował rozkwit nielegalnego.

Zabranianie spożywania alkoholu i ograniczanie jego obecności w przestrzeni publicznej jest zwykle zadaniem przeciwnym. Za to bywa kosztowne finansowo i społecznie. Przekonali się o tym Szwedzi, którzy z alkoholizmem bezskutecznie walczyli od 150 lat. Efekty są w zasadzie żadne, bo pije się tam tyle samo, co wszędzie w Europie, za to kwitnie tam antyalkoholowe donosicielstwo. Nie inaczej jest zresztą w Polsce. Jan Śpiewak, który za działalność przeciwko mafii restrykcyjnej w Warszawie zasłużył sobie na najwyższy szacunek, zajmuje się w ostatnich latach pisaniem donosów na różnych ludzi reklamujących alkohol bez stosownego zezwolenia. Rzecz jasna on też przyłączył się do „przeciwsaszetkowego” wzmoczenia moralnego.

Mnie to akurat niespecjalnie oburza. Wydaje mi się, że prawo zabraniające sprzedawania alkoholu nieletnim stwarza tu wystarczającą barierę. Co do zasady, uważam zaś, że dzieci trzeba w kwestii alkoholu edukować, a nie zabraniać. Trzeba im tłumaczyć, jak powinno się pić tak, aby się nie upijać i czerpać przyjemność z biesiadowania. Tak, przyjemność! Szczerze mówiąc, nawet jako człowiek właściwie niepijący chcę mieć prawo do tej przyjemności. I mam dość zawstydzania mnie z tego powodu. /©©



KATARZYNA SADŁO

KATARYNA

## TEST MEJZY

**Łukasz Mejza:** „Nie mogę doczekać się, aż zmierzę się z bodnarowskim prokuratorem i zetnę w pył jego narrację. Do lokalu wtargnęło trzech policjantów. Biorą miarkę i mierzą moją nieruchomości. To prawdziwa historia! Tak działa reżim Donalda Tuska. Rozumiem, że teraz policjanci będą mierzyć każde poselskie mieszkanie, dom. Proponuję też, aby prokuratorzy Adama Bodnara zaczęli mierzyć posłom członki, bo stan faktyczny może tam odbiegać od deklarowanego”.

**W**niosek prokuratury o uchylenie immunitetu Łukaszowi Mejzie sprawił, że sobie przypomniałam o istnieniu jednej z bardziej obrzydliwych person w naszej polityce. Mam nadzieję, że szybko postępowanie w sprawie uchylenia mu immunitetu, a zwłaszcza sejmowa debata nie pozwolą zapomnieć, kogo Jarosław Kaczyński uznał za cenny nabytek dla partii z prawem i sprawiedliwością w nazwie, kiedy już było wiadomo, co to za postać.

Debata i głosowanie będą testem na przyzwoitość partii Kaczyńskiego, a właściwie kolejną powtórką z tego testu po tym, jak wszystkie kolejne oblała. Bardzo jestem ciekawa, kogo prezes wyznaczy do firmowania twarzą sejmowej obrony Mejzy. Czy znajdzie się ktoś, kto odważy się zagłosować za uchyleniem immunitetu człowiekowi, który nie powinien się nigdy znaleźć na listach dbającej o pozory partii i jest po prostu zmarnowanym mandatem?

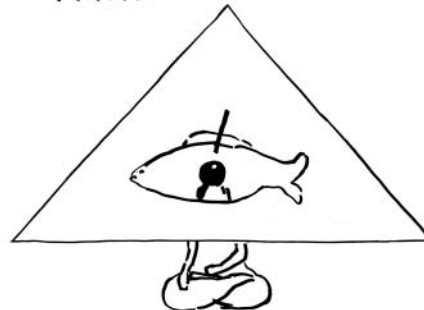
Po roku od wyborów jedyna znana mi poselska aktywność Mejzy to oświadczenie w sprawie pijackich śpiewów. Trochę mało. Pocięcza mnie jedynie to, że jego obecność w Sejmie jeszcze bardziej niż mnie, zwykłą obywatelkę, upokarza przede wszystkim jego partię i wyborców.

Gdy Jarosław Kaczyński brał Mejzę na listy wyborcze, o jego biznesie robionym na ciężko chorych dzieciach i ich zdesperowanych rodzicach, i o szkoleniach za publiczne pieniądze, które się nigdy nie odbyły, było już wystarczająco głośno, żeby móc dzisiaj powiedzieć: „widziały gały, co brały”. A ponieważ prezes przepychał Mejzę wbrew wielu politykom PiS i mimo ostrzeżeń ze strony ówczesnego szefostwa CBA, powinien sam go w Sejmie bronić. O ile będzie miał odwagę przyjść i posłuchać laudacji prokuratury na cześć swojego protegowanego.

Niestety, po dziesięciu miesiącach badania dokumentów (i mierzenia mieszkania) prokuraturze udało się Mejzę złapać tylko na nieprawidłowościach w oświadczeniach majątkowych. To oznacza, że wyrok będzie zapewne symboliczny i łatwo go będzie Mejzie wizerunkowo rozegrać jako polityczną zemstę. Złazszcza jeśli mu się „wylosuje” któryś z sędziów walczących. Wyborca zaś ma dużą tolerancję dla nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych, zwłaszcza jeśli wcześniej wybaczył Mejzie dużo bardziej poważne sprawy. Kłopoty Mejzy cieszą, wstyd jego partii także, ale jeśli to wszystko, na co stać prokuraturę w jego sprawach i sprawkach – to trochę rozczarowuje. /©©

RYSUJE JANUSZ KAPUSTA

IM GŁOŚNIEJ KTOŚ JEJ BRONI,  
TYM BARDZIEJ SIĘ OD NIEJ ODDALA.  
PRAWDA JEST CICHA





Zakupiono w NEXTO: 4061362